

Wyżebbrana godzina



HELENA PAJZDERSKA (HAJOTA)

Wyżebrana godzina

WYŻEBRANA GODZINA

Było to w Meranie, podczas sezonu winogronowego, czyli w porze, w której ten błogosławiony zakątek Tyrolu stroi się w najpiękniejsze swoje uroki.

Niebo przybiera wtedy ton niesłychanie głębokiego szafiru, właściwy górskiemu wrzesniowi; słońce już nie skwarne, a jeszcze nie chłodne tchnie jakąś przedziwną, złocistą piesszotliwością; cała dolina Passery pławi się w zapachu dojrzewających jabłek; wskroś winnic niby smugi ametystu, przeświecają zdrowiodajne grona; w ogrodach kwitną smukłe chymorokalisy i pyszne magnolie, a rozpięte na wapiennych skałach Tappeiner-Wegu kapryfolium¹ zdaje się płasnąć w powietrzu girlandami² swej upajającej woni.

I nigdzie naznaczonej piętnem śmierci twarzy; złowrogi kaszel nie wdziera się w wesołe melodie orkiestry przygrywającej na promenadzie tym, nigdy zbyt licznym, gościom, którzy tu zjeżdżają albo na tak zwany *Nachkuhr*³ po rygorach Karlsbadu, Wiesbadenu, czy jakich innych zdrojowisk, lub po prostu dla wypoczynku i orzeźwienia organizmu niezrównanymi, merańskimi winogronami.

Z takich też osób składało się nasze polskie kółko w *Deutsches Hausie*, pensjonacie tak zwanym może dlatego, że jako żywo, nie było tam nigdy ani jednego Niemca.

Mój Boże! Nie takie to znowu dawne czasy; jakieś kilkanaście lat wstecz a oprócz mnie, która to piszę i jeszcze jednej osoby — z kółka tego nie żyje już nikt; choć byli w nim sami młodzi ludzie, wyjąwszy mego wujaszka Adama i sami zdrowi, wyjąwszy panią Idalię.

A jednak wszyscy pomarli... Bo śmierć lubi czasem upatrzeć sobie jakąś gromadkę i wtedy kosa jej ma okrutnie zagarniający rozmach...

Ale to do rzeczy nie należy.

Do rzeczy należy mój wujaszek Adam i pani Idalia, nie mogę ich bowiem we wspomnieniach moich rozłączyć, aczkolwiek w istocie rzeczy nie było pomiędzy nimi nic wspólnego, prócz przypadkowości mieszkania czas jakiś pod jednym dachem i zasiadania do jednego stołu.

Wujaszek Adam był wtedy dobrze już po sześćdziesiątce; nikt jednak nie byłby go nazwał starcem, a tym mniej staruszkciem. Była to postać tak oryginalna, tak rzucająca się w oczy niepospolitością swego typu, że patrząc na nią, mogło się myśleć o wszystkim, tylko nie o wieku tego człowieka.

Wysoki, nadzwyczaj kształtnie złożony, po młodzieńczemu gibki i wyprostowany, miał w ruchach, w układzie, w sposobie chodzenia, w gestach, coś na wskroś rasowego i pańskiego. A na tym korpusie arystokraty z dziada pradziada osadzona była głowa, którą każdy malarz pragnął portretować, a każdy rzeźbiarz rzeźbić; głowa o liniach dziwnie szlachetnych i niezwykłych, okryta falistą, srebrno-białą gęstwiną włosów zwijających się w pukle dokoła uszu i dumnie zarysowanego karku. Od srebra tej artystyczno-empirowej czupryny, po której wujaszek Adam zwykł był często przeciągać powolnym, melancholijnym ruchem swej białej, nerwowej ręki, odbijał rażąco czysty turkus oczu dużych,

¹*kapryfolium* — pnącze o różowych, białych lub żółtawych kwiatach. [przypis edytorski]

²*girlanda* — dekoracyjny, roślinny ornament w formie podwieszanej wiązanki kwiatów, liści i owoców. [przypis edytorski]

³*Nachkuhr* (niem.) — wypoczynek po odbytej kuracji. [przypis edytorski]

marzycielskich, najczęściej zapatrzonych gdzieś w przestrzeń, oczu poety, muzyka i dziecka. Rysami przypominał też wielce Szopena, tylko usta miał wąskie, uśmiechające się ze szczególną mieszaniną ironii, goryczy i dobroduszości.

Litwin z urodzenia, marzycielstwo życiowe przyplacił utratą znacznych dóbr rodzinnych i przymusową podróżą na północ.

Gdy po latach kilkunastu swobodę ruchów odzyskał, nie było już po co wracać do ojczyzno Oszmiańskiego powiatu. Osiedlił się więc w Warszawie. Pomimo ukończenia na petersburskim uniwersytecie prawnego wydziału z dyplomem, kariera sędziowska była przed nim zamknięta; wysługiwać się prywatnie nikomu nie chciał i — rzecz prawie niebywała na owe czasy w sferach z jakich pochodził — założył sobie za ocaloną z rozbicia małą resztkę dawnej fortuny przedsiębiorstwo. To też w „sferze” ruszono na to ramionami, zwłaszcza, iż przedsiębiorstwem owym była remiza.

„Dorożkarzem został, *parole d'honneur*⁴” — mawiał jeden z jego bliskich krewnych, także wichrem ogólnej burzy wyrzucony z zasobnie przez przodków usłanego gniazda, ale który znalazłszy się na bruku radził sobie inaczej, wisząc u klamek bogatych koligantów⁵ — „dorożkarzem! I pono, jak mu stangret jaki zachoruje, sam siada na kozioł i powozi. *Parole d'honneur*⁶!”

Ile było prawdy w tym „pono” nie wiem; to pewne, że sam własnoręcznie odmierzał obroki⁷ koniom, chodząc w wytartym kubraku do stajen z tak pańską fantazją, jak gdyby był milionowym hodowcą wyścigowych rumaków i przyjmując zapisy na śluby, pogrzeby i bale w postawie władcy udzielającego audiencji.

I dziwna rzecz; ta jego magnacka mina, onieśmielając klientelę jednała mu ją równocześnie, bo miało to swą pewną, pikantną odrębność, a przy tym interes prowadzony był z wielką akuracją i znajomością rzeczy: służba doskonale wytresowana, konie piękne, ekwipaże⁸ eleganckie i ceny umiarkowane.

Szeroko ustosunkowany, z aureolą wygnańczej przeszłości, bywał w najlepszych towarzystwach warszawskich, i w jednym z takich salonów poznał swoją ciotkę, „panienkę ze dworu” na karnawał ze wsi przybyłą i zakochał się w niej jak student. Pomimo znacznej różnicy wieku pozyskał wzajemność... Pobrali się i lat kilka przeżyli ze sobą szczęśliwie; po czym ciotka umarła na galopujące suchoty, on zaś pozostał bezdzietnym wdowcem, przyłgnąwszy do naszej rodziny, która stała mu się bliższą, niż własna na Litwie pozostawiona.

Na ogół jednak nie lubił „koroniarzy⁹” i był głęboko przekonany, że Pan Bóg ulepił ich z pośledniejszej¹⁰ gliny, niż braci Litwinów.

Gorącość uczuć zachował młodzieńczą. Kochał muzykę i poezję; uwielbiał Szopena i Mickiewicza; lubił błąkać się samotnie po górach, zrywać kwiaty na łąkach i dumać przy księżycu.

Charakter jego był mieszaniną dziecięcej niemal naiwności i sceptycznego rozgoryczenia; tak jak w obejściu wersalska dworskość łączyła się z pewną szorstkością prawej i do żadnych kompromisów niezdolnej natury.

Był przy tym wujaszek Adam wprost anegdotycznie roztargnionym.

Pamiętam z dziecińczych moich lat, jak zanudzałam swoją ciotkę, niezmiernie żywą, wesołą i dowcipną osobkę, by mi opowiadała różne zabawne epizody z czasów narzeczeństwa, a zwłaszcza o swoim ślubie.

Ślub ten odbył się na wsi w domu moich dziadków z wielką uroczystością.

Podczas sumy przyszli małżonkowie mieli przystąpić społem do Stołu Pańskiego. Kiedy proboszcz po udzieleniu Komunii pannie młodej, zwrócił się do nowożeńca, ten otwarty już usta zamknął je raptem z takim stukiem zębów, jak gdyby kto szufladę zatrzasnął i cofnął się, wyciągając przed siebie obie ręce.

Cóż się pokazało? Po rannej spowiedzi zjadł w swoim pokoju obfite śniadanie i dopiero

Ślub

⁴*parole d'honneur* (fr.) — słowo honoru. [przypis edytorski]

⁵*koliganci* — osoby postawione wysoko w hierarchii społecznej. [przypis edytorski]

⁶*parole d'honneur* (fr.) — słowo honoru. [przypis edytorski]

⁷*obroki* — pasza dla koni. [przypis edytorski]

⁸*ekwipaż* — lekki, luksusowy pojazd konny. [przypis edytorski]

⁹*koroniarz* — mieszkaniec Korony, od: Korona Królestwa Polskiego, oznaczającego królestwo polskie (w odróżnieniu od Rzeczypospolitej, czyli państwa złożonego z Polski i Litwy). [przypis edytorski]

¹⁰*pośledniejszy* — gorszy od innych tego samego rodzaju. [przypis edytorski]

w ostatniej chwili przypomniał sobie o tym. A tak się przejął tym, omal nie popełnionym świętokradztwem, że już przy ślubie zapytany, czy ma wolną a nieprzymuszoną wolę pojąć tę oto Marię za małżonkę, odpowiedział, zgnębnym ale stanowczym głosem:

— Nie! Bo jadłem śniadanie.

Miał też pasję wypytywania się o rzeczy, które go nie obchodziły i o których natychmiast zapominał.

W Meranie ofiarą tej jego manii inwestygatorskiej padał pan Emil P., który jako jeden z najstarszych gości „winogronowych”, znał tu każdy zakątek.

Chodzimy na przykład po Winter Promenadzie. Wtem, wujaszek Adam staje pośrodku, umacnia się na swych arystokratycznych stopach, jak gdyby powziął ważne postanowienie, jemu jedynie właściwym monarszym gestem wskazując uczepioną u skały ruinę, pyta:

— Panie Emilu kochany, coż to takiego?

A pan Emil, który już ze dwadzieścia razy informacji tej udzielał, objaśnia z anielską cierpliwością:

— To Zenoburg, szanowny panie, zamek, w którym zamknęła się ostatnia *Raubritterin*¹¹ Katarzyna Maultasch i przez trzy miesiące stawiała opór oblegającym ją wojskom cesarskim.

— Proszę! Proszę! — mówił wujaszek z uznaniem — Bardzo zajmująca ruina. Coś rycerskiego. Ot! To lubię.

Na wycieczkach, jakie często odbywaliśmy powozem, bywało jeszcze gorzej. Wujaszek zasunięty w głąb z rękoma opartymi na lasce z galką ze słoniowej kości, rozglądał się pilnie po okolicy, zarzucając pytaniami naszego towarzysza, a ten, siedząc na przodzie wykręcał we wskazanym kierunku swą drobną postać, istny żywy Baedeker¹² na usługach niezmordowanego turysty.

Czasem jednak drobiazgowość wujaszka przewyższała jego kompetencje.

Oto gdzieś ze skały sączy się cieniuchna niteczka wody. A wujaszek zaraz:

— Panie Emilu kochany, toż co za strumyczek? Jak się nazywa?

— To, proszę szanownego pana — odpowiadał zakłopotany pan Emil — to... rzeczywiście nie wiem. Zapewne po zeszlotygodniowych deszczach...

— Aha — mówił wujaszek — powiadasz pan, że po deszczach? Bardzo, bardzo sympatyczny strumyczek! Szkoda tylko, że pan nie wie, jak się nazywa.

— Ależ wujaszku — wtrącałam zniecierpliwiona — cóż by ci z tego przyszło? I tak byś zaraz zapomniął, choćby to nie był strumyczek, który za parę dni wyschnie, ale największa rzeka w Europie.

— To prawda, kochanko moja — przytakiwał wujaszek pogodnie — ale zawsze... dobrze byłoby wiedzieć.

Dystrakcję swą rozciągał i na ludzi. Nigdy nie mógł się połapać w stosunkach rodzinnych nawet dobrze mu znanych osób, a właśnie o „koligacje” zawsze się jak najgorliwiej wywiadywał: męża brał za brata, siostrę za żonę; syna pytał o zdrowie zmarłej przed paru laty matki; idąc gdzieś z wizytą mylił się o piętro, wchodził do obcych mieszkań i dopiero w salonie po paruminutowej rozmowie ze zdumioną gospodynią, orientował się w sytuacji; spóźniał się na prośzone obiady, w przekonaniu, iż to ma być jakiś *five o'clock*, a uczynioną mu z tego powodu wymówkę tak sobie brał do serca, że w następstwie na raut stawiał się o godzinę za wcześniej, kiedy pani domu jeszcze się ubrać nie zdążyła i asystował przy zapalaniu żyrandoli. A wszystkie te bezwiedne nietakty popełniał z taką jakąś dystyngowaną brawurą i tak się z nich serdecznie, a wytwornie usprawiedliwiał, że nikt mu ich nie brał za złe, a wszyscy darzyli życzliwością pełną wyróżniającego szacunku.

I to jeszcze było w nim osobliwym, że obserwację doraźną miał ogromnie bystrą i przenikliwą. Jednym rzutem oka obejmował całego człowieka; gdy mógł na razie podzielić się odniesionym wrażeniem, dawał zdumiewająco trafną i szczegółową charakterystykę i tylko nazajutrz już jej nie pamiętał. I może w tym tkwiła tajemnica tej niezrównanej

¹¹*Raubritterin* — określenie raubritter, które pojawiło się dopiero w XVIII-wiecznych niemieckich romanach rycerskich, oznacza rycerzy lub osoby z rycerskiego rodu, trudniące się napadami, szczególnie na przejeżdżających w pobliżu ich zamku kupców i podróżnych. [przypis edytorski]

¹²*Baedeker* — nazwisko księgarza niemieckiego Karla Baedekera, znanego ze swoich przewodników turystycznych; jako rzeczownik pospolity: przewodnik turystyczny. [przypis edytorski]

świeżości jego usposobienia, która go czyniła tak sympatycznym. Nic mu nie powszedniało, bo wszystko było dla niego wciąż nowym, choć z dawna w lot poznanym. On też pierwszym był w naszym kółku, który zauważył, że pani Idalia...

Ale naprzód, naratorskim *antiquo modo*¹³ słów parę o pani Idalii. Była to nikła, wiotka, delikatna osóbką, o blado-płowych włosach, blado-niebieskich oczach i blado-różowych ustach i sprawiała wrażenie kwiatu, o niedociągniętych barwach, który nigdy nie widział słońca.

Właściwością pensjonatów jest, że tam biografie fruwały w powietrzu; każdy wie o każdym wszystko, i w „Deutsches Hausie” już w parę dni po przyjeździe pani Idalii, pomimo jej małowówności i odosobnienia, wiadano, że ma nerwową konsumpcję i starego, nieznośnego męża; że mąż ten posiada duże dobra na Ukrainie, ale żonie nic z tego, bo zazdrosny sknera więzi ją przy sobie w pustym pałacu, w którym prócz zgrzybiałej kucharki i równie zgrzybiałego lokaja nie ma żywej duszy i że po raz pierwszy dopiero zdecydował się wyprawić ją samą zagranicę dla poratowania zdrowia, a to pod naciskiem warszawskich lekarzy, bo się zląkł, iż może mu zbraknąć pielęgniarki i ofiary jego starczycy kaprysów.

Później, znacznie później, gdy pani Idalia w części odgadując współzucie, jakie dla niej żywiłam, a po części pod wpływem przeżywanycy wzruszeń, zbliżyła się do mnie i pozwoliła zajrzeć w swą smutną duszę, przekonałam się, iż moi współpensjonarze mieli doskonale informacje; nie wiedzieli tylko tego, co w tych dość na pozór pospolitych, kobiecycy dziejach było ich największą krzywdą i najboleśniejszą tragedią. Ona sama może nie zdawała sobie dokładnie sprawy jak dalece wszystko w niej: natura, serce, temperament domagało się wręcz innego życia, niż to, które wiodła.

A że takie wiodła, o to opowiadając mi je, nie winiła nikogo: ani rodziców, którzy ją młodziutkim, nieświadomym życia dziewczęciem związali z wpół trupem; ani tego wpół-trupa swego męża, który za kęs chleba i dach nad głową wiosnę jej wepchnął w piwnicę beznadziejnej, martwej egzystencji. Cóż! Zawsze była wątła, nieśmiała, do samodzielności niezdolna, rodzice bratu oddali majątek, a ona, czternasta część, nie mogła marzyć o żadnym świetnym losie. Zresztą wychowana w klasztorze, nie pragnęła go nawet; zdawało jej się, że ma powołanie do zakonnego życia, a już najchętniej byłaby została siostrą miłosierdzia. To też związek ze starym, schorzałym sąsiadem nie przerażał jej, nie budził wstępu... Tak, czy inaczej, byłaby się poświęciła chorym i nieszczęśliwym... Tylko nie wiedziała... nie rozumiała wielu rzeczy... A potem było za późno.

Ale i pomimo to, lat kilkanaście, najpiękniejsze lata młodości przeszły jej bez szczęścia wprawdzie, o! Tak bez szczęścia, bez odrobiny szczęścia, lecz i bez buntu, bez rozpacy, bez pożądań. Widocznie jednak, jakaś druga istota musiała w niej spać, bo teraz...

Pani Idalia milkła w tym miejscu, lecz mnie nie było potrzeba dalszych wyjaśnień. Wiedziałam, co znaczyło to „teraz”, wiedziałam nawet jak wyglądało: piękny, trzydziestokilkuletni mężczyzna, zażywający w Warszawie sławy, jako doktor chorób nerwowych i zdobywca serc niewieścich, trochę cynik, trochę fantasta, zresztą bardzo miły, sympatyczny, zawsze wesół i *bon enfant*¹⁴. Poznała go z racji owego konsylium, które mąż musiał dla niej zwołać w Warszawie.

I to był on! Aladyn, który czarodziejską lampą swego wejrzenia, głosu, dotknięcia ręki rozświetlił nagle dotychczasową, ciemną pieczarę jej doli i przerażonym, olśnionym oczom ukazał jakie skarby bezcenne, jakie klejnoty cudne kryje w sobie ta mroczna głąb... i czym życie stać by się mogło, gdyby... gdyby...

I wtedy ta „druga” istota zbudziła się w cichej duszy pani Idalii, a musiała być jedynie prawdziwą, tak od razu i przemożnie¹⁵ wzięła górę nad tamtą, sztucznie przez warunki egzystencji urobioną i tak gwałtownie, tak despotycznie poczęła dopominać się praw swoich.

Co do niego, to miałam sposobność sprawdzić, że w części nawet nie doceniał tego ogromu ubóstwienia, jakie klęko przed nim w kornej dani¹⁶ gotowej wszystko poświęcić, niczego wzajem nie śmiejąc oczekiwać, miłości.

¹³*antiquo modo* (łac.) — starym sposobem, według starych zwyczajów. [przypis edytorski]

¹⁴*bon enfant* (fr.) — dobre dziecko. [przypis edytorski]

¹⁵*przemożnie* — decydujący, wielki. [przypis edytorski]

¹⁶*korna dań* — daw. dar składany w pokorze. [przypis edytorski]

Małżeństwo

Kobieta, Małżeństwo,
Współzucie

Pożądanie

O! Tak... zapewne; zainteresowała go. Była bardzo ciekawym okazem tej formy historii, którą właśnie studiował. (Tak to kiedyś w rozmowie ze mną określili). Po konsylium przez te parę tygodni, jakie jeszcze przebyła w Warszawie, odwiedzał ją często w mieszanym charakterze lekarza i znajomego i on głównie wpłynął na wysłanie jej do Meranu. Traf zrządził, że potem sam przyjechał.

Ale nie dla niej, bynajmniej. Wezwali go telegraficznie rodzice jednej z jego pacjentek, której się nagle pogorszyło. Byli tak bogaci, że mogli sobie pozwolić na zbytek zatrzymania wziętego doktora przez dziesięć dni u łoża swej histeryzującej jedynaczki. On zaś w wolnych chwilach uprawiał swoją warszawską praktykę, której się tu trochę znalazło, a w pierwszej linii „studiował” w dalszym ciągu panią Idalię.

Dla niej ten niespodziewany przyjazd człowieka, który zawładnął całym jej jestestwem, był jednocześnie łaską losu i gromem. Bo ta niedoszła zakonnica, ta żona niedołęznego starca, w której dotąd ani razu nie drgnęła kobieta, uważała sobie za wielki występек tę „grzeszną” miłość tak przecież naiwną i czystą, że każda uświadomiona pensjonarka wzruszyłaby na nią ramionami.

To też kryła się z nią trwożnie, a przynajmniej zdawało jej się, że się kryje i miała słusność. Bo świat jest dziwnie okrutny i bezwzględny dla miłości nieodwzajemnionej i nieszczęśliwej. A im ta miłość jest głębsza, wstydlivsza, im we wznioślejszych źródłach bierze początek, tym większe budzi lekceważenie i pośmiejch powierzchownych sądów.

Tak było i z panią Idalią. Wszyscy w naszym kółku domyślali się jej uczuć dla pięknego doktora i wszyscy, nie wyłączając mego wujaszka, który był przecież romantykiem najczystszej wody i umiał płakać w teatrze nad losem Violetty, wszyscy podżartowywali sobie z tego jednostronnego romansu, a byli i tacy, raczej takie, które się nim gorszyły.

Co do mnie, współczułam jej całym sercem, a ona widocznie odgadując to, lgnęła do mnie i czasem niedokończonym zdaniem, westchnieniem stłumionym w pół drogi, zaciśnięciem szczupłych, delikatnych rąk mówiła więcej, niż by to najrozwicklejsze zwierzenia powiedzieć mogły.

Balkony naszych pokojów na drugim piętrze położonych, sąsiadowały ze sobą i widywałam ją często po wizycie doktora, który zresztą zawsze krótko bawił, jak wychodziła na swój balkon z gorączkowym ogniem w oczach i bladymi jakby z wyczerpania policzkami i przeprowadzała go wzrokiem, dopóki nie zniknął wśród drzew.

On nie odwracał się nigdy. Szedł swobodnym, sprężystym krokiem życiowego tryumfatora, a ona stała bez ruchu, w jakimś martwym przerażeniu jak istota, którą pozbawiają światła i powietrza.

Raz po takiej wizycie zobaczyłam, że ślania się i z wolna osuwa na ziemię. Bez namysłu wbiegłam do jej pokoju i podniosłam na wół zemdloną. Z początku próbowała tłumaczyć swój stan jakimś chorobliwym osłabieniem, widocznie jednak nie mogła pohamować tego nadmiaru namiętności i męki, rozsadzającego jej piersi, po raz pierwszy wyraźnie, bez osłonek otwarła przede mną to biedne, zbyt późno zbudzone serce.

Był po raz ostatni! Jutro popołudniowym pociągiem odjeżdża... A ona... może go już nigdy nie zobaczy. I nie ma żadnego prawa spodziewać się tego... o! Wie aż nadto dobrze, że to co czuje jest wielkim grzechem, i że za to potępioną będzie, ale nie umie... nie potrafi i... nie chce zabijać w sobie tej miłości. Tak! Nie chce. To jej najwyższe dobro... jedyne... Zresztą niczego nie żąda. Chciałaby tylko raz jeszcze zobaczyć go i... i... jeżeli zdobyłaby się na tyle odwagi, wyznać mu... Niechby¹⁷ wiedział. Już i tak nie zobaczą się więcej. Czuje to. Ale jej lżej byłoby umierać z tą myślą, że on wie i że może czasem pomyśli o niej. Ach! Raz jeszcze, raz jeszcze jeden... ostatni!

Zaczęłam pocieszać biedaczkę, wzruszona sama gwałtownością jej rozpacz.

Wszak mogą się spotkać jeszcze jutro na promenadzie. W Meranie wszyscy się wciąż ze sobą spotykają.

Uczepiła się tej myśli, jak gdyby to było jakieś nadzwyczajne odkrycie.

— Prawda! Prawda! — szepiała, ściskając mi ręce. — Że też nie pomyślałam o tym. Jaka pani dobra! Tak, jutro... On mieszka w Meranerhofie. Może Bóg pozwoli, może...

Jakoż nazajutrz przyszedłszy na ranną muzykę, zobaczyłam ją siedzącą w najwyższym rzędzie ustawionych amfiteatralnie ławek i zapatrzoną w widzialny stąd po drugiej stronie

Miłość, Miłość
niespełniona

Cierpienie, Rozpacz,
Smutek

Rozpacz

¹⁷niechby — partykuła wprowadzająca zdania i równoważniki zdań wyrażające życzenie. [przypis edytorski]

Passery¹⁸ olbrzymi hotel. Podeszłam do niej z moją torebką winogron a wnet potem zjawił się pan Emil ze swoją. Zaczęliśmy spożywać nasze ranne porcje.

Pani Idalia kilkakrotnie otwierała usta, nim zdobyła się na nieśmiałe zapytanie:

— Nie widział pan doktora?

— Nie, pani. Zapewne jeszcze nie wychodził z hotelu, bo mówił mi, że z rana przyjmie jeszcze u siebie paru pacjentów.

— Ach! Tak.

Nastąpiła chwila milczenia.

Wtem pani Idalia drgnęła. Grono, które niosła do ust upadło ciężko na jej kolana i splamiło biały szewiot¹⁹ jej rannego kostiumu, a gwałtowny szkarłatny rumieniec, jakim tylko anemiczne, nerwowe osoby umieją się rumienić, zalał całą jej twarz i szyję.

Spojrzałam. Z furtki hotelowego ogrodu wyszedł doktor ogromnie elegancki w swych jasnych flanelach i kierował się w stronę mostu, by przejść na drugą stronę Passery, czyli na tę, po której siedzieliśmy we trójkę. Widać go było jak na dłoni.

Pani Idalia cała zamieniła się we wzrok. Oczy jej zdawały się wyskakiwać spod bladych rzęs i biec na spotkanie tego pięknego, niedbale idącego przed siebie mężczyzny i zastępować mu drogę z niemym błaganem. A jeśli nie odczuje, nie zrozumie i...

Tak mi się zrobiło jej żal, tak mnie przejęła litością, że zwróciłam się do mego sąsiada i rzekłam:

— Niech pan będzie łaskaw pójść powiedzieć doktorowi, że my tu jesteśmy. Z pewnością zechce się z nami przywitać, a może i pójść na spacer.

Pan Emil poskoczył, a pani Idalia znów zaczęła mnie ścisnąć za ręce. Drżała przy tym febrycznie na całym ciele.

— Jaka pani dobra!... Jaka pani anielska... Ja sama nigdy bym się nie odważyła. Ach!... Choćby jedną godzinę jeszcze przebyć z nim razem, jedną, jedyną godzinę... Ach! Pani!

Szeptła w ten sposób bezładnie, nie odrywając oczu od mostu, po którym szedł doktor. Jej podniecenie udzieliło się i mnie i patrzyłam także, czując, że mi serce bije szybciej.

I zobaczyliśmy jak pan Emil spotkał go właśnie w chwili, gdy przeszedłszy most mógł skręcić albo na lewo, czyli w naszą stronę, albo na prawo ku dalszym willom.

Obaj mężczyźni przywitali się, porozmawiali chwilę, po czym doktor uchylił kapelusza i poszedł szybko na prawo, a pan Emil nie spiesząc ku nam powracał.

— Mój Boże! — szepnęła pani Idalia. — Mój Boże!

I dodała głosem, który dotąd słyszę:

— Tę jedną godzinę chciałam wyżebrać u losu, tylko tę jedną, i tej mi odmówił...

Ale czekało ją radosne zaprzeczenie. Pan Emil przyniósł wiadomość, że doktor wstąpi tylko do jakiejś willi i wróci wnet, by już być do naszej dyspozycji.

— Zaproponowałem mu spacer — dodał — zgodził się jak najchętniej.

Istotnie nadszedł niebawem, uśmiechnięty, promieniejący radością życia, przywitał panią Idalię i mnie z jednakową, jemu właściwą miękka jakąś galanterią i nie zauważył nawet jak ręka, którą tamta zaledwie dotknęła jego dłoni drżała, a oczy utonęły w nim z wyrazem beznadziejnej a przecież jakby na tę chwilę ukojonej namiętności.

— Służę państwu — rzekł wesoło. — Gdzie pójdziemy?

— Może na Latzack-Steg — zaproponował pan Emil. — Tam tak zawsze ustronnie i cicho.

Lecz ja powzięłam pewne postanowienie. Niechże ona biedactwo ma tę wyżebraną u losu godzinę w zupełności dla siebie. Rzekłam więc:

— Ach! Przepraszam. Przypomina mi się, że mój wuj czekać na mnie będzie u pomnika Tappeinra, bo umówiliśmy się wczoraj na Schloss Tirol. To dla pani Idalii za uciążliwa wycieczka. Niechże państwo idą sobie we dwoje gdzie zechcą, a pan Emil zapewne będzie mi towarzyszyć. Wujaszek mój nie mógłby się obejść bez swego cycerona²⁰.

¹⁸Passery — piękna lodowcowa rzeka znana z zawodów slalomowych odbywających się w Merano. [przypis edytorski]

¹⁹szewiot — tkanina ubraniowa z wełny tych owiec; też: tkanina z wełny chesankowej. [przypis edytorski]

²⁰cyceiron — właśc. Marcus Tullius Cicero (106–43 p.n.e.) — filozof, mówca i pisarz rzymski. Tu: towarzysz do wspólnego filozofowania. [przypis edytorski]

Miłość, Pożądanie

Pożądanie, Miłość
niepełniona

Ach! Jeżeli wdzięczność bliźniego może coś znaczyć na szali naszych postępów, to spojrzenie, jakie mi pani Idalia rzuciła, będzie mi przy ostatnim rozrachunku policzone.

— Więc na Latzack-Steg? — szepnęła nieśmiało.

— Niech będzie na Latzack-Steg — zgodził się doktor.

I poszli.

Przeprowadziłam ich wzrokiem twórcy zadowolonego z dokonanego dzieła.

Ale mój towarzysz inaczej zapatrywał się na tę sprawę.

— Mąż pani Idalii nie byłby pani wdzięczny — rzekł z niezwykłym mu przekazem — gdyby wiedział, jak pani miłosiernie ułatwia jego żonie sam na sam z pięknym doktorem.

Wzruszyłam ramionami. Czułam się zupełnie spokojną w moim sumieniu.

— Nie miałby powodu być niewdzięcznym — odrzekłam sucho. — Jego rumianki i kataplazmy²¹ nic na tym nie ucierpią.

— Hm! — chrząknął pan Emil.

Biedna pani Idalia! — Nawet ten człowiek tak skądinąd dobry i subtelny przykładał tak pospolitą, niemal brutalną miarę do jej rozmodlonej i tak tragicznie smutnej miłości.

— Więc idziemy na Tappeiner-Weg? — przemówił znowu pan Emil. — Pan Adam tam zapewne już czeka — dodał z niewinną miną.

Spojrzałam na niego.

— Pan Adam wcale nie czeka — odrzekłam wyzywająco. — Nie umawiałam się z nim. Nie wiem gdzie poszedł.

— Byle nie na Latzack-Steg! — westchnął pobożnie pan Emil.

Mimowolnie musiałam się roześmiać, ale jakieś niedobre przeczucie ukłuło mnie w serce.

— Nieznośny pan jesteś — rzekłam. — Najlepiej będzie, jeżeli każde z nas pójdzie w swoją drogę.

— Odpędza mnie pani?

— Kategorycznie.

— W takim razie wiem, jak sobie znajdę cichy, „nieuciążliwy” — podkreślił ten wyraz — zakątek, aby się tam powiesić.

Zaśmiałam się znowu, ale czułam, że mi jest coraz smutniej na duszy.

— Pan żartuje, a to nie jest takie zabawne, jakby się zdawać mogło.

— Ma pani słuszność — odparł poważniejąc nagle i poszliśmy na Tappeiner-Weg już w najlepszej zgodzie.

W parę godzin potem kończyłam przebierać się do obiadu, gdy zapukano dyskretnie do moich drzwi.

Domyśliłam się, że to wujaszek Adam.

— Proszę! — zawołałam.

Wszedł wyprostowany, swym monarszym krokiem, ubrany z drobiazgową starannością, przyglądając z lekką ręką w białej, zamszowej rękawiczce zwichrzone nieco pukle swych pięknych, srebrnych włosów.

— Dzień dobry, kochanko moja — rzekł serdecznie. — Widzę, jakaś piękna, nowa toaleta!

— Zna ją wujaszek już od dwóch lat — odpowiedziałam, śmiejąc się.

— Być nie może! Wygląda prosto od modniarki²²!

— Gdzie to wujaszek znikł od samego rana?

Wujaszek rozsiadł się wygodnie w fotelu, skrzyżował z lekką przed sobą swe arystokratyczne stopy, popatrzył na nie z lubością i poprosił o pozwolenie zapalenia papierosa.

— Wyznam tobie pod sekretem, że zasnęłam. I śniadanie dali szkaradne. *Fraulein*²³ mówiła, że to moja wina, bo kawa nie może długo stać i czekać. Ale potem bardzo, bardzo interesujący spacer zrobiłem. Tylko nie pamiętam jak się nazywa to miejsce. I wyznam tobie, że nawet nie projektowałem tam iść. Ot! Szedłem przed siebie, szedłem, aż zaszedłem...

— Ale gdzie? — spytałam z pewnym zaniepokojeniem.

²¹kataplazm — gorący, wilgotny okład z nasion oleistych, piasku, papki kartoflanej. [przypis edytorski]

²²modniarka — osoba zajmująca się szyciem i sprzedażą ubrań. [przypis edytorski]

²³Fraulein (niem.) — panienska. [przypis edytorski]

— Kiedy, „jak mamę Kocham”, nie wiem. Byliśmy tam... poczekaj, Kochanko moja, onegdaj... z panem Emilem, pamiętasz? Taki mały ruczaj²⁴ w dole, brzegiem dróżka bardzo doskonała, a z drugiej strony cały Meran widzisz jak pod górę pnie się. Jest i ławeczka nader sympatyczna...

— Przecież nie Latzack-Steg! — wybiegło mi z ust.

Wujaszek aż się poprawił z ukontentowania²⁵ na fotelu.

— Ot! i trafiłaś, Kochanko moja! Właśnie Latzack... jakże go dalej? Romantycznie tam. Powietrze doskonałe i cisza taka... samotnia...

— To wujaszek nie spotkał nikogo — zapytałam z pewną iskrą nadziei.

— I owszem. Spotkałem panią Idalię z doktorem. Siedzieli sobie na ławeczce jak para turkaweczek.

— A wujaszek poszedł dalej?

— Nie, Kochanko moja! I ja także usiadłem.

— Po co? — wykrzyknęłam.

Wujaszek otworzył swoje turkusowe oczy.

— Jak to po co? Aby „usiąść” oczywiście.

Nastąpiła chwila milczenia. Byłam zupełnie zgnębiona.

— I... i o czym żecie państwo rozmawiali? — spytałam wreszcie.

Wujaszek machnął ręką.

— At! Nie kleiła się rozmowa. Gdy nadchodził, ona coś mi opowiadała bardzo ożywiona, a potem całkiem osowiała i umilkła. On też milczał.

— Bardzo wierzę — rzekłam z irytacją — alboż wujaszek nie wie, że troje nie jest towarzystwem? Trzeba było pójść sobie dalej, a ich zostawić.

— Masz rację, Kochanko moja — przytaknął wujaszek — i „jak mamę Kocham”, nie rozumiem, czemu do nich przyłączyłem się, bo to nie mój *genre*²⁶. Ona nudna, a on... blagier²⁷, bawidamek²⁸, typowy koroniarz²⁹.

— Więc po cóż...

— Toż mówię tobie, Kochana, że ot... tak sobie. Ale oni zaraz potem sami wstali...

— A wujaszek?

— A coż? Poszedłem z nimi... Doktor towarzyszył nam aż tutaj i pożegnał się. Pani Idalia coś tam bąkała, żeby wstąpił do niej na górę, ale zrekurował³⁰ ją, bo mówił, że już mu czas na kolej. Więc ją za to odprowadziłem aż do samych drzwi jej pokoju. Podziękowała mi.

— Podziękowała wujaszкови!

Nic więcej nie rzekłam, bo i na co to by się zdało? Ale nigdy, nigdy los nie wydał mi się tak bezmyślnie, tak bezcelowo okrutnym, jak w owym wypadku. Gdyby choć cośkolwiek zawiązało się komuś z tej ciężkiej krzywdy, jaka się tu stała; niechby nawet coś ujemnego, jakieś zadowolenie zemsty, jakieś postawienie na swoim, ale nic... nic... Bezwiedny nietakt rozartagnionego człowieka, który pierwiej byłby dał sobie uciąć prawą rękę, niżby rozmyślnie uczynił coś podobnego...

Pani Idalia nie zeszła do stołu dnia tego, ani następnym. Nieobecność jej w zestawieniu z wyjazdem doktora dała oczywiście pole do różnych wrzekomo dowcipnych uwag, w których i mój wujaszek brał udział, a ja zawsze wtedy miałam ochotę go wybić.

Sama niejednokrotnie zapędzałam się pod drzwi pokoju pani Idalii i zawsze coś mnie powstrzymało. Po prostu lękałam się spojrzeć jej w oczy. Ona też nie pragnęła widocznie moich odwiedzin. Na zapytanie o zdrowie, przesyłane za pośrednictwem służącej, odpowiadała stale, że cierpi na silny ból głowy i potrzebuje spokoju.

Po tygodniu wreszcie ukazała się na Promenadzie, ale tak blada i wychudzona, że najzłośliwsze uśmiechy pierchły na ten widok.

²⁴ruczaj — potok, strumień. [przypis edytorski]

²⁵ukontentowanie — daw. odczuć zadowolenie, satysfakcję. [przypis edytorski]

²⁶genre (wł.) — rodzaj. Tu: rodzaj towarzystwa. [przypis edytorski]

²⁷blagier — osoba mówiąca rzeczy niepokrywające się z prawdą w celu wywarcia na kimś wrażenia. [przypis edytorski]

²⁸bawidamek — mężczyzna lubiący kobiety i nadskakujący im. [przypis edytorski]

²⁹koroniarz — mieszkaniec Korony, od: Korona Królestwa Polskiego, oznaczającego królestwo polskie (w odróżnieniu od Rzeczypospolitej, czyli państwa złożonego z Polski i Litwy). [przypis edytorski]

³⁰zrekurować — odmówić czegoś, nie przychylić się do czyjegoś życzenia. [przypis edytorski]

Witając ją, poznałam po przeciągłym uścisku jej chłodnej ręki, że mi pamięta moje współczucie i moje dobre chęci; nigdy już jednak ani słowem nie potrącała o strunę dawnych zwierzeń.

Stała się jeszcze bardziej milczącą i zamkniętą w sobie i wprost nikła. Wkrótce też doktor miejscowy, uważając iż Meran szkodzi jej zamiast pomagać, wyprawił ją z powrotem na Ukrainę do zgrzybiałego męża, rumianków i kataplazmów.

W pół roku potem wyczytałam w dziale nekrologii *Kuriera* wiadomość o jej śmierci. Donosili o tym „pograżeni w głębokim smutku”: mąż, rodzice, brat, czyli ci wszyscy, którzy jej ten przedwczesny grób wykopali.

Sprawdziły się zatem przeczucia niebogi. Nie spotkała już nigdy więcej pięknego doktora. Czy zdążyła uczynić mu wyznanie swojej miłości, jak to zamierzała, czy i w tym przeszkodził mój wujaszek — nie wiem; ale to wiem, że on, ten jedynie ukochany zapomniiał o niej zupełnie, jak się zapomina o róży przypadkiem z krzaka strąconej i nie podjętej.

KWIAT WYŚNIONY

— Siostruś! Siostruś! Gdzie ty?

Mała Lucia obudziła się z ciężkiego, chorobliwego snu; ciemnowłosą główkę, wtuloną w garbate ramionka, obraca z trudem na lichej poduszeczce, obiegając pokoik niespokojnym spojrzaniem wielkich, czarnych oczu, w których płonie ogień gorączkowego wyczerpania.

Blady ranek zimowego dnia oświeca mętnie ubogie ściany i nędzne, nieliczne sprzęty czwartopiętrowego mieszkanca, wiszącego nad ciasnym, ponurym podwórkiem.

Jak ptaszyny, w opuszczonym przez stare gniazdku, tulą się tu te dwie sieroty, z których starsza, piętnastoletnia, blada, chuda dziewczyna, podnosi się od maszyny pod oknem i szybko podbiega do łóżeczka chorej siostrzyczki.

Całą noc, czuwając nad nią, szyla kamizelki, śmiesznie marny zarobek, którym już od roku po śmierci matki-wdowy wywalcza swój byt i małej, niedołążnej Luci.

Kocha ją, to bezwładne biedactwo, tak, jak tylko serce kobiece umie kochać to, co jest nieszczęśliwe i opieki potrzebujące.

— Lepiej ci, lepiej? — pyta trwoźnie, pochylając się nad chorą. — Spałaś tak smacznie. Wiesz, kilka razy nawet chrapnęłaś sobie...

— A ty? Szyłaś całą noc? — pyta nawzajem dziewczynka i wlepia w szczupłą, mizerną twarz siostry wzrok bezgranicznego uwielbienia i wdzięczności.

— Co tam! Byłaś tylko ozdrowiała. Doktor zaraz przyjdzie. Obiecał. Lepiej ci, powiedz?

— Nie... wiem! — odpowiada mała z wahaniem. — Zresztą, ja i tak umrę niezadługo.

— Lucia!

— Kiedy to prawda, Staśko. Tylko się nie smuć.

I jakby pragnąc rozweselić siostrę, rozpromienia się sama.

— Wiesz! Taki miałam śliczny sen. Widziałam kwiatek... Och! Taki cudny! Ogromny; biały jak śnieg, a w środku na listeczkach miał takie małe, zakrwawione serduszka. A te listki zwieszały mu się po lodydze długo... długo, niby rozpuszczone warkoczki. I pachniał... Ach! Staśko! Ja tego tak dobrze opowiedzieć nie umiem... Bo to, widzisz, był niby jeden kwiatek, a naprawdę to było ich kilka na jednej lodydze, jak bukiet. A ja taka byłam szczęśliwa... taka szczęśliwa z tego kwiatka, bo on był mój... Tylko nie pamiętam, kto mi go dał... Och! Staśko! Gdyby to tak choć raz jeden naprawdę taki kwiatek dostać, i wachać go i pieścić się z nim, jak w tym śnie...

Opowiada to wszystko urywanym, zadyszonym głosem, odpoczywając często, z wpiękami na zapadłych policzkach.

Siostra słucha, uśmiechnięta, sama jeszcze na wpół dziecko, i chudą, pokłutą ręką gładzi zwichrzone włoski małej.

— Może i dostaniesz — mówi tkliwie. — Jak zobaczę kiedy taki kwiatek, to ci go kupię.

Smutek, Tęsknota, Miłość
tragiczna

Choroba, Śmierć, Dziecko

Rodzina, Choroba, Opieka

Choroba, Marzenie,
Kwiaty, Sen

— Kupisz! — odpowiada chora przeciągle, i jest w pełnym goryczy i niedowierzania dźwięku tego jednego wyrazu cała przedwczesna świadomość troski i męki o nieubłagane jutro. — Oj! Ty Staśko!

Pukanie do drzwi.

Wchodzi doktor, niemłody mężczyzna, z twarzą trochę surową i zmęczoną, ale z dobrym uśmiechem pod siwiejącym wąsem.

Ogląda małą Lucię. Przykłada ucho do wypukłych pleców i piersi, dotyka ręką żałośnie pokręconych, chudych nóżek, zimnych jak lód.

Nic z tego, co w tej chwili myśli i czuje, nie odbija się w jego rozumnych, kamiennie nieruchomych rysach.

Staśka zna już tę nieodgadnioną twarz, a mimo to wpatruje się w nią z natężeniem, jak gdyby naprzód wyrok z niej odczytać chciała.

Ta, o którą tu chodzi, wydaje się mniej zainteresowana. Z roztargnieniem patrzy przed siebie. Widocznie myśl jej krąży wciąż koło widzianego we śnie kwiatka.

— I cóż, panie doktorze, i cóż? — pyta Staśka, drżąc cała.

Doktor nie odpowiada; oczyma błądzi po stole, zarzuconym skrawkami białej piki i kratkowanych materiałów.

Staśka z pośpiechem robi miejsce na papier i kałamarz.

— I cóż, panie doktorze? — powtarza, wyławiając pióro, zabłąkane pod zwój popielatej satyny.

— Zapisuję tu lekarstwo — przemawia wreszcie doktor. — Trzeba je przynieść jak najprędzej. — Lekarstwo jest drogie — dodaje z wolna i patrzy badawczo w twarz młodziuchnej szwaczki.

Ta rumieni się gwałtownie. Usta jej drgnęły, powieki zaczynają łopotać.

— Dobrze, panie doktorze — odpowiada, przełykając ślinę.

— Dobrze, panie doktorze — przedrzeźnia ją doktor z szorstką dobrocią. — Tak łatwo mówi się to „dobrze”. Lekarstwo kosztować będzie trzy ruble. Są pieniądze w domu?

— Nie ma, panie doktorze — szepcze dziewczyna, rumieniąc się jeszcze bardziej.

— Otóż to. Byłem tego pewny. A z lekarstwem zwłóczyć³¹ nie można ani chwili, jeżeli ma pomóc. Napisałem na recepcie, że pilne, aby nie marudzili w aptecce. Trzeba zaraz iść i przynieść i co dwie godziny po łyżce stołowej dawać. Tak. Przed wieczorem zajdę znowu. No; do widzenia. Żadnych podziękowań. To tylko pożyczka.

Kładzie na stole paperek pięciorublowy i wychodzi prędko, powtarzając:

— Proszę się śpieszyć. Nie ma chwili do stracenia.

A zstępując po wąskich, brudnych schodach, wzrusza ramionami i myśli:

— Ostatnia próba ratunku. I po co? Przedłużyć życie, które dla tej kaleki będzie zawsze katuszą, a dla tamtej biedaczki kulą u nogi. Ha... cóż robić... Obowiązek lekarza...

Tymczasem Staśka gorączkowo narzuca zniszczony paltocik³², okręca głowę włóczkową chusteczką i ściskając mocno w rękę pięciorublowy paperek, wybiega. Wpada na momencik do sąsiadki z prośbą, aby podczas jej nieobecności zajrzała do małej, która przyrzekła, że leżeć będzie spokojnie i już jest na ulicy.

Doktor kazał się śpieszyć, a apteka dosyć daleko. Biegnie więc prawie potykając się o oślizgły bruk odludnej ulicy. Ostry wiatr sypie jej w oczy grudki z rzadka polatującego śniegu. Lecz ona tego nie czuje. Nadzieja i wdzięczność wzbiera w jej sercu.

— Dobry! Dobry! — powtarza, myśląc o doktorze. Cóż by poczęła, gdyby jej nie był pożyczyl tych pieniędzy? Ma wprawdzie obrączki ślubne rodziców; ale to jedyna po nich pamiątka i matka już na śmiertelnym łożu zalecała jej nie rozstawać się z nimi nigdy, bo takie obrączki przynoszą szczęście osieroconym dzieciom. Jakoż już przyniosły. Bo czy to nie jest szczęściem, że przypadkiem trafiła do tego najlepszego na świecie doktora? Już od pół roku leczy darmo Lucię. I taki troskliwy. A teraz pożyczyl. Bo ona mu odda z pewnością te pieniądze... Może przecież na czymś oszczędzi. Choćby na własnym jedzeniu... Stanowczo za dużo jada... Albo i te ciepłe rękawiczki, które sobie zamierzała kupić na mrozy. Także potrzebne! Jakby to nie można było rąk zasunąć w rękawy...

Nadzieja

Lekarz, Nadzieja,
Przecucie, Choroba,
Śmierć, Bieda

³¹zwłóczyć — daw. zwlekać. [przypis edytorski]

³²paltocik — daw. palto. [przypis edytorski]

Tak rozmyślając, wydostaje się na elegancką ulicę śródmieścia i zwalnia kroku. Zresztą apteka tuż na rogu.

Rzęsiście³³ wypomadowany³⁴ młodzieniec, przeczytawszy adnotację doktora na recepcie, rozkazuje jej przyjść za dwadzieścia minut.

Staśka stoi przez chwilę niepewna z kartką w ręce.

Wracać do domu już nie warto, a w aptecce czekać za długo... Ot, lepiej powalęsa się trochę po tej ślicznej ulicy, gdzie tyle pięknych sklepów. To jej nawet dobrze zrobi. Od całonocnego szycia czuje taki nieznośny ucisk w skroniach.

Wychodzi więc i zaczyna z wolna iść szerokim chodnikiem.

Nagle staje jak wryta.

Za lustrzaną szybą wspaniałego, ogrodniczego sklepu ze szklanego, smukłego kielicha wystrzela kwiat, a raczej kiść kwiatowa.

Boże święty!... Zupełnie jak Lucia widziała we śnie... Takie same oślepiąco białe listki, dziwacznie powykręcane i takie same szkarłatne serduszka... I musi to być coś osobliwszego, bo kto przejdzie, to się zatrzyma i patrzy.

Ale nikt w taki sposób, jak ta chuda, blada dziewczyna z zaczerwienionymi od bezsenności oczyma, które zdają się przepalać szybę rozplamionym w nich nagle ogniem.

I ona cała wygląda w tej chwili, jak urzeczona³⁵. W jej na wpół dziecięcym jeszcze umyśle widok tego kwiatu przyobleka się w kształty jakiegoś cudu, jakiegoś zrządzenia Opatrzności... Jakże! Dziś właśnie śnił się Luci i ona go tak pragnęła zobaczyć. Mówiła, że ozdrowiałaby ze szczęścia... Podobno to tak bywa czasem, a to biedne dziecko, odkąd żyje, nie zaznało naprawdę radości. To może będzie lepsze niż lekarstwo... Zresztą za lekarstwo zapłacić ma trzy ruble, więc jeszcze dwa...

I jakby jakąś nieprzewartą siłą popychana, naciska klamkę i wchodzi.

W sklepie wysoka panna w czarnej sukni, uczesana w prześliczne „ondulacje³⁶” jak na bal, z miną zdetronizowanej³⁷ królowej przebiera niedbale bladymi palcami w pęk różowych goździków.

— Proszę pani, ile kosztuje ten kwiatek? — pyta Staśka i znowu zdaje jej się, że to ktoś inny za nią przemówił.

— Kwiatek? — powtarza ironicznie monarchini zza lady. — To nie żaden kwiatek; to storczyki. Bo co?

— Chciałabym kupić.

— Panienska? To kosztuje pięć rubli.

— Jeden?

— Taka gałązka. Tego dzielić nie można.

— Pięć rubli! — powtarza Staśka, blednąc.

— A panienska myślała, że pięć kopiejek? — mówi wzgardliwie królowa i odwraca się plecami.

Ale dziewczyna zdaje się nie widzieć i nie słyszeć. Coś ją naprawdę urzekło. Miną lata, a ona nigdy nie potrafi zrozumieć, jak mogła to uczynić. Bo zapomina o lekarstwie, o wszystkim; wie tylko, że ten kwiatek, te storczyki, jak je ta wspaniała panna nazwała, musi kupić i wracać z nimi co rychlej do Luci.

— Proszę... pieniądze — mówi jeszcze bardziej nieswoim głosem i wyciąga rękę z pięćiorublowym papierkiem.

— Co?

Jej królewska mość odwraca się zdumiona.

— Panienskę kto po to przysłał?

— Proszę prędko. Niech pani prędko zawinie.

Cała w ogniach, a z zębami szczękającymi jak w febrze wybiega ze sklepu z bibułkowym pakietem. Coś ją niesie niby skrzydła aż na czwarte piętro ich ubogiego mieszkanka.

— Lucia! Lucia!... Masz!... Twój kwiatek! — woła już we drzwiach.

³³rzęsiście — intensywnie. [przypis edytorski]

³⁴wypomadowany — wysmarowany pomadą. [przypis edytorski]

³⁵urzeczona — wzbudzająca zachwyt, podziw. [przypis edytorski]

³⁶ondulacje — falowane bądź kręcone włosy. [przypis edytorski]

³⁷zdetronizować — pozbawić kogoś lub coś dotychczasowego dużego znaczenia lub wysokiej pozycji. [przypis edytorski]

Dziewczynka otwiera wylęknione oczy. Zaraz po wyjściu siostry zrobiło jej się dziwnie słabo, aż się sąsiadka, która do niej właśnie zajrzała, przelękła i chciała palić gromnicę³⁸, ale to minęło i teraz drzemała trochę, marząc o kwiatku.

— Co? Co?... — pyta na wpół nieprzytomnie.

— Patrz!

Szeleszczą bibułki, rozrywane dygocącą ręką Staśki; a z ich zmiętych zwojów, niby cud piękna z bajkowych fal, wylania się alabastrowa kiść, nakrapiana karminem. Silna woń wanilii napelnia izdebkę.

— Mój kwiatek! — woła z upojeniem chora. — Mój kwiatek! Czy znów mi się śni?

— Nie! Nie!

Staśka kłęka przy łóżku i składa kosztowną gałązkę storczyków na grubym prześcieradle starej, watowanej koldry, otulającej wypukłe piersi małej garbuski. Po raz pierwszy chyba te kwiaty zbytku, pieśczochoy cieplarni i buduarów znalazły się na poddaszu; po raz pierwszy listki ich, nawykłe muskać atlasy i koronki, dotknęły chropowatego perkalu³⁹.

I po raz pierwszy też niewątpliwie przyniosły sobą tyle czystego szczęścia.

— O! Siostruś! Jakaś ty dobra!

Wątle ramionka chorej obejmują szyję kłęczącej dziewczyny i obie sieroty całują się po przez storczyki, dla których taki pocałunek jest taką samą osobliwością nieznaną jak ubóstwo.

— Wiesz, Stasiuchna; mnie się nawet nie wyobrażało, że to się tak czymś ucieszyć można — szepce Lucia. — I takam⁴⁰ jakaś... jakbym miała umrzeć ze szczęścia.

— Lucia!... Cicho!... Daj spokój.

— Kiedy mi tak dobrze... tak dobrze... Tylko, tak zostań przy mnie.

I trwają w ten sposób czas jakiś, przytulone do siebie, owionięte waniliową wonią, czując na policzkach atlasową pieśczocho storczykowych listków, po których spływają ich łzy, mieszając się z sobą.

Wtem wchodzi sąsiadka.

— Jakże tam? — pyta z pocziwym uśmiechem. — Bo już myślałam, że z niebożątciem krucho. Taka się zrobiła bladziuchna jak pasyjka⁴¹. A dała panna Stasia lekarstwo? O jej! A co to tak pachnie?

Jak podcięta biczem, zrywa się Staśka z kłęczek, chwytając się za głowę.

— Lekarstwo! Jezus Maria!

Przyskakuje do kobiety i porywa ją za ręce.

— Pani Antoniowa! Ulitujcie się... Nie odchodźcie... Ja zaraz... O! Boże miłosierny! Co ja najlepszego zrobiła...

Trzęsącymi się rękoma wydobywa z szuflady pudełeczko z obrączkami. Nie słyszy, że sąsiadka coś mówi, pokazując na leżącą cichutko dziewczynkę i jak oszalała zbiega ze schodów.

W aptece wypomadowany młodzieniec napada na nią z góry:

— Także!... „Tu” się pisze, że pilne. „Tu” się robi na gwałt. A „tu” się nie przychodzi...

— Niech pan daje prędko!

— A pieniądze?

Staśka kładzie na kontuarze⁴² obrączki.

— Panie... Proszę... To na zastaw... — bełkoce. — Złote... To więcej warte... Ja... kiedy indziej... Panie!

Prawie gwałtem wrywa mu z ręki flaszkę.

— Panno! Panno! — krzyczy za nią młodzieniec. — „Tu” tak nie można. „Tu” nie lombard. „Tu”...

Lecz Staśka już jest daleko. Żadna istota ludzka prędzej by biec nie mogła, jak ona biegnie. Śmierć przecież bywa jeszcze szybsza. Śmierć wyprzedza Staśkę na czwarte piętro ubogiego mieszkanka dwóch sierot.

³⁸*gromnica* — duża woskowa świeca, używana w niektórych wyznaniach chrześcijańskich w trakcie najważniejszych wydarzeń religijno-społecznych w życiu wiernego. [przypis edytorski]

³⁹*perkal* — cienkie płótno bawełniane. [przypis edytorski]

⁴⁰*takam* — skrót od: taka jestem. [przypis edytorski]

⁴¹*pasyjka* — krzyżyk z wizerunkiem ukrzyżowanego Chrystusa. [przypis edytorski]

⁴²*kontuar* — mebel, lada oddzielająca sprzedawcę lub barmana od klientów. [przypis edytorski]

Jej chłodne palce wślizgują się pod kiść storczyków, którą konająca cichutko dziewczynka przytuliła sobie do twarzy, i utrwalają w tych wynędzniałych rysach wyraz nieopisanej błogości, ostatnie ziemskie wrażenie wydziedziczonej kaleki.

I doktor ze zdziwieniem spostrzega ten wyraz, gdy w kilka godzin potem staje u łóżka zmarłej, zdziwiony również tak szybkim końcem, i podnosi z ziemi wijącą się w rozpacz Staškę.

— Zabiłam ją! Zabiłam! — woła nieszczęśliwa dziewczyna i przerywanym od łkań głosem opowiada doktorowi historię storczyków i spóźnionego lekarstwa.

— Ale, panie doktorze — kończy z pokorą i zapuchłe oczy topi błagalnie w twarzy doktora, jak gdyby szukając w niej przebaczenia dla swej ciężkiej winy. — Ona tak pragnęła tego kwiatka!... I tak była szczęśliwa!... Pierwszy raz w życiu szczęśliwa... panie doktorze. Aż z tego umarła!... Och! Ja sobie tego nigdy nie daruję... Nigdy... Niegodziwa, głupia wariatka, która zamiast lekarstwa kwiaty przynosi.

Ale doktor raz jeszcze spogląda na wypogodzoną niebiańsko twarzyczkę umarłej dziewczynki, odsłania jej sztywne, boleśnie pokręcone nóżki, które nigdy nie byłyby mogły chodzić, dotyka ręką ułomnej wypukłej piersi, której tak trudno było oddychać, a jego mądre, dobre oczy zachodzą mgłą.

— Uspokój się, dziecko — mówi, kładąc łagodnie dłoń na głowie zanoszącej się od płaczu Staški. — Uspokój się i pociesz. Skąd wiesz, że nie stałaś się narzędziem w rękach Boskiego Miłosierdzia? Nasza nędzna ludzka mądrość usiłowała ratować to życie upośledzenia i niedoli. Mądrość Najwyższa zesłała mu Wyzwolenie.

Doktor nie kończy swojej myśli, lecz, zstępując ze schodów, dodaje w duchu:

— I nie tylko dla tamtej; nie tylko dla tamtej!

TRZY FILIŻANKI CZARNEJ KAWY

Młody jeszcze pan Albin wszedł do gabinetu starzejącego się już pana Zenona.

Chód jego znamionował wielkie zniechęcenie, a sposób, w jaki po przywitaniu rzucił się na fotel i wyciągnął przed siebie nogi, podkreślił ten stan ducha jeszcze dobitniej.

— Tobie coś jest — zauważył po pewnej chwili pan domu, obrzucając baczny spojrzeniem swego gościa, z którym pomimo znacznej różnicy wieku łączyła go przyjaźń serdeczna, trwająca od lat kilku; to jest od czasu, kiedy bogaty i niezależny pan Zenon po długiej włóczędze za granicą osiedlił się na stałe w Warszawie.

— Właśnie, że mi nic nie jest — odpowiedział pośępnie zagadniony i zapalił podane sobie, doskonałe cygaro.

— No, to dobrze!

— Właśnie, że źle! To jest stan nie do zniesienia. Chciałbym, żeby mi było coś, żeby...

— Żeby ci bolały zęby na przykład — podsunął z flegmą pan Zenon i rozsiadł się wygodniej, czując, że to jest przegrywka do jakichś zwierzeń.

— Po cóż zaraz zęby! — obruszył się pan Albin, mimo woli jednak dotykając swych po angielsku wygolonych szczęk. — Ty, Zeniu, jesteś czasem taki *terre à terre*⁴³! Przecież człowiek posiada nie tylko żołądek, mózg i płuca, ma również serce!

— Ach! Tak. Chciałbyś być z sercem w nieporządku... moralnym. Bo chyba o fizyczny chodź ci nie może, sądząc z przymówki do mojej *terre à terre'skości*⁴⁴. A ono, jak na złość, bije sobie równiuteńko, wbrew wszystkim walcom i mazurom, których takie miliony odtńczyłeś w tym karnawale.

Pan Albin spojrział na przyjaciela z urazą.

— Dobrze ci żartować. Ty już podkreśliłeś swoje życie i zdajesz się być z wypadłej sumy zadowolonym. Ale ja, wyznając, chciałbym jeszcze dodać do mego parę pozycji...

— Mażeńsko-ojcowskich — uzupełnił pan Zenon. — Znam ten program i, o ile pamiętasz, przyklasnałem mu szczerze. Ale, zgodziliśmy się obaj, że serce, czyli — inaczej mówiąc — miłość, nie będzie uczestniczyć w tej transakcji.

— Zapewne... zapewne — potwierdził pan Albin chmurnie. — Zgodziliśmy się; ale łatwiej się to przedstawia w teorii niż w praktyce. Doprawdy, nigdy nie przypuszczałem, żeby to była tak diabelnie skomplikowana rzecz zdecydować się na... żonę!

⁴³*terre à terre* (fr.) — przyziemny. [przypis edytorski]

⁴⁴*terre à terre'skości* — przyziemności. [przypis edytorski]

— Tak. Decyzja na... kobietę dokonywa⁴⁵ się żywiołowo — rzekł pan domu, bardziej do siebie, niż do gościa i zapatrzył się w płonący wesoło no kominku ogień.

Pan Albin zarzucił splecione dłonie na poręcz fotelu i oparł na nich swą piękną, rasową głowę.

— Na kobietę! — powtórzył z nieopisaną goryczą. — Niech będzie przeklęta kobieta... ta, która staje nam na drodze jak kusiciel i wampir; ta, która nam zwarza młodość, psuje duszę, stępiea zmysły i wyciśniętego jak cytrynę rzuca, aby iść dalej szerzyć niszczycielskie dzieło swych zdradzieckich, szatańskich uroków... Ja spotkałem taką kobietę... wiesz o tym... a odkąd znikła, jak zniknąć musiała, bo takie kobiety nie zostają nigdy, czuję w sobie pustkę... pustkę... pustkę...

— Którą postanowiłeś zapelnąć pozycjami jak wyżej — wtrącił pan Zenon. — Daruj, ale nie rozumiem, w czym ci ta smutna przeszłość, która zresztą nie jednego ciebie jest udziałem, zawadza?

— Otóż zawadza! — wykrzyknął pan Albin z nagłym ogniem — zawadza mi w tym, że... dzięki tamtej, nie potrafiłbym się już zakochać, a potrzebuję, wprost potrzebuję przywiązać się do kogoś, znaleźć sobie towarzyszkę życia. Ja jestem widocznie z innego materiału ulepiony, niż ty, mój drogi Zeniu, pomimo, że nam tak dobrze razem. Ja nie umiałbym zostać tak jak ty pogodnym, miłym innym i sobie, starym kawalerem. Czuję, że zdziwaczałbym, zgorzkniał, albo w łeb sobie palnął. Ty zaś...

— Akceptuję przymiotnik; odrzucam rzeczownik — przerwał pan Zenon, strząsając niedbale popiół z cygara. — Jestem starym, ale nie kawalerem.

— Jak to? — zawołał pan Albin z ogromnym zdumieniem. — Nigdy mi o tym...

— Tak, tak — przerwał znów pan Zenon. — To bardzo dawne dzieje. Zresztą, wiesz, że nie lubię mówić o sobie. Za to słucham zawsze chętnie... Więc, w uzupełnieniu, powiedz mi, czemu ta kampania karnawałowa, w której takie pokładałeś nadzieje, kończy się fiaskiem? Przecież panien ładnych, miłych, wykształconych, dobrze wychowanych, ustosunkowanych — nie dodają posażnych, bo warunek ten wyrzuciliśmy za nawias — nie brak!

— Tak; ale ja — tu pan Albin zawahał się — ja nie mówiłem ci tego dotąd, albo ja wiem czemu... ja, przede wszystkim szukam... dobrej!

Po raz pierwszy w ciągu tej rozmowy nieruchoma, jakby zastygła, twarz starszego mężczyzny, drgnęła. Szczególny jakiś blask zamigotał w jego szarych, zimnych jak stal oczach i zgasł.

— Ach!... Ty szukasz... dobrej! — powtórzył z dziwnym naciskiem na ostatnim wyrazie.

— Oczywiście. Ożenić się z miłości można z każdą; z wyrachowania, z posażną; ale z rozsądku, dla samej idei utworzenia rodziny, zabezpieczenia się od samotnej starości tylko z dobrą! I w tym cała trudność zadania. Czy panna ładna, to widzisz od razu; czy wykształcona, miła, itd., o tym możesz się przekonać; ale jak poznasz, że... dobra? One wszystkie dobre w salonie i na balu, zwłaszcza, gdy mają powodzenie; a mimo woli do takich nas ciągnie.

— Masz słuszność — przytaknął pan Zenon z widocznym roztargnieniem.

— Mógłbyś dodać, że ta słuszność jest po prostu tragiczna! — wybuchnął tamten. — Bo, widzisz, mężczyzna, który jeszcze potrafi zakochać się, to zupełnie co innego. I on wpadnie czasem... jeszcze jak! Ale przynajmniej ma na swoje usprawiedliwienie no, i na pociechę, że działał pod wpływem niepoczytalności erotycznej, zaślepienia, czegoś w rodzaju *moral insanity*⁴⁶. Lecz traktować małżeństwo, jak ja je dziś traktuję, jak je traktować muszę, dzięki tamtej, na trzeźwo, z rozwagą, i móc także wpaść... nie! To już nic więcej by nie pozostawało, jak powiesić się!... Ale ty mnie nie słuchasz?

Pan Zenon, który wciąż uparcie patrzył w ogień, drgnął z lekka i przeciągnął ręką po czole.

— Owszem. Słucham cię z większym nawet zajęciem, niż przypuszczasz, bo przeżywam jednocześnie własne dzieje. Widzisz, mój drogi — tu spojrzął na młodego przyja-

⁴⁵dokonywać — dziś: dokonuje. [przypis edytorski]

⁴⁶*moral insanity* (ang.) — obłąd moralny. Historyczny termin określający szczególną postać rozstroju psychicznego; szaleństwo charakteryzujące się wypaczeniem uczuć, skłonności, temperamentu bez zauważalnych zaburzeń wiedzy czy zdolności rozumowania. [przypis edytorski]

Kobieta, Kobieta
demoniczna

Miłość tragiczna, Rozstanie,
Rozczarowanie,
Małżeństwo, Kobieta
demoniczna

ciela, a widząc wielkie zdumienie i ciekawość, malujące się na jego twarzy, uśmiechnął się nieco smutnie i mówił dalej:

— Dziwnym zbiegiem okoliczności, to, co mi mówisz, wskrzesiło umarłą przeszłość moją. Może w tym tkwi tajemnica tej sympatii, która się stała podwaliną⁴⁷ naszej przyjaźni, że przeżycia nasze tyle mają z sobą wspólnego. Nie mówiłem ci tego nigdy, bo, jak wiesz dobrze, nie lubię grzebać w wystygłych popiołach, dziś jednak, taką niespodziewaną iskrę wspomnienia wydobyło z nich jedno twoje słowo, że... Ale pozwolisz — pociśnął dzwonek elektryczny i w chwilę potem zjawił się na progu gabinetu lokaj.

— Franciszku! Przynieś nam butelkę portweinu⁴⁸, wiesz, tego z literą D, i biszkopty — zadysponował pan domu.

Rozkaz błyskawicznie spełniono; a gdy obaj mężczyźni umoczyli usta w ciemnobursztynowym płynie, starszy zaczął:

— Opowiem ci to pokrótce, a może wyciągniesz z tego jakąś dla siebie korzyść lub wskazówkę. Otóż wiedz, że i na mojej drodze stanęła kobieta... taka, na jaką ty tu rzucałeś przed chwilą anatemy⁴⁹. Tylko ja jej nigdy nie złorzeczyłem, chociaż zostawiła mnie zupełnie tak samo ze zwarzoną młodością, wystygłym sercem i stęzionymi zmysłami. Widocznie, prawdą jest, że jesteśmy z odmiennych materiałów ulepieni. Ja powiedziałem sobie z góry, że za wszystko na tym świecie trzeba płacić, a za niektóre rzeczy z lichwą⁵⁰ rujnującą największych bogaczy. Skoro się je wszelako posiadało... Ale to do sprawy nie należy... Dość, że, jak ty, oplótlszy bluszczem niepamięci ruiny zaczarowanego zamku młodzieńczych snów o szczęściu, postanowiłem wybudować memu męskiemu wiekowi niski, ale trwałe domek pomyślności i spokoju. Innymi słowy, postanowiłem ożenić się. I tak samo, tak samo jak ty, mój drogi Albinie, szukałem dobrej!

— A co! — wykrzyknął młodzieniec z tryumfem. — I tak samo musiałeś dojść do przekonania, że w tym przedsięwzięciu konieczny jest jakiś szósty zmysł lub... lampa Aladyna.

Pan Zenon skinął głową z uśmiechem wciąż trochę smutnym.

— Do takiego stopnia, że w końcu zmuszony byłem zapalić ją podstępem. Ale słuchaj dalej. Jednego karnawału poznałem trzy panny, które choć, jako typy, zupełnie różne, w ogólnych zarysach odpowiadały tym warunkom, jakie zasadniczo stawiałem w myśli mojej przyszłej żonie.

— Identycznie moja historia — wtrącił pan Albin i popił duży haust wina. Pan Zenon nalał mu drugi kieliszek.

— Nazwijmy, je podług alfabetu: Anielą, Barbarą i Celiną — ciągnął dalej, nie zważając na przerwę. — Otóż podobały mi się wszystkie trzy, z czego wniosek jak na dłoni, że o zakochaniu się w którejś z nich nie mogło być mowy.

— O! Tak, tak! Rozumiem to doskonale! — zawołał młody człowiek z przejęciem. — To rozpacz, ile tych panien podobać się może. I bądź tu z tego mądry!

— Właśnie. Ale mi nie przerywaj, bo nigdy nie skończę. Widywałem wtedy moje trzy... jakby je nazwać...

— Projekty konkursowe — poddał niepoprawny pan Albin, ale tym razem pan Zenon, zamiast napomnienia, uśmiechnął się znowu.

— Niech i tak będzie. Widywałem je zatem dość często i każdą w innych kołach. Panienki te nie znały się pomiędzy sobą; nawet na balach publicznych nie spotykałem ich nigdy jednocześnie. Istniał przecież pomiędzy nimi jeden wspólny rys: chciały sobie w karnawale wytańcować męża, tak, jak ja obrałem tę porę roku na wytańczenie sobie żony. Nie widując ich przeto razem, nie miałem żadnego dotykającego, że tak powiem, punktu porównania, ani orientacji. Gdy byłem przy pannie Anieli, zdawało mi się, że zapominam o Barbarze i Celinie; ale gdy nazajutrz zobaczyłem Barbarę, szła w kąt Aniela i Celina — i tak *omne trinum perfectum*⁵¹. Sytuacja stawała się w wysokim stopniu męcząca. Gdyby chociaż która z nich była się we mnie zakochała... to może i przeważałoby

Przecucie, Żona

⁴⁷podwalina — coś, co daje czemuś początek lub jest podstawą istnienia czegoś. [przypis edytorski]

⁴⁸portwein — wzmocniane wino portugalskie, wytwarzane z winogron zbieranych w dolinie rzeki Douro (hiszp. Duero) na północy kraju, w jej środkowym biegu. [przypis edytorski]

⁴⁹anatema — potępienie czegoś lub kogoś, kłątwa. [przypis edytorski]

⁵⁰lichwa — pożyczanie pieniędzy na bardzo wysoki procent. [przypis edytorski]

⁵¹omne trinum perfectum — przysłowie łacińskie: każda trójca tworzy doskonałość. [przypis edytorski]

szalę. Ale nie... Takie karnawałowe panny są znakomicie opancerzone... Miłość... to dobre latem dla zabicia wiejskich nudów; od tego są kuzynkowie-studenci, przyjeżdżający na wakacje, lub korepetytorowie młodszych braci... Ale karnawał... to coś całkiem serio. Że każda z tych trzech panien z pośpiechem byłaby mi oddała swą rączkę, o tym wiedziałem doskonale: byłem zbyt dobrą partią. Wybór tedy⁵² ode mnie zależał... Chodziło tylko o to, aby był trafny... aby padł na tę... dobrą... tę... najlepszą. Należało się więc upewnić... znaleźć sposób wysondowania ich dobroci... Długo przemyślałem nad tym; wreszcie znalazłem!

Pan Albin aż się porwał z fotela.

— Zbawco! Znalazłeś taki sposób?

— Tak. Jak ci smakuje ten portwein? Ma przeszło pięćdziesiąt lat.

— Wyśmienity. Ale mów dalej. Jestem jak na rozżarzonych węglach... Pomyśl tylko. Mamy jeszcze kilka dni karnawału. Może bym i ja spróbował tego sposobu!

— Oddaję ci go do rozporządzenia.

— Zeniu! Muszę cię uściskać!

Pan Albin rzucił się na szyję przyjaciela z takim impetem, że wywrócił mu ledwo napoczęty kieliszek drogocennego napoju. Ale pan Zenon nie dzielił jego entuzjazmu.

— Wystuchaj wpierw, a potem dziękuj — rzekł i, nalawszy sobie ponownie portweinu, mówił dalej:

— Była to, pamiętam, sobota Zapustna i tak się złożyło, że wszystkie moje trzy...

— Projekty — uzupełnił pan Albin.

— ...miały być na balach, na które i ja również otrzymałem zaproszenia. Postanowiłem wyzyskać tę okoliczność. Pojechałem naprzód tam, gdzie spodziewałem się zastać pannę Anielę.

— Ta jedna musiała ci być najmiłsza.

— Z czego wnioskujeś?

— No, nie wiem jakiego rodzaju miała być ta próba. Ale myślę, że gdyby pierwsza wypadła była pomyślnie, byłbyś zaniechał dalszych.

— Mylisz się. Działalem podług⁵³... alfabetu. Panna Aniela wyglądała tego wieczora przesłicznie. Miała powiewną, różową sukienkę z jakiejś połyskliwej gazy, która otulała ją niby obłok jutrzeńki. Widzisz, nawet rymuję na samo to wspomnienie. Panna Aniela była szatynką o ciemnych, prawie czarnych oczach, które chętnie nakrywała powiekami. Usteczka jej, nieco, jak na mój gust, za wąskie, były zawsze wdzięcznie uśmiechnięte, a całe obejście nosiło cechę dystygowanej wstrzemięźliwości.

Gdy wszedł, już tańczono. Z trudem dożeglowałem do mojej względnej wybranki i zająłem obok niej miejsce, które szczęśliwym trafem, było wolne. Wnet potem, stosownie do danej w przedpokoju dyspozycji, lokaj przyniósł mi filiżankę czarnej kawy, gorącej jak piekło. Panna Aniela wyraziła pewne zdziwienie, że zamiast chłodzącym napojem, raczę się kawą przed tańcem. Wyjaśniłem, że mnie głowa boli i otrzymałem objaw współczucia, zawarty w bardzo ładnie zaokrąglonym frazesie.

Popiłem kilka łyków i nagle, niby potrącony przez walczącą tuż koło nas parę, wylałem całą zawartość filiżanki w części na własną rękę przeważnie jednak na różowe falbany, brzeżące skraj sukni panny Anieli. Wiesz, Albinie, minęło od tej pory lat z górą dwadzieścia, ale dotychczas widzę tę fontannę ognia, jaka trysnęła ku mnie spod przymkniętych zwykle powiek panny Anieli. Było to tak, jak gdyby się piekło nagle rozwarło... Jednocześnie wąskie usteczka zniknęły prawie w gniewnym zaciśnięciu, które na tę śliczną twarzyczkę rzuciło wyraz nieopisanej złości i jadu. Trwało to zaledwie kilka sekund, dla mnie wystarczających. Wnet powieki opadły znowu, rysy złagodniały; na ustach wykwitł zwykły, subtelny uśmieszek. Zacząłem się usprawiedliwiać, wycierając ostentacyjnie sparszoną rękę. Panienska, ani spojrzawszy na moją silnie zaczerwioną prawicę, wysłuchała przeprosin w milczeniu, nie dowierzając widocznie swemu głosowi, który mógł zdradzić kipiącą jeszcze wewnątrz burzę. Z wielką dystynkją⁵⁴ wstała i pozwoliła przeprowadzić się do pokoju damskiego, aby jej tam jako tako podratowano uszkodzoną suknię. Pożegnałem ją u drzwi.

Dama, Pozory, Przemiana,
Rozczarowanie

⁵²tedy — daw. zatem, więc. [przypis edytorski]

⁵³podług — przestarz. wtedy. [przypis edytorski]

⁵⁴dystynkja — elegancja i wytworność. [przypis edytorski]

— Na zawsze, jak mniemam? — zapytał pan Albin.

— Tak, na zawsze. I pojechałem na drugi bal.

— Ten z panną Barbarą?

— Nie inaczej. Panna Barbara już mnie widocznie oczekiwała. Jej jasnowłosa główka zwróciła się w moją stronę z żywością, charakteryzującą całą jej osobkę. Panienska ta była z prowincji i co mnie do niej trochę zrażało, to jej niewyraźna parantela. Przebąkiwano, że ojciec jej zrobił majątek na handlu nierogacizną⁵⁵, a matka, która już zresztą nie żyła, miała być zupełnie prostą, zaledwie czytać umiejącą kobietą. Ile w tym było prawdy, nie dociekałem; to pewna jednak, że w zachowaniu się panny Barbary, aczkolwiek na ogół bardzo poprawnym, było coś niezwykle impulsywnego, co jednak przy jej urodzie i wrodzonej gibkości ruchów, mogło być uważane za jeden powab więcej. Ale coś za dużo ci o niej opowiadam.

— Wiesz, ona mi się więcej podoba, niż ta Aniela, która raczej powinna się była nazywać Diabelą — rzekł pan Albin.

Opowiadający uśmiechnął się znowu, tym razem wręcz melancholijnie i, po krótkiej przerwie, mówił dalej:

— Znowu wtedy zjawił się przede mną lokaj z filiżanką dymiącej, czarnej kawy i znowu, ledwo że ją do ust przytknąłem, cała jej zawartość, oblawszy moją nieszczęśliwą rękę, aż syknęła z bólu, spłynęła na bladoniebieski tren panny Barbary. I tu nastąpiła katastrofa. Panna Barbara zerwała się z krzesła, pchnęła mnie przy tym łokciem w wykrochmalony plastron⁵⁶ koszuli frakowej tak impetycznie, że aż się złamał ze chrzęstem, i wrzasnąwszy na cały głos: „A to z pana ciężki niezgrabiasz⁵⁷!” — jak wicher przemknęła wśród wirujących par, unosząc wysoko, z wielkim zapoznaniem względów estetyki, zmoczony tren sukni i znikła w głębi mieszkania.

— Uuu! Jęcza! — rzekł przeciągle pan Albin. — Nieba cię od niej uchroniły. Boć, oczywiście, że uchroniły!

— Tak, uchroniły — potwierdził pan Zenon z posępnym sarkazmem. — Dodam tu nawiasowo, że słyszałem o niej później, jako o idealnie dobrej żonie, a o jej mężu, jako o najszcześliwszym człowieku pod słońcem. Ale wracam do trzeciej...

— Filiżanki czarnej kawy — podchwycił pan Albin. — Umieram z ciekawości, jak się to skończyło. Ale, wiesz, Zenonku, ty masz w sobie coś z Mucjusza Scewoli⁵⁸. Żeby sobie tak lać ukrop na rękę... No, przepraszam cię za te ciągle przerwy. Już teraz będę milczał do końca.

— Który jest niedaleki — zauważył pan Zenon, i mówił dalej:

— Przybyłem na trzeci teren moich podwójnie bolesnych eksperymentów już bardzo późno. Panna Celina tańczyła kontredansa⁵⁹. Siadłem i przyglądałem się jej z bijącym sercem. „Jeżeli i ta mnie zawiedzie” — myślałem. I zacząłem pragnąć w sposób, do jakiego nie sądziłem się być zdolnym, aby mnie „ta” nie zawiodła. Bo też była to dziwnie piękna istota. Włosy krucze, z błękitnawym odbłaskiem; cera olśniewająco biała; oczy fiołkowe o powłóczyстым, jakby załęknionym, wilgotnym spojrzeniu. Ubrana była całkiem biało, ze srebrnym haftem, a wielki bukiet fiołków u stanika cudnie odbijał od jej mlecznych ramion. Tańczyła przy tym jak bajadera⁶⁰, gnąc się omdlewająco w objęciach tancerza, a jej karminowe usteczka rozchyłyły się, jak pęk granatu. Co do mnie, dygotałem z niecierpliwości, nie mogąc się doczekać końca kontredansa. Wreszcie tancerz odprowadził ją na miejsce, gdzie spoczywała jej balowa okrywka, której pilnowałem zazdrośnie i w ślad za tym przyniesiono mi moją kawę. Ach! Cóż to był za rozpaczliwie gościnny dom! Nigdzie nie widziałem tak dużych filiżanek. Byłem do najwyższego stopnia zdenerwowany; ręka przy tym piekła mnie fatalnie; więc, nie przełknąwszy nawet łyka z tej bomby, buchającej

⁵⁵nierogacizna — trzoda chlewna. [przypis edytorski]

⁵⁶plastron — szeroki krawat zakrywający gors, noszony do fraka. [przypis edytorski]

⁵⁷niezgrabiasz — osoba niezgrabna. [przypis edytorski]

⁵⁸Mucjusz Scewola — właśc. Gaius Mucius Cordus; legendarny bohater rzymski, który został wysłany, by zamordować króla etruskiego Porsennę oblegającego ze swą armią Rzym w 508 p.n.e.; gdy został jednak schwytany w obozie wroga, włożył rękę w ogień, by dowieść, że nie straszne mu tortury ani śmierć; takie męstwo przekonało Porsennę, by puścić wolno zamachowca; nosił on odtąd z chlubą przydomek Scaevola, tzn. Mańkut. [przypis edytorski]

⁵⁹kontredans — zbiorowy, figurowy taniec towarzyski pochodzenia angielskiego. [przypis edytorski]

⁶⁰bajadera — hinduska tancerka. [przypis edytorski]

parą, chlusnąłem wszystko, z lekka tylko spryskawszy sobie dłoń, na śnieżne draperie⁶¹ i srebrne hafty.

— A ona? — zapytał gorączkowo pan Albin, zapomniawszy o swoim przyrzeczeniu — Cóż ona?

— Ona? Nie spojrzała nawet na brunatne strugi, szpecące tak ohydnie biel jej sukni, która, o ile mnie moja kompetencja nie myliła, była z tych trzech najkosztowniejsza. Jej fiołkowe oczy podniosły się na mnie z trwożnym niepokojem, a głosik, drżący niekłamana troskliwością, zawołał: „Ach! Mój Boże! Pan się pewno oparzył!” ... Czy potrzebuję ci dodawać, że w kilka tygodni potem kłęczałem z nią u ołtarza?

Nastąpiło milczenie. Pan Albin spoważniał. Ze współczuciem wpatrywał się czas jakiś w twarz przyjaciela, która przybrała zagadkowy wyraz.

— I straciłeś tę anielską istotę? — rzekł wreszcie stłumionym głosem.

— Tak, straciłem ją — odparł pan Zenon, a w tonie, jakim to wypowiedział, dźwięczała również zagadkowa nuta.

Lecz pan Albin nie zwrócił na to uwagi. Czuł się zupełnie wzruszony.

— Jak dawno umarła? — zapytał jeszcze ciszej.

Pan Zenon podniósł raptem głowę.

— Nie umarła wcale — rzekł sucho. — Rozstałem się z nią po czterech latach pożycia, które było dla mnie pasmem udręczeń...

— Cooo? — zawołał przeciągle młody człowiek — Więc ta dobroć — ta czułość, to było udanie?

— Bynajmniej. Nie można wyobrazić sobie istoty litościwszej i wrażliwszej na fizyczne cierpienia ludzi, a zwłaszcza zwierząt. Nie wyszła nigdy na miasto, żeby nie przyprowadziła z sobą jakiegoś bezdomnego psa lub zgłodniałego kota. Nasz dom przemienił się w istny lazaret chorych i kalekich stworzeń. Na wsi wyprawiała awantury fernalom⁶², gdy który z nich powążył się uderzyć roboczego konia; kazała zrzucać zboże z wozów, gdy jej się wydały zbyt naładowane. W Warszawie dochodziło do skandalów z dorożkarzami.

Ale to była dopiero jedna strona medalu. Moja Celina nie na darmo miała ruchy odaliski⁶³. Jej orientalna ociężałość i niedbalstwo obrzydziły mi dom, w którym nic nigdy nie było w porę, ani na miejscu. Suknie walały się po kątach; w salonie znajdowałem na albumach brudne pończochy; psy, koty, wiewiórki, jeże, papugi, zanieczyszczały cenne dywany i kosztowne meble; obłaskawione kanarki siadały w czasie obiadu na kompotierach, pozostawiając w nich niepożądane dodatki. Słowem, można się było wściec.

I gdybyż na tym był koniec! Nie na darmo również ta słodka istota gęła się tak omdlewając w objęciach tancerzy. Nadeszła chwila stosunkowo prędka, kiedy moje objęcia przestały jej wystarczać.

I nie była wybredna!... O! Nie... Przekonałem się o tym... naocznie zszedłszy ją na czułem sam na sam z moim własnym stangretem.

No, ale to nie przeszkadzało jej być... dobrą! Niezaprzeczalnie dobrą!

Tu pan Zenon parsknął nagle śmiechem, który zadźwięczał jak zgrzyt noża po szybie. Stalowe oczy błysnęły mu niemal dziko.

Zerwał się z fotelu i kilkakrotnie szybkim krokiem przemierzył gabinet. Wreszcie zbliżył się do przyjaciela, który siedział jak skamieniały, i położył mu rękę na ramieniu.

— I cóż, Albinie? Czy jeszcze w dalszym ciągu będziesz szukał... dobrej i czy moja metoda trafiła ci do przekonania? — zapytał drwiąco, choć kąciki ust drgały mu hamowanym bólem.

Nie było odpowiedzi.

CZWARTA FILIŻANKA CZARNEJ KAWY

W cudne, czerwcowe popołudnie pan Albin siedział przy staroświeckim kantorku, prezentującym swe niezliczone, bukszanem wykładane szuffadki skrytki i onyksowe⁶⁴ kolumienki na tle jasnej ściany po staroświecku urządzonego pokoju.

⁶¹*draperie* — dekoracyjne fałdy na tkaninie. [przypis edytorski]

⁶²*fornal* — robotnik na folwarku, który zajmuje się końmi i wykonuje nimi prace na roli. [przypis edytorski]

⁶³*odaliska* — biała niewolnica w haremie sultana. [przypis edytorski]

⁶⁴*onyks* — kamień półszlachetny o naprzemianległych warstewkach białych i czarnych lub ciemnobrunatnych. [przypis edytorski]

Dama, Przecucie

Zwierzęta, Brud,
Zwątpienie

Zdrada

Cisza wiejskiej niedzieli chodziła dokoła obszernego dworu niewidzialnymi stopami i kładła na wszystkim swe błogosławione, kojące dłonie. Przez otwarte na ogród okna, wlewały się fale mocnej, jaśminowej woni, zmieszane z rzeźwiącymi zapachami świeżo skoszonego siana.

Młody człowiek siedział, przechylony w tył fotelu, opierając głowę na splecionych ulubionym mu ruchem dłoniach.

Jego piękne, ciemnosiwie oczy wpatrywały się z jakimś dziwnie radosnym rozmarzeniem w zieloną kotarę drzew za oknem, przesłaniającą dalszy widok i dygocącą leciuchno pod pieszczotą nagrzanego powietrza.

Uśmiech wielkiej, skupionej szczęśliwości igrał mu na ustach.

Nagle, jakby przemocą, wyrwał się z zadumy i, przysunąwszy sobie arkusik listowego papieru, leżący na odchylonej klapie kantorka, zaczął pisać:

Mój drogi Zeniu!

Że też trzeba trafia, aby ta mania włóczęgowska, która się w Tobie już czas dłuższy przyczała, napadła Cię znowu właśnie teraz!

A tak spokojnie i przyjemnie siedziałeś sobie w Warszawie ostatnimi laty; tak drogie były te nasze pogawędki to u mnie, to w Twoim gabinecie, ach! zwłaszcza ta, kiedy to opowiedziałeś mi historię trzech filiżanek czarnej kawy, z których ostatnia takim piołunem⁶⁵ napoiła Cię mój drogi, biedny Zeniu.

Wybacz, że trąciłem o tę strunę. Nie powinienem tego uczynić, zwłaszcza teraz, kiedy cała lira rozspiewała się w mojej duszy... ale, może właśnie dlatego... Zresztą, sam nie wiem. Nie byłem nigdy mocny w ubieraniu moich myśli w listowne okresy i stąd to moje ogromne rozżalenia na tę Twoją Ahaswerusowską żyłką⁶⁶, która cię gdzieś aż pod koła arktyczne zagnała i Bóg wie jeszcze, jak długo po świecie nosić będzie. I pojęcia nawet nie mam, kiedy Cię ten mój list dojdzie, choć go wysyłam pod pozostawionym mi adresem *en tout cas*⁶⁷. To przecież nieznośne. Bo pisać muszę, a tak bym pragnął powiedzieć Ci to wszystko, co się obecnie w mojej duszy dzieje, ustnie... w dwóch słowach!

Ach! Ręczę, że nawet nie potrzebowałbym nic mówić, sam byś to od razu z moich oczu wyczytał.

Zeniu! Przyjacielu jedyny, najlepszy! Ciesz się wraz ze mną.

Jestem zakochany! — nie, to niedobrze rzecz małuje. Ja się Kocham! I to jeszcze źle... Ja Kocham!

Już nie szukam, nie doświadczam, nie waham się... Kocham!

Pamiętasz, jak mi nie wtórowałeś, gdy złorzeczyłem... tamtej.

I jak zawsze miałaś słuszność; podwójną słuszność; bo naprzód świętą prawdą jest, że na tym świecie za wszystko płacić trzeba; a po wtóre przekonałem się, że ona (tamta ona) nie wyrządziła mi takiej niepowetowanej krzywdy, jak mi się wyobrażało.

Nie; to co zostawiła po sobie ta burza, która wskroś mego serca przeciągnęła, to nie było zniszczenie, to był tylko letarg; chwilowy zamróz uczuć i porywów, a ja go brałem za martwość śmierci. Och! Zeniu, jakże ja się myliłem! Jakże ono cudnie roztajało, to moje zlodowaciałe serce!

Ale trzeba ci to wszystko jakoś po porządku opowiedzieć. Pamiętasz jak Twoja ironiczna opowieść zniechęciła mnie do wszelkiej matematyki życiowej, a nawet (co przed tobą zataiłem) i do samej idei obliczeń? Jeżeli przedtem łódź moja chybotą się bezradnie na pełnym morzu nieustalanej egzystencji, to po tak odstraszającym przykładzie bankructwa najnie-

⁶⁵*piołun* — wywar z rośliny o silnej, ostrej woni, używanej m.in. do wyrobu likierów i wódek, mający bardzo gorzki smak i właściwości lecznicze. [przypis edytorski]

⁶⁶*Ahaswerusowska żyłka* — Żyd Wieczny Tułacz, bohater legendy popularnej w Europie szczególnie w XVII, XVIII oraz XIX w., z zawodu miał być szewcem, człowiekiem, który zgubił swoją śmierć i przez to stał się nieśmiertelny; w niektórych wersjach legendy Ahaswerus wiecznie wędruje dlatego, że znieважаł Chrystusa i został obarczony klątwą tułaczki. W tekście: skłonność do tułaczki, włóczęgi. [przypis edytorski]

⁶⁷*en tout cas* (fr.) — w każdym przypadku. [przypis edytorski]

zachwianszych (czy można użyć takiego superlatywu?) pewników znalazła się kompletnie bez steru i wiosła, a ten port małżeński, do którego tak ją wprowadzić pragnąłem, stracił w moich oczach urok rękojmi bezpieczeństwa i spokoju.

Wartoż⁶⁸ zarzucać kotwicę — myślałem — aby ją nieprzewidziana nawałnica zerwała? To już lepiej zdać się na wolę wiatru i niech ją gna sam, gdzie chce. W takim usposobieniu przepędziłem cały post; zmuszając się do bywania po rautach, bo jakoś tak od razu zerwać z towarzyskimi obowiązkami nie mogłem. Ale spoglądałem spode łba na wszystkie panny, a im która uśmiechnęła się słodziej, tym bardziej mnie od niej odrzucało!

Oho! — mówiłem sobie — Nie złapiesz ty mnie w pułapkę anielskości; wiem, czym to pachnie!

W duszy byłem ci wdzięczny, a jednocześnie czułem jakiś żal, żeś mi ten kłębek Ariadny, którego chciałem się uchwycić, aby nie zabłądzić w labiryncie kobiecości, z rąk wytrącił.

Po twoim wyjeździe Warszawa tak mi obrzydła, iż przekawęczywszy⁶⁹ jeszcze kilka tygodni, uciekłem przed zasadzkami zielonego karnawału na wieś do wujecznej ciotki, u której od wieków nie byłem, i która przyjęła mnie jak marnotrawnego syna. Bo ta najzacniejsza z bezdzietnych wdów, choć już staruszka, ogromnie lubi wkoło siebie ruch i życie; zawsze więc wyszpera jakąś panienkę, kuzynkę lub nie, którą sprowadza na czas pewien pod pozorem, aby ją wyręczała w gospodarstwie, w istocie rzeczy zaś dlatego, aby z nią jeździć w sąsiedztwa, bo starość — twierdzi ciotka — musi się zawsze jakąś młodością zastawiać, ażeby być pożądanym przybyszem i aby ta młodość ściągала jej nawzajem do domu gości z okolicy i była pretekstem do tańców i zabaw.

Jakoż zastałem i ja bawiącą już od kilku miesięcy pannę Klarcie (śliczne imię, prawda?), ale ciotka oświadczyła mi na wstępie, zanim ją jeszcze zobaczyłem, że choć się do niej przywiązała jak do żadnej, jest z niej zupełnie niezadowolona.

Panienka bowiem wzięła na serio swoją rolę wyręczycielki; wstawała raniutko, krzątała się po domu, po oborach, po kurnikach, odbywała konferencje z kucharzem, godzinami ginęła w lesie, skąd wracała objuczona dzbanami poziomek i kosztami grzybów, natomiast oświadczyła wręcz, że na wizyty jeździć nie będzie, bo ją nowe znajomości nudzą, a gdy kto z gości zawitał, nie można jej było do salonu sprosić.

Słyszał kto coś podobnego — mówiła ciotka — dwadzieścia lat „temu”, i już ją nowe znajomości nudzą! I takie „to” dzikie! Gdy sama ze mną, śmieje się, dowcipkuje, rada życiu i światu, a niech tylko obcą twarz zobaczy, zaraz się nastroszy i jak mruk. Może ty ją rozkrochmalisz, choć wątpię; bo powiada, że specjalnie warszawskiej młodzieży nie cierpi.

A cóż jej warszawska młodzież zawiniła? — zapytał, śmiejąc się — Pewno brzydka, więc nie miała powodzenia i stąd ta ansa.

Ale ciotka zaperzyła się ogromnie.

Takżeś trafił jak kulą w plot — rzekła z urazą. — Brzydka! Żebyś tylko takie na tych tam waszych balach widywał. Z pewnością zakasowałaby wszystkie. I gdyby „to” nie było takie dzikie!

Wtem „dzikie” weszło, a raczej wpadło do pokoju (nie wiedząc jeszcze o moim przybyciu). Wiesz, Zeniu, gdym tylko ujrzał tę złotowłosą główkę, tę dziwnie gibką i ruchliwą postać, zaraz przyszła mi na myśl Twoja panna Barbara. Pamiętasz, jak mi się podobała z opowiadania. Ona z pewnością tak musiała wyglądać, jeżeli w ogóle była kiedy na świecie lub będzie równie urocza istota jak ta, którą od wczoraj mam rozkoszną pewność „moją” nazwać! Ach! Zeniu! Jaki ja jestem szczęśliwy!

⁶⁸wartoż — konstrukcja z partykułą wzmacniającą -że, skróconą do -ż; znaczenie: czy warto. [przypis edytorski]

⁶⁹przekawęczywszy — przecierpieć, przemęczyć. [przypis edytorski]

Starość, Gospodyni,
Rodzina

Miłość

I to się stało tak szybko! Tak niespodziewanie! Chociaż już od pierwszej chwili, gdy na nią spojrział, gdy usłyszał jej głos — wiesz, jeżeli głos może być podobny do rosy, padającej na omdlały ze spiekoty kwiat, to jej głos jest taki — zrozumiałem, wyczułem, że coś się we mnie zmienia, coś się budzi. I co w tym najosobliwsze, to, że dotychczas nie wiem, co mnie w niej tak zachwyca: że nawet nie umiałbym Ci powiedzieć, czy jest piękna! Jest sobą, to mi wystarcza. Jest tym wszystkim, czego widocznie potrzebowała moja dusza; czego bezwiednie łaknęło moje serce, by zacząć na nowo żyć. Ona mnie nie oczarowała, lecz odzarowała ze złego uroku, jaki rzuciła na mnie tamta i pod jakim trwałem. Za jej sprawą wiem znów, co to jest miłość, co nadzieja, co wiara w przyszłość i za ten cud odrodzenia chciałbym tylko leżeć u jej drobnych stopek i całować je z wdzięcznością bez granic. Ach! Bo ja tak kisłem, Zeniu, tak nędznie marniałem! Nie myśl, że tego nie czułem, że Ci nie przyznawałem racji, gdyś mnie do jakiejś pracy pożytecznej, do zakrzątnięcia się około tego szmatu ziemi, który mam po rodzicach, a który na łasce rządcy i ekonomów wegetuje, zapędzał. Ale, widzisz, jedne natury uszlachetnia cierpienie, a inne rozwija radość. Moja do tych ostatnich należy. Widocznie muszę być wielkim egoistą, ale nie takim znów zakamieniałym, żebym poza sobą już niczego więcej dojrzeć nie umiał. Bo to wiem, że gdy ukochane rączyny mojej Klary kielich szczęścia do ust moich poniosą, gdy z niego pić będę, moje ramiona potrafią otworzyć się dość szeroko, by nie tylko umiłowaną kobietę, lecz i inne piękne cele życia do piersi przygarnąć. No, zobaczysz, że twój apatyczny Albin jeszcze dzielnym stanie się człowiekiem.

Ale tymczasem, pozwól mi być zupełnym egoistą i mówić Ci tylko o sobie i o niej. Chociaż, Boże jedyny, jak mi to niedołąźnie idzie! Jak to trudno martwym, papierowym słowem najlepszemu nawet przyjacielowi w głąb własnej duszy wprowadzić. I nawet nie będę próbował opisywać Ci świtania naszej miłości... O! Bo i ja jestem kochanym, Zenonie, bardzo, bardzo, nad zasługę kochanym. Nie, nie będę próbował: bo to by było zupełnie jak gdybym chwycił motyla całą garścią i takiego wymiętoszonego Ci posłał.

Nie mogę jednak przemilczeć pewnego szczegółu, bo on był istotnie ze względu na tę historię trzech filiżanek czarnej kawy, która mnie tak ostatecznie do małżeństwa i rozsądku zraziła, znamienym. Oto, wyobraź sobie, kiedy to moje najdroższe stworzenie wbiegło do pokoju, nie wiedząc, że prócz ciotki jest tam jeszcze ktoś więcej, pierwsze słowa, jakie od proga z ustek jej padły, były:

— Ach! Cioteczko! Taka jestem zła! — i zabrzmiały mi w uszach jak najcudniejsza muzyka. Już z punktu byłem gotów klęknąć przed nią! Skąd ona mogła wiedzieć, jakim cudnym zmysłem przeczuć, że ja teraz jak ognia boję się... dobrej!?

Nie; ona tego wiedzieć nie mogła; mówiła co czuła, bo jest wcieleniem szczeroci i prostoty. Może w tym tkwi jej największy czar. Albo ja wiem zresztą?

I potem często ta „złość” wracała na jej śliczne usteczka, a zawsze w taki sposób, że była jednym więcej ogniwem, które mnie do niej przykuwało. Bo zawsze była „zła” o coś, co świadczyło jaką piękną i czystą ma duszę.

Krótko mówiąc, Zeniu drogi, jestem najszcześliwszym człowiekiem na ziemi. Miłość spadła na mnie znienacka jak sęp, ale ukwieca mi piersi jak róża...

Ślub nasz za parę tygodni... Po co zwlekać?... I tak, gdybym był w możliwości w tej chwili żałować czegoś, to żałowałbym tych lat, które zdała od mojej Klary przeżyłem. Teraz za to nie rozstaniemy się już nigdy, nigdy, nawet na jeden dzień. Klara w tym też do innych panien niepodobna, że nie dba o wyprawę, ani o urządzenie domu. Będziemy sobie razem ślali gniazdko. I podróży poślubnej moje szczęście nie chce także. Zaraz po weselu, które się tu u ciotki cichutko odbędzie (Klarunia jest zupełną sierotą, co

mnie cieszy, bo z nikim na świecie serca jej dzielić nie będę), pojedziemy do mnie na wieś... Ach! Jakim rajem stanie mi się teraz to wielkie, ponure dworzyszczce, które mnie zawsze taką melancholią i nudą napępniało!

Muszę już kończyć! Słyszę turkot powozu, którym panie moje pojechały na nieszpory; a ja zostałem, aby pisać do Ciebie! Ach! Czemu ja pisać muszę! Czemu Ciebie coś po świecie pędzi, czemu nie możesz być świadkiem mego szczęścia? Jakiż idiota ze mnie! Tak mówię, jak gdyby to moje szczęście miało być czymś przejściowym... A ono przecież trwać będzie zawsze... zawsze... po ostatnie tchnienie mej piersi. Więc jeszcze się go napatrzysz! Prawda? Tylko im prędzej, tym lepiej. Ściskam Cię z całego, najwierniejszego Ci serca; a jeśli Ci był zawsze przyjacielem, to teraz w dwójnasób, bo gdyby nie te trzy filiżanki czarnej kawy... kto wie, jak byłoby się ułożyło życie moje. W błogosławionej chwili opowiedziałeś mi tę historię. I takim Ci wdzięczny; taki wdzięczny!... Jeszcze jeden uścisk.

Twój Albin

Jest godzina czwarta; ale krótki, grudniowy dzień uczynił z tej wczesnej pory zupełny wieczór.

W obszernej jadalni starego dworu, takiej co to karetą w cztery konie można by zawrócić, płonie wesoło ogromna, błyskawiczna lampa; a światło jej przez szklane frędzle jedwabnego, żółtego abażuru leje ciepłe strugi na rokokową porcelaną, stare, cenne kryształowe i srebra stołowej zastawy, rozstawionej ze smakiem na śnieżnobiałym obrusie.

Pan Albin i jego żona kończą obiad siedząc naprzeciwko siebie przy zsuniętym na dwoje empirowym, okrągłym stole.

Stary służący, który jeszcze pana Albina dzieckiem pamięta, zmienia ostrożnie talerze, podaje półmiski, stąpając bez szelestu z wyrazem niemal ojcowskiego przywiązania na swej suchej, siwymi faworytami okolonej twarzy.

— Tutusiu! — odzywa się pani Albinowa.

— Co, Ptaszyno? — odpowiada pan Albin.

— Czarna kawa, jak zawsze w twoim gabinecie, prawda, Mziuta?

— Pytasz, Żongieleczku?

Z tej wymiany zdań poznać można, że młodzi małżonkowie znajdują się jeszcze w fazie specjalnego narzecza, poczerpniętego z zoologii, botaniki, mineralogii i dla nich jedynie zrozumiałych nazw i przydomków.

Zapewne, nadejdzie czas, kiedy zaczną sobie mówić po imieniu jak zwykli śmiertelnicy; dziś jednak, choć już kilka miesięcy upłynęło od ich ślubu, wydaje im się, że czas ten nigdy nie nastąpi.

— No, to chodźmy!

Pani Klara zrywa się od stołu. Gdyby była mniej zręczna, z pewnością rzuciłaby coś i stłukła, lub rozdarła swój blade-niebieski, krepdeszynowy⁷⁰ szlafroczek, tak bajecznie szybkie są jej ruchy. Pan Albin spogląda na nią z zachwytem. Ta jej nadzwyczajna żywotność działa wciąż na niego elektryzująco. Nazywa ją też chętnie „Żywym Sreberkiem” lub „Rtęciątkiem”. I teraz też mówi.

— Tak Rtęciątku spieszno?

— A Nunce nie?

Młoda kobieta zarzuca mężowi obie rączki na ramię i przegina się zaglądając mu w oczy figlarnie. Pan Albin obejmuje w pól jej gibką kibić i tak przechodzą do gabinetu, gdzie obfity ogień na kominku, głębokie, miękkie fotele, puszysty dywan zaścielający całą posadzkę, i pozapuszczane u okien i drzwi grube portiery tworzą wymarzone zacisze dla poobiedniej sjesty. Na dworze śnieg pada gęsty i drobny, i wiatr poświstuje wśród bezlistnych gałęzi parkowych drzew, ale do tej jasnej, cieplej ustroni żadne zewnętrzne odgłosy nie dochodzą.

⁷⁰krepdeszynowy — miękka, lekka tkanina jedwabna, rodzaj krepy. [przypis edytorski]

Stary służący stawia na stole spirytusową maszynkę, śliczny serwisik do kawy na dwie osoby i zapaliwszy błękitny płomyk pod srebrną beczułką, wychodzi, dyskretnie drzwi za sobą zamykając.

Jeszcze portiera niezupełnie opadła, a już pani Klara siedzi na kolanach męża.

— Nareszcie! — szepcze, wtulając nosek w jego bujną czuprynę.

— Nareszcie! — powtarza pan Albin z najgłębszym przekonaniem i, odchyliwszy w tył złotowłosą główkę żony, wyciska na jej świeżych ustach długi pocałunek.

Można by pomyśleć, że byli rozłączeni lata całe. Tymczasem są wciąż razem pod tym starym dachem rodzinnego domu pana Albina. Ale w dzień on ma różne rachunki i korespondencje, i długie narady z rządcą na temat tych wszystkich ulepszeń, jakie z wiosną zamierza wprowadzić do gospodarstwa; ona krząta się po domu, odwiedza ochronkę, chorych we Wsi. Ta poobiednia godzinka jest ich wyłączną własnością i cieszą się nią zawsze jak dzieci.

— Kiciątko, nalej kawki — mówi pan Albin.

Ledwo to rzekł, już jedna z filiżanek, napełniona ciemnym, wonnym płynem, znalazła się w rączkach pani Klary pomiędzy ich młodymi twarzami. Oboje jednocześnie przykładają usta do jej brzegów i piją, patrząc sobie bliźniuteńko w roześmiane oczy.

— Dobraaa? — pyta przeciągle pani Klara.

— Wyborna.

— Ale „inaczej” jeszcze lepsza.

— To prędko „inaczej”.

I znów usta ich łączą się ponad do połowy już wypróżnioną delikatną czareczką, która zaczyna leciutko dzwonić w paluszkach młodej mężatki.

— Boski napój! — odzywa się po długim milczeniu pan Albin nieco zmatowanym głosem.

— Wiesz, Luściuś — zaczyna pani Klara — taka jestem zła...

— Złotula moja! — wykrzykuje z zachwytem pan Albin. — I czego moje Zdziebłątko jest złe?... A to tak cudnie, gdy ono jest złe!

Wtem daje się słyszeć lekkie pukanie do drzwi.

— Co to znaczy? — dziwi się pan Albin, bo służba wie, że o tej godzinie nie wolno państwu przeszkadzać. — Kto tam?

— To tylko ja — odpowiada głos, którego brzmienie, acz stłumione fałdami portiery, nie pozostawia ani na chwilę w wątpliwości pana Albina. — Czy wolno?

— Zenio! — woła Albin, biegnąc ku drzwiom.

Wykrzyknikom, powitaniom, uściskom nie ma końca. Pan Albin, rozpromieniony, z dumą dopełnia prezentacji:

— Mój najlepszy przyjaciel! Moja ukochana żona!

Starszy mężczyzna ujmuje w obie dłonie podaną sobie rączkę; wyczuwa jej szczerzy, ciepły uścisk i, spojrzawszy w świeżą jak jutrzienka twarzyczkę, w czyste, błękitne oczy, nabiera przekonania, że jego młody przyjaciel nie pomylił się w wyborze.

— Aleś nam spadł, jak z nieba! — woła pan Albin. — Na taką zadymkę! Pewnieś zziębnięty?

— I głodny — dorzuca pani Klara. — Zaraz...

Ale pan Zenon zatrzymuje ją.

— Nie, nie, droga pani! Niczego mi teraz nie trzeba, prócz waszego towarzystwa.

— Napij się pan przynajmniej czarnej kawy — zaprasza pani Klara. — Gorąca.

— Oto czysta filiżanka: jakby czekała na ciebie — dorzuca pan Albin.

— Chętnie — odpowiada pan Zenon z uśmiechem. — Ale któregoś z państwa nie dzieli widocznie mego amatorstwa do czarnej kawy?

— Dlaczego? — pyta pani Klara naiwnie.

— Bo widzę, że tylko jedna filiżanka jest w użyciu.

— Ach! Bo my... — zaczyna pani Klara i urywa raptem, oblewając się ponsem.

Pan Albin wybucha śmiechem.

— Bo my, Zeniu... — chce kończyć, ale młoda kobieta pośpiesznie zasłania mu rączką usta.

— Nie, Nunku! Wstydz się! Jak można!...

— Co my? Co my? — podchwytuje pan Zenon, w pół ubawiony, w pół jakby rozrzewniony, spoglądając na promieniejącą szczęściem parę.

— Bo my pijemy kawę zawsze z jednej filiżanki — wykrztusza pan Albin po przez paluszki żony.

— Brawo! — woła pan Zenon. — Brawo! To pozwólcież staremu usiąść tu, przy was, i bądźcie z nim, jak gdyby go nie było. Doprawdy, warto z tak daleka przyjechać, aby na coś podobnego popatrzeć. Niech żyje czwarta filiżanka czarnej kawy!

UKŁON

Cudny, wrześnieowy dzień, jeden z tych, które w jakąś wysnioną czarę piękna zamieniają Florencję i jej okolice, miał przed sobą nie więcej już jak godzinę życia.

Z wzniesienia, na którym stoi klasztor Franciszkanów w Fiesole, a nieco niżej kościół św. Aleksandra, słynny swymi piętnastu starożytnymi kolumnami i swoją *bella veduta*⁷¹ na całą dolinę Florencji i wynurzające się z poza Monte Albano szczyty Alp Apuańskich, zbiegało szybko dwoje młodych ludzi.

Spędzili większość dnia, błąkając się wśród starych, etruskich murów, strzegących tego dziwnie uroczonego zakątka italskiej ziemi i chcieli jeszcze na zakończenie napaść oczy widokiem rozpoczynającej się glorii zachodu słońca, dla której taras owego kościoła jest takim właśnie nadzwyczajnym punktem obserwacji, teraz zaś śpieszno im było bardzo.

A choć w tym pośpiechu żadne z nich nie miało czasu na najprzelotniejszą nawet pantomimę miłosną, o! Z tych niesłychanie dyskretnych, po których jednak od pierwszego rzutu oka można w miejscach publicznych poznać młodą parę, odbywającą podróż poślubną, było w nich nie mniej coś nieuchwytnego, co świadczyło, że należą do tej interesującej kategorii turystów.

Trudniej przedstawiała się sprawa ich narodowości. Oboje byli kontrastowo dobrani, urodziwi i bardzo młodzi. Ona zwłaszcza, jasna blondynka, wyglądała prawie na pensjonarkę w swym krótkim, popielatym kostiumie i małym kapelusiku, omotanym popielatymi zwojami gazowego welona, którego pastelowy ton uwydatniał subtelnie świeżość ładnej, biało-różowej twarzyczki i błękit roześmianych, ciekawością i uciechą życia jaśniejących oczu.

Mężczyzna przedstawiał piękny, ale dosyć kosmopolityczny typ dobrze zbudowanego szatyna o znacznie jaśniejszym, mahoniowego odcienia wąsie i orzechowych oczach.

Że na dwoje mieli tylko jednego Baedekera⁷², przeto nie mogli być Anglikami; że zaś tego Baedekera wraz z jego okrywką niósł on, nie ona, to dowodziło jasno, że ojczyzną ich nie są Niemcy. Francuzi i Hiszpanie nie podróżują, mogli więc to być jedynie Słowianie.

Jakoż w połowie stromej i niewygodnej uliczki S. Francesco młodzieńca kobieta, potykając się o jej śpiczaste kamienie, zawołała zdyszczym głosem po polsku:

— Spóźnimy się! Duśku! Zdaje mi się, że już słyszałam sygnał.

— Ależ nie, nie — uspokajał mąż. — Nie denerwuj się, Waluś!

— Przecież to ostatni tramwaj!

— I cóż stąd? Są tu hotele. W ostatecznym razie zanocujemy.

— Ach! Duśku! Jakże? Bez rzeczy? I w pensjonacie niepokoiłoby się o nas. A to tacy dobrzy ludzie ci nasi patronowie⁷³! Ja ich tak lubię.

— Ty wszystkich lubisz, kociaku — roześmiał się mąż.

— O! Wcale nie! — zaprotestowała z żywością, jak gdyby przeciwko ciężkiemu zarzutowi. — Wcale nie... Na przykład, te... okropne kobiety, które mi pokazywałeś! Mam do nich wstręt.

— A jesteś ich ciekawa! Ciągłe się o nie wypytujesz!

— To swoją drogą! Ale ich nie cierpię. A ty jesteś brzydki, bo mi dokuczasz.

Tak przekomarzając się urywanymi zdaniami, wpadli na obszerny plac *Mino* przed katedrą i przebiegli wzdłuż szeregu straganów z wyrobami ze słomy florenckiej.

Wnet zawirowała dokoła nich żółta chmura woreczków, wachlarzy, ramek, lecz oni przedarli się mężnie przez ten zwał natarczywie zachwalanego i wpychanego im towaru.

⁷¹*bella veduta* (wł.) — piękny widok. [przypis edytorski]

⁷²*Baedeker* — nazwisko księgarza niemieckiego Karla Baedekera, znanego ze swoich przewodników turystycznych; jako rzeczownik pospolity: przewodnik turystyczny. [przypis edytorski]

⁷³*patronowie* — tu: opiekunowie, gospodarze. [przypis edytorski]

Tramwaj istotnie tylko co miał ruszyć i jako ostatni w dniu był obłązony. Jedno wszakże miejsce u samego wejścia znalazło się niezajęte, a raczej miał je już zając opasły, szpakowaty Włoch, lecz pan Dusiek tak zręcznie zapanował, że nim tamten namyślił się opuścić swe ciężkie kształty na ławkę, już siedziała na niej, wśrubowana do środka, pod jego ramieniem, młoda mężateczka.

— A ty, Duśku? A ty? — pytała niespokojnie.

— Postoję. Będę miał lepszy widok. Nie troszcz się o mnie, Kotula.

Uściskał tkliwie jej drobną rączkę i cofnął się w głąb platformy, zapchanej już pasażerami. Konduktor w energiczny sposób spędził czepiających się jej rozpaczliwie marderów, szarpnął za dzwonek i tramwaj zaczął łukowatymi zakosami spadać w dół po twardym jak granit gościńcu, którego mleczną białością różowała wychylająca się zza wzgórz albańskich luna zachodu.

Tymczasem Włoch spojrział na swe niedosze miejsce, jak kot odsadzony od mleka, a że na przeciwległej ławce, dzięki chudości zajmujących ją osób, widniał jeszcze jakiś skrawek wolnej przestrzeni, przylepił się do niej bokiem, po czym, odsapnąwszy, wydobyl ohydne, włoskie cygareto i zapalił je z flegmą.

Tak się złożyło, że w tramwaju, zapełnionym samą miejscową publicznością, nikt na to nie zwrócił uwagi; lecz pani Walunia przycisnęła skwapliwie chusteczkę do swego małego noska i obejrzała się niespokojnie.

Widocznym było, że dym tego cygara jest jej wstrętnym i że szuka swego naturalnego opiekuna, aby ją z tego kłopotu wybawił.

Lecz naturalny opiekun był niewidzialny w tłoku platformy.

Natomiast zjawił się konduktor, odbierający bilety od pasażerów.

Młoda kobieta zdobyła się na odwagę.

— Panie konduktorze, czy to wolno palić w tramwaju? — zapytała bardzo dobrą włoszczyzną.

— Oczywiście, że nie — odparł prędko konduktor.

— A jednak ten pan pali...

Konduktor spojrział.

— Pan nie ma prawa siedzieć w ten sposób z cygarem, czy bez — rzekł ostro. — Tu nie ma miejsca. Proszę wyjść na platformę.

Włoch, ociągając się, usłuchał, ale przy wyjściu obrzucił swoje *vis-à-vis*⁷⁴ wprost niewzruszonym spojrzeniem. Stanowczo miał pecha do tego popielatego kapelusika, który mu już po raz drugi krzyżował plany.

Za to serduszko czupurnej kobietki wezbrało dumą.

— Muszę opowiedzieć Duśkowi, jak sobie doskonale sama daję radę — pomyślała.

Radość ta jednak nie była długotrwała.

Włoch umieścił się tuż przy drzwiach i palił w dalszym ciągu swoje cygareto, co, jako stojącemu na platformie, było dozwolone, ale on pragnął się jeszcze zemścić. Zaciągał się więc, jak mógł najsilniej, po czym szybkim ruchem, wsadzając głowę do środka, puszczał kłęby dymu pod rondo biednego, popielatego kapelusika. Zabawka ta trwała czas jakiś, ku tajemnemu zadowoleniu pewnej części współjadących. Po akcencie poznali cudzoziemkę i cieszyło ich, że jednak rodak wziął górę.

Ona bowiem już nie protestowała. Gburowaty Włoch przejmował ją teraz lękiem. Znała poręczność męża i przewidywała, że jeżeli mu się poskarży, wyniknie z tego awantura. Milczała więc, krztusząc się i zasłaniając twarz chusteczką. Ale bladła coraz bardziej i zaczynała się jej robić istotnie słabo.

— Ach! Mój Boże! Byle tylko Dusiek nie zobaczył — myślała — byle nie zemdleć! Dusiek rozszarpałby tego obrzydłego Włocha.

W przeciwległym końcu tramwaju siedziało dwoje młodych ludzi. Przyszli wcześniej i zdobyli najlepsze miejsca, a teraz szeptali nieustannie, widocznie mając sobie ogromnie dużo do powiedzenia.

Już siadając, pani Walunia zauważyła tę parę, a i teraz oczy jej, choć załamane od gryzącego dymu, mimowolnie zwracały się w ten kącik, gdzie bielili się pikowy, koronkami

⁷⁴*vis-à-vis* (fr.) — naprzeciwno. [przypis edytorski]

przybrany kostium młodej kobiety i pełną po nim, niby szkarłatny wąż długi, pluszowy szal.

W ciągu dzisiejszej wycieczki do Fiesole dwukrotnie już widziała ona tę suknię i ten szal. Raz, na tarasie restauracji „Italia”, gdy jedli lunch, pisząc w przerwach pocztówki do kraju, drugi raz w drodze na Monte Ceceri.

Ani wtedy, ani potem nie mogła dojrzeć twarzy właścicielki tego stroju, domyślała się tylko, że musiała być młodą i piękną po sposobie, w jaki na nią patrzył i rozmawiał z nią jej towarzysz, jasnowłosy młodzieńczyk, typ delikatny, nerwowy, częstszy w północnych Włoszech, niżby się zdawać mogło tym, którzy powierzchowność synów Italii zwykli identyfikować z kruczymi włosami i bujną, zmysłową urodą.

Pani Walunia, sama pławiąc się w atmosferze miłości, odczuwała żywą sympatię dla wszystkich zakochanych. Zainteresowała się więc i tą parą już tam, na tarasie restauracji.

— To muszą być narzeczeni — zawyrokowała Duśka z powagą doświadczenia mężatki od dwóch miesięcy.

— Po czym to wnosisz, Walucho? — zapytał mąż, znajdujący się jeszcze w tej fazie, w której naiwne uwagi żony nie wydają się brzęczeniem uprzykrzonej muchy, lecz czymś niesłychanie miłym i odświeżającym zblazowaną męską naturę.

Zamiast odpowiedzi pokazała mu oczyma stół tamtych dwojga.

Odwrócona do nich plecami kobieta, trzymała szkarłatną, jak jej szal, różę o długiej łodydze i na przemian — to podnosiła ją do ust, to muskała nią rękę siedzącego naprzeciwko niej młodzieńca.

Było istotnie coś ogromnie dyskretnego w tej pieszczocie.

A potem, na Ceceri, gdy ich państwo Duśkowie spotkali, tworzyli jeszcze poetyczniejszy obrazek.

Ona, także tyłem do górskiej drożyny zwrócona, siedziała bez kapelusza na swym szkarłatnym szalu wśród oślepiąco białych kamieniołomów, którymi zabudowywa się cała Florencja i które tak słusznie noszą nazwę *pietra serena*⁷⁵, a on stał nad nią z ogromnym pękiem tych maleńkich, drżących narcyzików, niby wonny, rozchybotany śnieg oblepiających skłony włoskich wzgórz, i sypał jej kwiaty na głowę. Coś mówił przy tym cicho, z przejęciem; a ona tę głowę, obciążoną bogactwem czarnych warkoczy, podnosiła ku niemu dziwnie zapatrzonym i zasluchanym ruchem.

— A co, Duśku, widzisz — rzekła wtedy pani Walunia tryumfująco i dodała z lekkim wyrzutem: — Ty mnie już nie obsypujesz kwiatami! Ty już jesteś.... mąż!

On tego oskarżenia nie wziął zbyt do serca, a że w tej chwili urwisty zakręt dróżki zasłonił ich, jak parawanem przed tamtą parą, więc otoczył ramieniem dziewczęcą kibić żony.

I rzekł:

— Za to obsypuję cię pocałunkami. Czy mój kociak wołałby kwiaty?

Pani Walunia jeszcze teraz w tramwaju rumieni się na wspomnienie niemej, a tak bardzo wymownej odpowiedzi, jaką to pytanie wywołało. Lecz wnet błędnie straszliwie.

Nie! Nie wytrzyma dłużej! Stanie się z nią coś okropnego! O Boże! Byłe tylko Duśki...

W tym samym momencie kobieta w białej sukni, która od początku zajścia z Włochem rzucała na nią biedaczkę przelotne spojrzenia, pochyliła się ku swemu towarzyszowi i coś mu szepnęła.

Ten wstał natychmiast i podszedł do pani Waluni.

— *Signora*⁷⁶ zechce usiąść tam. Będzie wygodniej — rzekł, wskazując opuszczone przez siebie miejsce.

Ona wstała skwapliwie, wyszeptawszy jakąś podziękę i przesiadła się na wół oszołomiona z nieznośnym zawrotem w głowie.

Po chwili jednak, gdy ją świeże powietrze otwartego okna owiało, doznała ulgi i zwróciła się ku swojej nowej sąsiadce, która wciąż spoglądała na nią przyjaźnie.

— Jaka pani... jacy państwo dobrzy, — rzekła z wdzięcznością — ten szkaradny człowiek byłby mię uwędził na śmierć!

⁷⁵*pietra serena* — szary piaskowiec szeroko stosowany w renesansowej Florencji jako detal architektoniczny. [przypis edytorski]

⁷⁶*signora* (wł.) — pani. [przypis edytorski]

— Widzieliśmy to — odparła tamta. — To gbur. Takich tu wielu — dodała z jakąś ogromną goryczą i mówiła dalej: — Widzi pani, jak on tylko tam usiadł, ten zaraz się cofnął. Tacy są tylko z kobietami odważni. O! Ja ich znam.

I znowu mściwa gorycz zadźwięczała w jej głosie.

— Jestem cudzoziemka — rzekła pani Walunia, nieco zdziwiona — ale słyszałam zawsze o pani rodakach jako o pełnych galanterii dla dam.

Nieznajoma zaśmiała się krótko.

— Dla dam! — powtórzyła z nieujętą intonacją. — Dla dam!

— Zresztą towarzysz pani dał tego najlepszy dowód — ponowiła młoda mężatka. — Wszak, aby mnie obcej dopomóc, pozbawił się towarzystwa pani.

— O! Ja mu kazałam — odpowiedziała Włoszka — i tak byliśmy cały dzień razem. *Fa niente*⁷⁷!

— To narzeczony pani? — zapytała z pewną nieśmiałością pani Walunia, czując dobrze niewłaściwość takiego pytania, skierowanego do osoby nieznanegoj.

To też tamta wydała się tym jakby zaskoczona i zmieszana. Gwałtowny rumieniec oblał jej matowe policzki, w czarnych oczach mignął szczególny płomyk.

— *Come*⁷⁸? — wykrzyknęła mimo woli; ale wnet, opamiętawszy się, pośpiesznie zaczęła mówić: — Tak; to mój narzeczony... Pobierzemy się jeszcze w tym roku... On jest jeszcze bardzo młody, *bambino mio*⁷⁹, dwadzieścia lat; ale już na siebie pracuje. Ma posadę w banku. Na Nowy rok dostanie z pewnością awans. Wtedy się pobierzemy... Rodzice jego są bardzo zamożni, ale on nic od nich nie chce... Idzie o własnych siłach... mój narzeczony. I taki dobry z niego chłopiec. Pani nie może mieć pojęcia, jaki on dobry... delikatny...

— Z pewnością nie lepszy od pani — wtrąciła serdecznie młoda mężatka, którą opowiadanie Włoszki ujmowało swą szczerością, a zarazem w jakiś nieokreślony sposób dziwiło.

— Ja państwa widziałam we Fiesole — dodała — i od razu poczułam dla was wielką sympatię. Jakbym odgadła, że zaciągnę względem państwa dług wdzięczności.

Włoszka uczyniła niedbały, lekko trywialny, ruch ręką białą, wypieszczoną, ale nie rasową, przybraną obfitością mało wybrednych pierścionków.

— *Fa niente! Fa niente!* ⁸⁰— powtórzyła. — Pani nas widziała? Ach, to był cudny dzień!... Cały na świeżym powietrzu; na wsi, na swobodzie!... Ja kocham wieś... Tak czysto, świeżo, tak przestrono... tak... ludzko! A miasta nie znoszę, nienawidzę!

— A jednak będzie pani musiała mieszkać w mieście — zauważyła pani Walunia z uśmiechem — skoro narzeczony pani jest urzędnikiem banku. Ja na odwrót przepadam za miastem, choć jestem dzieckiem wsi. Marzeniem moim było wyjść za mąż do stolicy. Ale serce wyplatało mi figla. Pokochałam ziemianina i, gdy teraz wrócimy z naszej podróży poślubnej, będę już zapewne do końca życia mieszkała na wsi! Cóż robić! Żona wszędzie musi iść za mężem. Takie już nasze przeznaczenie.

Rozgadała się, czując instynktownie, że w tym co mówi, jest coś, co sprawia szczególniejszą przyjemność jej sąsiadce, jakby ta, taka przecież zwyczajna rozmowa była dla niej pełną uroku nowością. Spostrzegła, zwłaszcza, że gdy wymawiała wyrazy „narzeczony”, „mąż”, „zamażpójście”, tamta przymykała z lekka oczy i, rozchyłając usta, zdawała się wciągać w siebie te dźwięki, niby upajającą woń jakichś rzadkich kwiatów.

Dopiero przy ostatnich słowach sposepniała nagle.

— Nasze przeznaczenie! — powtórzyła, zamyślając się.

Pomiędzy delikatnymi łukami jej czarnych brwi zamyślenie to wyłobilo pionową bruzdę; wyraz nieopisanej goryczy skrzywił przeszlicznie zarysowane usta. Rzecz było można, iż postarzała w jednej chwili o lat dziesięć!

Pani Walunia śledziła ją ciekawie swymi błękitnymi oczyma zaledwie zbudzonej do życia kobiecości. Nie mogła wcale zdać sobie sprawy, do jakiej sfery ta piękna osoba może należeć.

Ubiór jej był mieszaniną wytworności, dystynkcji i złego smaku.

⁷⁷*Fa niente* (wł.) — nic się nie stało. [przypis edytorski]

⁷⁸*Come* (wł.) — jak to? [przypis edytorski]

⁷⁹*bambino mio* (wł.) — dziecko moje. [przypis edytorski]

⁸⁰*Fa niente! Fa niente!* (wł.) — nic się nie stało! nic się nie stało! [przypis edytorski]

Biały, pikowy kostium, doskonale skrojony, wykończeniem świadczył o robocie pierwszorzędnego krawca; natomiast kapelusze ogromny, czarny, ze wspaniałymi strusimi *pleu-reuse'ami*⁸¹ raził niestosownym na zamiejską wycieczkę rodzajem i zbytkiem, najbardziej zaś raziły klejnoty, którymi piękna Włoszka była literalnie obwieszona. Kolczyki, broszka, medalion, bransolety, breloki, łańcuszki, pierścionki, wszystko to połyskiwało i brzęczało za każdym jej poruszeniem; pani Walunia wydało się nawet w pierwszej chwili, że dostrzeżę złotą obrączkę, opasującą nogę Włoszki w kostce na ażurowej, jedwabnej pończosze; a wszystko to było ową tanią, pospolitą tandetą, którą tak obficie na użytek cudzoziemców produkuje florencka jubilerszczyzna.

Przy bliższym wpatrzeniu się ta blade, matowa, jak z alabastru wycięta, twarz nie sprawiała wrażenia tak młodej, jak na pierwszy rzut oka. Było w niej coś zmiętego; w kącikach ust karminowych krył się wyraz znużenia. Przepyszne, czarne oczy o ciężkich, posiatkowanych liliowymi żyłkami powiekach, raz po raz, jakby z nałogu, rzucały szybkie, ukradkowe spojrzenia na wszystkie strony i wnet kryły się pod długie, wywinęte rzęsy. Całość jednak miała ogromnie dużo wdzięku, szedł od niej jakiś niepojęty czar odrębności, jakieś szczególne połączenie gołębic i kotki, słodkiej melancholii i efronterii.

Pani Walunia instynktownie wyczuwała te odcienie i była tak pochłonięta tą nową znajomością, tak przy tym uszczęśliwiona ze swojej łatwości prowadzenia rozmowy w języku włoskim, co jej się zdarzyło dopiero po raz pierwszy, bo dotychczas umiejętność tę mogła wypróbować jedynie na *facchin'ach*⁸² i obsłudze sklepowej, że prawie zapomniała o swoim Duśku.

On zaś stał już chwilę we drzwiach tramwaju i patrzył na nią. Zająście z grubym Włochem, palącym cygaro, uszło jego uwagi, dopiero gdy nastąpiła zamiana miejsc, zajrzał do środka i zobaczył żonę, gawędzącą już w najlepsze z piękną nieznajomą. Tadeusz, jak większość mężczyzn, mało się interesował szczegółami stroju kobiecego, nie poznał więc ani po szalu, ani po kostiumie jaskrawym, że ich właścicielka była tą samą, której plecy widział w restauracji i na *Monte Ceceri*. Teraz jednak, gdy ujrzał jej twarz *en face*⁸³, musiała sprawić na nim jakieś szczególne wrażenie, bo ściągnął brwi i uczynił taki ruch, jakby chciał wejść do środka.

Wnet się przecież rozmyślił. Rozbawiony uśmiech zaigrał mu na ustach; w oczach błysnęły jakieś przekorne ogniki, jak u pustego chłopca, któremu się nadarza doskonały figiel. Wyraz ten dziwnie uwydatnił jego bujną, zdrową młodość, i gdy wreszcie pani Walunia spojrzała w jego stronę, musiała się aż uśmiechnąć, taki jej się wydał piękny i zachwycający.

Zaczęła też kiwać mu główką, pokazując białe ząbki i przybierając bardzo tryumfującą minę. Włoszka spostrzegła go również.

— To mąż pani? — zapytała.

— Tak — odrzekła z dumą młoda kobieta.

— Piękny kawał mężczyzny — zauważyła tamta tonem znawczyni.

Określenie to po prostu zaskoczyło panią Walunię. Z rodzajem osłupienia wpatrzyła się w swoją sąsiadkę; wnet jednak przyszło jej na myśl, że może nie zrozumiała dobrze, lub że we Włoszech jest przyjęte, aby młode osoby, mające w dodatku narzeczonych, tak po taksatorsku zachowywały się względem powierzchowności obcych mężczyzn.

Lecz i nieznajoma musiała się spostrzec, że popełniła niestosowność. Gwałtowny rumieniec wytrysnął na jej blade policzki; niespokojne światelka zamigotały w czarnych oczach.

— *Scusate, signora*⁸⁴ — szepnęła z pomieszaniem i, jakby chcąc zatrzeć niefortunne wrażenie, zapytała pośpiesznie:

— A państwo do jakiej narodowości należą? Wszak nie Anglicy i nie Niemcy?

— O, nie! — zaprzeczyła pani Walunia z jeszcze większą dumą. — My jesteśmy Polacy.

Włoszka ucieszyła się.

⁸¹*pleu-reuse'ami* — płaczki; kobiety wynajmowane dawniej do okazywania rozpacz i oplakiwania czyjejś śmierci; też: fryzura męska, w której włosy zaczesane są na kark. [przypis edytorski]

⁸²*facchin'ach* (wł.) — tragarz. Tu: tragarzach. [przypis edytorski]

⁸³*en face* (fr.) — z przodu. [przypis edytorski]

⁸⁴*scusate, signora* (wł.) — przepraszam panią. [przypis edytorski]

— Polacy! — powtórzyła z uśmiechem. — Ach! powinnam się była domyśleć! Tylko Polacy potrafią być tak sympatyczni. Znałam dwóch Polaków. Zupełnie byli inni.

— Doprawdy? — podchwyciła pani Walunia zaciekawiona. — Gdzie ich pani poznała? Jak się nazywali?... Może to moi znajomi?

Teraz Włoszka zmieszała się jeszcze bardziej niż poprzednio. Już nie tylko policzki, lecz cała jej twarz od hebanowej fali włosów nad czołem po koronkowy kołnierzyk pikowego żakietu stanęła w pąsach. Jej ciężkie, a jednak osobliwie ruchliwe powieki załopotwały jak skrzydła schwytanego motyla; usta drgnęły i wnet zacisnęły się boleśnie.

— Ja... ja... nie wiem — wybełkotała po chwili, z widoczną trudnością. — To już dawno... Zapomniałam... Polskie nazwiska są takie dziwne.

Tymczasem tramwaj dobiegł do *barriera della Quercus*.

Słońce zniknęło już zupełnie za szczytami. Szybki, górski mrok spadł na ziemię. W wagonach zapalono elektryczność. Wnet potem jasnowłosy młodzieńczyk, który ze swego miejsca nie przestawał wpatrywać się w swą ukochaną jak w tęczę, piastując na kolanach jej aksamitny, perełkami haftowany woreczek, wstał i zbliżył się do niej.

Zamienili kilka słów szeptem, uścisnęli się mocno za ręce, on oddał jej woreczek, szybko wyszedł na platformę i zręcznie w biegu wyskoczył.

Ona wiodła za nim oczyma, dopóki, przebiegłszy na chodnik, nie zniknął w bocznej uliczce, po czym westchnęła przeciągle i zamyśliła się, jakby zapomniawszy na chwilę o swojej sąsiadce, dla której ta drobna scena stała się znowu źródłem zdziwienia tak wielkiego, że nie mogła się powstrzymać, aby go nie okazać:

— Jak to? Narzeczony nie odprowadza pani do domu?

Włoszka podniosła na pytającą przygasłe spojrzenie.

— On?... Mnie!... — wyrzekła z roztargnieniem i ponowiła śpiesznie: — Och! To niemożliwe... Rodzice jego mieszkają w tych stronach. I bardzo nie lubią, żeby się spóźnił na obiad. A ja... mieszkam daleko...

— Tym bardziej mi przykro, że... — zaczęła pani Walunia, ale tamta nie dała jej dokończyć, czyniąc ten sam, co poprzednio trochę trywialny ruch ręką:

— To nic! To nic! Zobaczymy się znowu niezadługo i...

— I macie państwo przed sobą całe życie do spędzenia razem — uzupełniła pani Walunia z uśmiechem. — To jedno mnie też pociesza w tym, że⁸⁵ tak mimo woli popsula państwu zakończenie wycieczki.

— Całe życie — powtórzyła Włoszka dziwnym głosem. — O! Tak *signora*, całe życie... Jakie to będzie piękne!

I raptem parsknęła śmiechem do urwanego łkania podobnym.

Teraz pani Walunia była już całkowicie stropiona. Ogarnęło ją poczucie, że stąpa po jakimś niepewnym gruncie, który wciąż zapada się pod nią. Ale dlaczego?

— Pani mi daruje — ozwała się nieznajoma po chwili milczenia — jestem czasem bardzo niemądra. Plotę sama nie wiem co. Ale to miasto tak na mnie działa. Och! To miasto!

I rzeczywiście, w miarę, jak tramwaj przebiegał coraz ruchliwsze ulice, dążąc w śródmieście, twarz jej posępniała i jakby starzała się w blaskach zapalanych latarni. Prowadziła wciąż rozmowę ze swoją sąsiadką, ale jakby zwalczając ogarniające ją roztargnienie, a ukradkowe spojrzenia, wybiegające spod jej powiek, stawały się coraz częstsze i coraz niespokojniejsze.

Pani Walunia nie mogła już tak szczegółowo śledzić tych zmian, gdyż zaczęło ją korcić niewytłumaczone zachowanie się męża. Chociaż w tramwaju czyniło się coraz przestronniej, a ona dawała mu znaki, aby usiadł przy niej, z widoczną chęcią przedstawienia go Włoszce, Tadeusz wstrząsnął tylko odmownie, głową i wycofał się zupełnie na platformę.

Tak dojechali do *Piazza del Duomo*⁸⁶.

— Tu już kres naszej podróży — rzekła młoda kobieta, wstając. — Jeszcze raz dziękuję Pani z całego serca.

⁸⁵ *zem* (...) *popsula* — daw. konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; dziś: że popsulałam. [przypis edytorski]

⁸⁶ *Piazza del Duomo* — zespół zabytkowy w Pizie, składający się z czterech arcydzieł architektury średniowiecznej: katedry, baptysterium, kampanili, zwanej „Krzywą Wieżą” oraz cmentarza. [przypis edytorski]

— Nie ma za co, nie ma za co — odpowiedziała Włoszka i dorzuciła ciszej, zmienionym głosem: — To ja raczej powinnam pani dziękować!

Oczy jej ze szczególnym wyrazem ogarnęły postać młodej polki. Mogło się wydać, że jej dziwnie ciężko rozstawać się z tą przygodną znajomą.

— Pani także wysiada? — zapytała pani Walunia.

— Tak. Tramwaj nie idzie dalej. I to także moje strony.

Mimo to nie ruszała się z miejsca.

Tamta wyciągnęła do niej rękę.

— Żegnam więc panią i życzę szczęścia na nowej drodze życia.

Oczy Włoszki zapłonęły błogością. Znowu wyglądała tak, jakby jakaś cudna muzyka pieściła jej uszy.

— Dziękuję, dziękuję *bella signora*⁸⁷! — szepnęła.

Głos jej nieco chropowaty stał się w tej chwili przedziwnie miękkim i melodyjnym.

— Może się jeszcze kiedy spotkamy — dorzuciła pani Walunia serdecznie — Florencja taka mała, a my się wciąż włóczymy po ulicach.

Domawiając tych słów, uczuła, że ręka Włoszki, obejmująca wciąż jej dłoń, drgnęła gwałtownie, a na jej bladej twarzy wypiętnował się wyraz prawie przestachu.

Nie zawtórowała życzeniu młodej Polki, przeciwnie, puściła szybko jej palce, szepcząc:

— *Addio, signora, addio*⁸⁸!

Pani Walunia opuściła wagon niepowszednio zaintrygowana. U stopnia platformy czekał już na nią mąż i pomógł jej wysiąść. Spostrzegła, iż twarz drga mu od tłumionego śmiechu.

— Dusiek? Co ty wyrabiasz? — zapytała biorąc go pod rękę. — I czemu nie przyszedłeś, gdyś kiwała na ciebie?

— Żebyś mnie przedstawiła twojej nowej przyjaciółce? — odpowiedział wciąż śmiejąc się. — Dziękuję uniżenie!

Raptem spowaźniał.

— Wiesz, Waluchno, nie przypuszczałem, żeś taka pochopna do zawierania znajomości w tramwajach. To czasem może być niebezpieczne. Dobrze tu, gdzie nas nikt nie zna i — dodał z dumą — gdzie ja czuwam nad tobą...

— Ależ, Duśku, bo ty nie wiesz o niczym.

I zaczęła z wielkim przejęciem opowiadać mu swoją przygodę.

Słuchał uważnie, ale wprędce przerwał jej, pełen zapału obrońcy, któremu ta rola nie zdążyła się jeszcze naprzykrzyć:

— To łotr! Biedactwo moje! Czemuś mi nie powiedziała Waluto! Byłbym mu kości pogruchotał... Takie bydlę! On śmiał.

— Ja wiem, żebyś mu nie był tego darował... I dlatego właśnie... Ale słuchaj dalej.

Tym razem już jej nie przerwał, tylko uśmiechał się coraz filuterniej.

— Widzisz — kończyła tryumfująco — jaka to delikatna i dobra natura. Jakże miałam nie podziękować jej i nie porozmawiać.

— Zapewne... Ale...

— Tym bardziej, Duśku, że wzajemnie poczułyśmy do siebie jakąś sympatię. Bo nie umiem ci wypowiedzieć, z jaką ona przyjemnością rozmawiała ze mną.

— Wierzę... wierzę... Tylko czy ty wiesz, Waluś, kto ona?

— Jak to, kto ona? Alboż ty ją znasz, Duśku?

Spojrzała na męża zaniepokojona.

— Prawda, żeś ty już był we Florencji za kawalerskich czasów. A ona coś wspominała o dwóch Polakach znajomych... I tak się raptem zmieszała... Powiedz, może ty się w niej kochałeś?

Tadeusz parsknął rozbawionym śmiechem.

— Nie! Nie! Uspokój się mała zazdrośnico... Znam ją o tyle, o ile może ją znać z widzenia każdy kto wieczorami bywa na placu Wiktora Emanuela. Onegdaj nawet pokazywałem ci ją gdyśmy wracali do domu. Szła środkiem naszej ulicy. Pamiętasz? Tylko mój Dziecius ma trochę krótki wzrok. Widocznie to jej rewir.

⁸⁷*bella signora* (wł.) — piękna dama. [przypis edytorski]

⁸⁸*Addio, signora, addio!* (wł.) — żegnaj, pani, żegnaj! [przypis edytorski]

Pani Walunia aż przystanęła:
— Dušku! Co ty mówisz? Przecież ona ma narzeczonego. Wychodzi niezadługo za
mąż.

— Tak ci naopowiadała? Ach! Ty dzieciaku! Kocham cię jeszcze bardziej za tę twoją
naiwność.

Pani Walunia obraziła się.

— Mój Dušku, bardzo cię proszę... Ja się właśnie umiem poznawać na ludziach.
W domu wszyscy mi to przyznawali. I mama, i tatuś, i siostry... A przy tym to było takie
widoczne, że oni się kochają!

— To jedno drugiemu nie przeszkadza.

— Dušku! Ty chyba żartujesz! Bo ja sobie wyobrażałam, że takie kobiety nie są zdolne
kochać. A tamten?... On może nie wie, że ona... taka?

— Bądź spokojna. Wie doskonale.

— Jakże?... I mimo to?... Pamiętasz, tam na *Monte Ceceri*... jak jej sypał na głowę
białe kwiaty. Wyglądali na taką poetyczną parę... Nic z tego wszystkiego nie rozumiem.

— Tym lepiej, Dziecius. — Nie zaprzatuj sobie tym głowiny.

— Ale kiedy mnie jej żal... Bo jeżeli on się z nią nie ożeni, a ona go kocha... Bo ona
go bardzo kocha, Dušku. Przysięgłabym na to.

— Pociesz się — odparł Tadeusz niedbale. — Zresztą, ręczę ci, że jej małżeństwo
ani w głowie... Ot, tak. Plotła, bo jej to pochlebiano, że jej wierzysz.

— To zapewne dlatego nie odprowadzał jej do domu?... Wstydzi jej się. Prawda,
Dušku?

— Bardzo możebne.

— Och! Biedna. Teraz już rozumiem, czemu tak posmutniała... Chociaż nie!... To
niepodobna... Mnie by ostrzegł jakiś instynkt, jakiś wstręt, że to „taka„. A to było prze-
ciwnie... Nie! Dušku! Ty się chyba mylisz!

— No, no. Zobaczymy. Jeszcze ja ci ją pokażę.

W parę godzin później Tadeusz z żoną siedzieli przed wielką kawiarnią na placu Vit-
torio Emanuele, jak to bywało ich zwyczajem po zjedzeniu obiadu w pensjonacie.

Wieczór był prześliczny. Potoki księżycowego światła lały się z nieba; potoki prze-
drzeźniającej je elektryczności lały się z wielkich, lustrzanych okien kawiarni; a w tym
podwójnym oświetleniu tonęły gęsto na asfalcie porozstawiane stoliki i pławili się ob-
siadający je goście. Muzyka wojskowa grała na placu; tłumy spacerujących przepływały
jak gwarne i barwne fale, roznosiciele pism przenikliwymi głosami wykrzykiwali nazwy
swoich dzienników. Dokoła stolików krążyły uśmiechnięte *fioraje*⁸⁹ podsuwając gościom
snopy róż i zaznaczając swe przejście smugą szkarłatu i woni.

Państwo Duśkowie byli w przepysznych humorach. Spotkali przypadkiem dobrego
znajomego ze swoich stron, który był nawet drużbą na ich weselu i teraz siedzieli we
trójkę przy jednym z najbardziej wysuniętych na plac stolików, jedząc *granita*⁹⁰, wachając
róże i wybuchając co chwila tym łatwym śmiechem młodości i szczęścia, który tak prędko
gubimy na gościńcu życia.

Rozochocony Tadeusz pomimo protestów pani Waluni opowiedział przyjacielowi jej
dzisiejszą przygodę.

— I wyobraź sobie, Karolu — dodał z pewną przechwałką w głosie — że to moje
anielstwo nie chciało wierzyć, jaka rybka uловиła się w sieć jej niewinności.

— I jeszcze nie wierzę — odparła młoda kobietka energicznie potrząsając główką. —
Zastanowiłam się nad tym i powtarzam. To niemożliwe! Dusiek się omylił!

On tymczasem aż podskoczył na krześle.

— No, to patrz, ty niewierna Tomassino! — zawołał.

Od środka placu, wprost na stolik, przy którym siedziało polskie towarzystwo, szły
dwie kobiety, trzymając się pod ręce. Jedna wysoka, tęga blondyna zmysłowo tycjanowski
typ: druga także wysoka, lecz kontrastowo smukła i kruczo-włosa. Ta druga... to była
narzeczona z Fiesole.

Spotkanie, Współczucie,
Grzeczność

⁸⁹*fioraje* (wł.) — kwiaciarki. [przypis edytorski]

⁹⁰*granita* — lody włoskie z mrożonego soku owocowego. [przypis edytorski]

Miała na głowie ten sam olbrzymi kapelusz z piórami i tylko pikowy kostium zmieniła na jedwabną, ostro cytrynowej barwy suknię, zdobną w błyszczące hafty i koronki. Wspaniałe boa z białych strusich piór otaczało jej obnażoną szyję; a z jego zwojów wychylała się jej ściągła twarz kamei, uróżowana, wyzywająco uśmiechnięta, niby ta sama, a przecież zupełnie inna. Obie szły elastycznym, rozchybotanym chodem, rozmawiając głośno z częstymi wybuchami śmiechu, i widoczną chęcią zwrócenia na siebie uwagi.

— I co powie teraz mój uparciuszek? — rzekł Tadeusz do żony.

Lecz ona nic nie powiedziała. Łyzeczka wypadła jej z ręki; różowe usta rozwarły się z lekka, a błękitne oczy z wyrazem zgrozy, zdumienia i wstrętu utkwiły w twarzy pięknej Włoszki.

W tej chwili spojrzenia ich spotkały się. I pani Walunia zobaczyła, jak tamta zbladła nagle pod różem, okrywającym jej policzki, jak ciężkie powieki, spod których wylatywały rakiety szybkich spojrzeń, opadły, łopocąc długimi rzęsami, a na ukarminowanych ustach zamarł banalny uśmiech, ustępując miejsca skurczowi nieopisanego bólu i zawstydzienia.

W momencie tym jakby zasłona jakaś rozdarła się przed oczyma pani Waluni. Ukazała jej się ta odwrotna karta życia, złożona z dziwnych powikłań i mętnych tragizmów, której istnienia nie domyślała się nawet ona, dla której białe było dotychczas na wskroś białym, a czarne na wskroś czarnym.

I oto sercem tej młodziutkiej istoty, szczęśliwej żony, czystej jak lilia kobiety, szarpnęła bezgraniczna, przemożna litość...

A gdy po chwili oczy tamtej podniosły się z wolna i spojrzały na nią trwożnie, jakby błagając o przebaczenie, ona uśmiechnęła się słodko i wobec tego całego wytwornego tłumu przesłała ulicznicy przyjazny ukłon swą złotowłosą główką.

Ale i z tamtą stało się coś dziwnego. Mogło się zdawać, iż niebo rozstąpiło się przed nią. Cudny wyraz zachwyty okolił jej usta, boleśnie przed chwilą skrzywione rysy, wyszlachetniały nagle, w oczach zamigotało i duże łzy, jak brylanty, zawisły na rzęsach.

I z tymi łzami, z wolna spływającymi na policzki, z całą przeistoczoną postacią, jakby kornie naprzód podaną, a jednocześnie z wyrazem nieopisanego tryumfu i uszczęśliwienia odkloniła się młodej Polce.

Potem, szybko pociągnąwszy swą osłupiałą ze zdumienia towarzyszkę, zniknęła w tłumie.

Ale przy stolikach zauważono tę małą scenę i jakiś szmer rozszedł się dokoła. Oczy wszystkich gości zwróciły się na panią Walunię.

Tadeusz pochylił się ku żonie gniewny.

— Walo! Czyś ty oszalała?

Ona podniosła na niego promienne spojrzenie.

— Nie, Duśku. Tylko ta kobieta dała mi dowód takiej dobroci i delikatności uczuć, na jaki może nie zdobyłaby się niejedna z dam naszego świata. I dlatego nie mogę zapłacić jej za to niewdzięcznością i pogardą.

A widząc, że mąż wciąż siedzi zasępiony, położyła mu piśczętliwie małą dłoń na rękę i szepnęła miękko:

— Duśku! Najdroższy! Rozchmurz się. Ja cię tak bardzo kocham.

I Dusiek, jako będący w fazie, w której podobne dotknięcia i szepty posiadają władzę czarodziejskiej różdżki, nie tylko rozchmurzył się, ale wpadł w jak najlepszy humor.

Pod wpływem takiego nastroju zaproponował wspólną "bumblerkę"⁹¹ z przyjacielem. Wzięli więc *vetturę*⁹², i pojechali na San Miniato i Plac Michel Angelo, by stamtąd popatrzeć przy księżycu na bajkowo uroczą panoramę Florencji.

A wracając wstąpili do pierwszorzędnej restauracji na kolację z Asti spumante⁹³ i było już dobrze koło drugiej, kiedy wreszcie znaleźli się na swojej ulicy.

Noc, po ciepłym wieczorze uczyniła się, jak to często bywa we Florencji, bardzo chłodna. Tadeusz niepokoił się o żonę i co chwila poprawiał na niej troskliwie fałdy oszytej marabutami⁹⁴ etoli, a ona tuliła się do jego boku i ten powrót pod wspólny dach,

⁹¹*bumblerka* — pijatyka. [przypis edytorski]

⁹²*vettura* (wl.) — auto, pojazd. [przypis edytorski]

⁹³*Asti spumante* — białe, słodkie, musujące wino [przypis edytorski]

⁹⁴*marabut* — ptak o lysej głowie, silnym dziobie i nagiej szyi ze zwisającym workiem skórny, żyjący w Afryce. Tu: ozdoby pióra. [przypis edytorski]

mający wnet osłonić ich pieśczoły i spoczynek, napelniał ich jakąś subtelną rozkoszą, którą oboje wyczuwali w sobie wzajemnie.

Ulica pięła się trochę pod górę i była w tej chwili zupełnie pusta.

Nagle, na środku jej, w pewnym oddaleniu, jakby spod ziemi ukazała się postać kobieca.

Widocznie musiała wyjść z jakiejś przecznicy i teraz zaczęła z wolna postępować naprzód z pochyloną głową, z rękoma zanurzonymi w kieszenie białego, trykotowego płaszcza, który obciskał jej smukłe kształty jak futerał.

Pomimo nowego przebrania, pani Wulunia poznała ją natychmiast.

— To ona — szepnęła, pokazując ją mężowi.

— Może chcesz się z nią przywitać i zaprosić do nas na jutro na *lunch*? — zażartował Tadeusz.

— E, Duśku, daj pokój. Mnie jej żal. Ona musi być bardzo nieszczęśliwa. Patrz, jak wolno idzie, jaka zmęczona...

— Zwyczajnie, jak myśliwy, który się za zwierzyną nachodził — odparł Tadeusz nie dbale.

Kobieta istotnie ledwo się wlokła. Jakiś niewidzialny ciężar zdawał się leżeć na jej ramionach i przytłaczać ją do ziemi.

Kroki idących trotuarem rozlegały się głucho w pustce pałaców, brzęczących obie stro-ny wąskiej ulicy swą ponurą, minioną świetnością.

Ona jednak zdawała się ich nie słyszeć, tak samo, jak zdawała się nie widzieć, gdy tamci nadeszli i znaleźli się z nią na jednej linii. Tylko głowa jej pochyliła się jeszcze niżej, a ręce, zanurzone w kieszeniach, przycisnęły się instynktownie do bioder, jak gdyby uczuła raptem wielkie zimno.

Mimo to musiała ich poznać, bo zwolniła jeszcze kroku, a skoro ją minęli, szła za nimi wciąż w pewnym oddaleniu i przeprowadziła ich tak aż do drzwi wspaniałego ongi⁹⁵ pałacu, dziś zamienionego na pensjonat, w którym mieszkali.

Nazajutrz pani Wulunia otrzymała olbrzymi bukiet najpiękniejszych białych róż, konwalii i magnolii, związany białą, morową wstęgą, do której przypięty był liścik.

Na bileciku dużym, niewprawnym pismem czernił się napis: *Alla bella e soave signora Polacca*⁹⁶, a wewnątrz tylko te słowa: "W hołdzie i podzięce od tej, której się już nikt nie kłania".

PIERZCHLIWE DZIECKO

Na świecie, jak wiadomo, różne bywają czasy: złe, dobre, najgorsze i najlepsze. Wprawdzie tych najlepszych ludzie nigdy ocenić nie umieją, a o najgorszych powtarzają uparcie, że są, gdy dawno minęły. Ale to inna rzecz.

Były jednak ongi⁹⁷, niesłuchanie, bajecznie dawno takie czasy, które dziś nazwalibyśmy nijakimi. Trwały krótko i to było całe szczęście, inaczej bowiem ludzkość byłaby wymarła z nudów i oblepiającej dusze, jak galareta dziwnej, mdłej beztroski.

Nic ich bardzo nie smuciło i nic bardzo nie radowało. Wszyscy okuliści (boć⁹⁸ na ślepotę za czasów Tobiasza leczono) przerwali się do innych zajęć, nikt bowiem nie cierpiał na oczy, które nie znały co to łzy, ani mgła wzruszeń, lecz patrzyły przed siebie jasno, wyraźnie i... tępo.

Ludzie byli krótkowidzami, nie czując tego, gdyż nie znajdowali się pomiędzy nimi tacy, którzy by wzrokiem sięgali w dal i ukazywali innym to, czego tamci dostrzec nie mogli.

Nie była to przecież najdziwniejsza cecha tych dziwnych czasów. Najdziwniejsza polegała na tym, że ludzie nie znali młodości. Z dzieci stawali się od razu osobami dojrzałymi, w tym znaczeniu, że już o żadnym rozwoju duchowym nie było mowy; byli spokojni, zrównoważeni, trzeźwi, obce im były wszelkie porywy i śmiałe rojenia, co drwią z rzeczywistości, a sercom rozkosznie bić każą: i przeżywali w tym wieku średnim, szarym, długie lata, po czym przychodziła nagle starość, niedołęstwo zupełne i wnet potem śmierć.

⁹⁵ongi — daw. kiedyś. [przypis edytorski]

⁹⁶*Alla bella e soave signora Polacca* (wl.) — do pięknej i delikatnej Polki. [przypis edytorski]

⁹⁷ongi — daw. kiedyś. [przypis edytorski]

⁹⁸boć (daw.) — bo; bo przecież. [przypis edytorski]

Współczucie, Kobieta
"upadła"

Młodość, Przemijanie

Jednakże trafiali się w owych czasach uczeni, którzy twierdzili, że taki bieg życia jest nienormalny i że młodość nawiedza owych ludzi we właściwym czasie, tylko w nich samych, zrodzonych ze związków apatycznych i jakby z musu, nie ma jakichś wewnętrznych haczyków, nazywających się wyobraźnią i zapalem, a potrzebnych do pochwylenia młodości za jej lotne skrzydła i przytrzymania w duszy i ciele; ale ogół nie wierzył temu i wzruszał obojętnie ramionami.

„Co nam po młodości” — mawiano — „co byśmy z nią robili? Młodość, jak o niej głośzą podania, miała być bardzo piękną, ale i bardzo niebezpieczną epoką życia. Popętniane w niej błędy mściły się na całej przyszłości, a największa liczba samobójstw, pochodząca z młodzieży obu płci, co dowodzi, że ten zachwalany skarb musiał im się dawać porządnie we znaki”.

Tak rozumowali ludzie czasów nijakich, przeplatając swe dowodzenia ziewaniem. Prócz owej garstki uczonych, nie było komu sprzeczać się z nimi, a i tamci, wypowiedziawszy swoje przekonania, nie zadawali sobie trudów apostołstwa. W ogóle dyskutowano jak najmniej, skąpiąc słów. Mowa ludzka wyjąłowiona była z wielu określeń, bo nie mogły się upominać o nazwę pojęcia, których brakowało. Nie znano na przykład wyrazów: miłość, nienawiść, poświęcenie, zdrada i mnóstwo innych.

Nikt pod nikim dołków nie kopał, bo dla wszystkich stały otworem szlaki tak gładkie, równe i z powodu nie istniejącego współzawodnictwa jednolite, że każdy szedł w szeregu odpowiednim do swego uzdolnienia i sam nie poszturchiwany, nie przynaglany, innym w drogę nie wchodził. Nie zdarzało się też, aby ktoś plótł niedorzeczności lub robił głupstwa, które mają tę dobrą stronę, że można się z nich uśmieć do łez.

Nawet kobiety były wstrzemięźliwe w sądach i mało się zajmowały losem swoich bliźnich, co jedno wystarcza, aby ocenić jak dalece cudacznymi i nie do wiary wydawać się mogą owe czasy nijakie.

Uroda u tych istot bezbarwnych stanowiła sprawę drugorzędną. Łączenie się w pary było obowiązkowym, i każda kobieta brzydka czy ładna musiała dostać męża; jeżeli nie na wyłączną własność, to na współkę, więc dziewczęta nie troszczyły się o powaby i nie zazdrościły ich sobie nawzajem.

Tajony antagonizm dwóch płci, czający się pod różanymi girlandami⁹⁹ Erosa¹⁰⁰, nie istniał również. Mężczyźni i kobiety spoglądali na siebie, jak na dwie połowy całości, przeznaczonej do podtrzymania gatunku; poza tym nie było pomiędzy nimi żadnego serdecznego łącznika, żadnych namiętnych powikłań. Przeniewierstwo małżeńskie i rozwód, należały do owych nieistniejących pojęć tak samo, jak rozpacz zawiedzionego kochania. Jedynie matki umiały rozpaczać nad trumnami dzieci, bo przywiązanie macierzyńskie było w owych nijakich czasach czymś, co mogło się uważać jako przeżytek czegoś minionego lub zwiastuna czegoś, co miało dopiero przyjść.

W takim stanie rzeczy, pewnej parze małżeńskiej, bardzo długo bezdzietnej, urodziło się najniespodziewaniej¹⁰¹ dziecko.

Dzisiaj pierwszą myślą ludzi, których los obdarza potomstwem u progu starości, jest troska, czy, aby zdołają je wychować.

Ale rodzice owego dziecka, dalecy od radosnych uczuć Zachariasza i Elżbiety, przyjęli to spóźnione błogosławieństwo filozoficznie.

— Skoro przyszło na świat — powiedział mąż do żony — to zapewne da sobie na ziemi radę.

A żona powiedziała do męża:

— Masz słuszność — czyli słowa, których jako żywo dzisiejsi mężowie nie zwykli słyszeć z ust swoich połowic¹⁰².

I zaczęli naradzać się nad wyborem imienia dla maleństwa, co nie było rzeczą łatwą, ile, że jak się okazało, urodziło się ono bezpiecznym; rodzice zaś nie tylko nie zamierzali ukrywać tego faktu, lecz, przeciwnie, chcieli, aby wszyscy mogli się od razu domyślać. Należało więc wybrać imię nijakie.

— Nazwijmy je Złoto — zaproponowała matka.

⁹⁹girlandie — zwój liści lub kwiatów, podwieszony po bokach. [przypis edytorski]

¹⁰⁰Eros — w mit. grec. bóg miłości. [przypis edytorski]

¹⁰¹najniespodziewaniej — daw. niespodziewanie. [przypis edytorski]

¹⁰²połowica — żart. żona. [przypis edytorski]

Młodość

Małżeństwo, Rodzina

Imię, Dziecko

— Hm! — odpowiedział ojciec — Lękam się, czy imię to nie da pola do większych jeszcze nieporozumień. Wiesz przecież, że nasze dziecko nie będzie mogło nigdy wstąpić w związku małżeńskie. A gdy zaczniemy wołać na nie „Złoto”, drzwi nam się nie zamkną od swatów. Bo Złoto zawsze i wszędzie jest pożądane, a najbardziej w małżeństwie.

— Masz słusność — przytaknęła znowu żona ze spokojnym przejęciem.

I zamyślili się oboje, troszkę strapieni.

— Ja byłbym za tym — przemówił po chwili ojciec — żeby je nazwać Zwyrrodnienie. To ściśle określi stan rzeczy i nikt nie będzie nam się naprzykrzał, ani miał do nas pretensji.

Ale tym razem matka zaprotestowała.

— Co też ty mówisz — rzekła z taką dozą oburzenia, na jaką zdobyć się mogła. — Spójrz tylko, jakie ono przesłiczne. Włoski, jak wykąpane w słońcu; oczęta niby dwa chabry, a usteczka jak rozłupana wisienka. Jestem pewna, że gdy się zacznie uśmiechać i gaworzyć, nie będzie piękniejszego dziecka na świecie. To już lepiej nazwijmy je Biedactwo, bo bądź co bądź niewesoło zapowiada mu się życie.

I przy tych słowach wciągnęła głębiej powietrze w piersi; co było embrionem nieznanego podówczas¹⁰³ westchnienia.

— Wesołość jest zbytkiem, bez którego wybornie obejść się można — zauważył mąż sucho. — Grunt w tym, żeby mieć spokojny i dostatni byt i nie doznawać fizycznych dolegliwości.

— Masz słusność — przytwardziła żona po raz trzeci, choć z pewnym wahaniem i dodała: — Co nie przeszkadza, że dziecko nasze pięknieje w oczach, więc dajmy mu na imię Cacko.

— Czy chcesz, żeby się nim ludzie bawili? — zapytał mąż surowo, a widząc, że spuszcza głowę, jakby zawstydzona, rzekł łagodniej:

— Niech się tymczasem nazywa po prostu Dziecko. Gdy dorośnie, samo sobie wybierze imię, jakie uzna za najstosowniejsze.

I tak się stało. Dziecko rosło i było naprawdę tak cudne, że nie tylko macierzyńskie serce radowało się na jego widok.

Było w nim też coś takiego, że ludzie procesjami ciągnęli do domu jego rodziców, by na nie popatrzeć. I wtedy matka bywała zarzucana pytaniami, czy to jest dziewczynka czy chłopczyk i nieodmiennie rumieniąc się mimo woli odpowiadała:

— To jest Dziecko.

Z biegiem czasu coraz nowe anormalności zaczęły się objawiać w dziecku. Naprzód, gdy się nauczyło biegać i samo sobie radzić, przestało rosnąć. Lata mijały, a ono wciąż było śliczną, zgrabną, delikatną ludzką figurynką, o dziwnie głębokim, do dna duszy przenikającym spojrzeniu. Zdrowe było, ale milczące i gdy na nie wołano, nie odpowiadało, jakby nie słysząc. Matka w nieobecności męża wynajdywała dlań¹⁰⁴ różne pieszczotliwe nazwy, by je ku sobie przywabić, lecz na próżno.

Nie było jednak głuche; wprost przeciwnie. Najłżejszy szelest niepokoił je; zaczynało trząść się i wodzić dokoła wystraszonymi oczętami a na widok obcych twarzy kryło się po kątach.

Nie pozwalało się dotknąć nikomu; nawet gdy matka próbowała je wziąć za rączkę i poprowadzić na przechadzkę, wnet czuła, że rączka wymyka się jej z dłoni i spostrzegą, że Dziecko odsuwa się od niej i stąpa z boku.

Raz rzekła mu w rozżaleniu:

— Czemu jesteś tak niedobre, dziecko moje? Czemu stronisz ode mnie, twej matki, i nie odezwiesz się nigdy, kiedy cię wołam?

A Dziecko spojrzało na nią swymi cudnymi, słodkimi oczyma i rzekło cichutko:

— Bo nie nazywasz mnie, jak powinnaś, matko.

— Jakże cię mam nazywać? Wszak nie masz dotychczas imienia.

— Mylisz się; mam. Dano mi je w zaświatach, skąd pochodzę i ty, matko, pierwsza powinnaś je była odgadnąć.

¹⁰³podówczas — w tych czasach, o których była mowa poprzednio. [przypis edytorski]

¹⁰⁴dlań — dla niego. [przypis edytorski]

I po tych słowach odsunęło się jeszcze bardziej od matki, a ona szła zadumana i jakaś nieokreślona troska zacisnęła się dokoła jej serca, niby obręcz żelazna, ugniatając je coraz dotkliwiej.

Lecz nie tylko z nią tak się działo. Ludzie lgnęli do Dziecka, choć ono od nich stroniło; coś ich ciągnęło, żeby bodaj¹⁰⁵ z daleka na nie popatrzeć i to było właśnie niezrozumiałe, bo im dłużej patrzyli, tym bardziej im potem było nieswojo.

Niektórzy nawet zapadali z tego powodu w jakiś dziwny, wręcz chorobliwy stan i radzili się lekarzy, ale ci po dokładnym opukaniu i zbadaniu organizmu przepisywali im jedynie zimną wodę i wczesne udawanie się na spoczynek.

Był pomiędzy tymi doktorami jeden bardzo już sędziwy uczonec, powszechnie uważany za wielkiego dziwaka, gdyż on to najgorliwiej głosił teorię istnienia młodości. Do niego to przyszła pewnego razu dziewczyna, która nazajutrz miała wyjść za mąż.

— Jestem bardzo chora — oświadczyła posępnie.

Doktor przyjrzał się bacznie jej harmonijnie rozwiniętym kształtom i ładnej, niezwykle interesującej twarzyczce.

— Co cię boli, moje dziecko? — zapytał.

— Nic.

— Więc na co jesteś chora?

— Na wszystko.

— Wytłumacz się jaśniej.

— Nie potrafię. Wiem tylko, że od pewnego czasu mam takie wrażenie, jak gdyby poza tym wszystkim na co się patrzę, kryło się coś, czego nie widzę i mimo woli ręce wyciągają mi się gdzieś w dal, do tego czegoś i to mnie bardzo męczy. W nocy nie mogę spać; nadstawiam wciąż ucha, bo jestem przekonana, że usłyszę jakieś pukanie do mego okna i że trzeba mi będzie wstać co prędzej i wpuścić koniecznie jakiegoś niewiadomego przybysza. Lękam się tego, drzę cała, a gdy godziny mijają w ciszy, zamiast uspokojenia ogarnia mnie nieopisany smutek i czuję płomień pod opuchłymi z bezsenności powiekami. Ten stan jest nie do zniesienia, więc ty, doktorze stary, który jesteś tak mądry, daj mi nań¹⁰⁶ jakie lekarstwo.

— Jutro wychodzisz za mąż — rzekł doktor — rozpoczynasz nowe życie, może się wtedy ta twoja niepojęta choroba przełamie.

Dziewczyna popatrzyła na niego ze zdumieniem.

— Jak to? — zapytała. — Cóż może mieć wspólnego małżeństwo z tym co mnie dręczy? Mój przyszły mąż nie jest ani doktorem, ani uczonym, a choćby nim był, to by mi nic poradzić nie mógł, bo sam wyznał mi, że od pewnego czasu czuje się również chorym.

— Ach, tak — rzekł doktor. — Rad bym z nim pomówić.

Przyszedł więc jutrzejszy nowożeniec, i z małymi zmianami powtórzył uczonemu to, co mówiła jego narzeczona.

— Dziwne, dziwne — szepnął doktor w zamyśleniu, potrząsając siwą głową. — Symptomy tej choroby są mi znane ze starych ksiąg. Dawniej ludzie zapadali na nią często, zwłaszcza w młodości, której wy nie uznajecie. Nazywano ją... tęsknotą. A może ty — i tu spojrzał z nagłym zajęciem i wielką życzliwością na dorodnego chłopca, któremu zaledwie sypał się drobny wąsik nad koralowymi wargami, ale którego czoło było już przeorane pługiem dojrzałej, trzeźwej myśli — a może ty poczułeś się młodym?

— Ja! — wykrzyknął tamten i spłonął rumieńcem, jak złapany na gorącym uczynku. — Nie rozumiem co chcesz powiedzieć przez to uczonec panie? Ja — młodym? Alboż¹⁰⁷ nie widzisz, że jestem mężczyzną?

— Tak, widzę — odparł smutno doktor — i nic ci poradzić nie mogę.

Nazajutrz, wczesnym rankiem, dziewczyna noc bezsenne spędziwszy, wyszła w pole. Dzień zapowiadał się przecudny. Zroszone kwiaty pachniały, otwierając kraśne kielichy do wschodzącego słońca.

Choroba, Melancholia,
Tęsknota, Przemijanie

Tęsknota, Młodość

¹⁰⁵bodaj — pierwotne: Bóg daj. [przypis edytorski]

¹⁰⁶nań — na niego. [przypis edytorski]

¹⁰⁷alboż — konstrukcja z partykułą wzmacniającą -że, skróconą do -ż; znaczenie: albo czy. [przypis edytorski]

W zaróżowionych błękitach dzwoniły skowronki, a pomiędzy modrymi¹⁰⁸ wstęgami niezabudek¹⁰⁹ strumyk nucił swą srebrną piosenkę.

Ale dziewczyna obojętna była na uroki majowego poranku.

Szła ścieżką pomiędzy łanami młodziuchnych zbóż, patrząc wyteżonymi oczyma przed siebie, nurtowana tym nieujętym cierpieniem, dla którego stary doktor znalazł tak dziwną nazwę.

A idąc tak, nie widziała i nie słyszała, jak z chaty sąsiadów wysunęło się Pierzchliwe Dziecko i stanęło na ścieżce, pławiąc się w słońcu, jakby niepewne, gdzie pójść.

W tejsze¹¹⁰ chwili u przeciwnego końca dróżki ukazała się gibka postać narzeczonego dziewczyny. I on także gnany udręką duszy szedł w pole, sam nie wiedząc po co.

Zobaczywszy go, Dziecko zaśmiało się cichutko i zaczęło iść ostrożnie za dziewczyną, która bezwiednie zwolniła kroku, choć nie obejrzała się ani razu poza siebie, mając wciąż oczy wyteżone w dal.

Ale chłopiec, który także w dal patrzył, zobaczył swoją przyszłą i skradające się za nią Dziecko i natychmiast zaczął iść prędzej. Wskutek tego odległość pomiędzy nimi zmniejszała się z każdą chwilą.

Wreszcie on znalazł się tuż za nią, tak blisko, że dzieliło ich tylko Dziecko, które wbrew swemu zwyczajowi zdawało się nie słyszeć nadchodzących kroków i nie płoszyć nimi.

Usłyszała je natomiast dziewczyna, odwróciła się raptownie i wtedy stała się rzecz nieprzewidziana.

Pierzchliwe Dziecko znalazło się pomiędzy piersiami dziewczyny i chłopca, jak w samotrzasku, a oni instynktownie wyciągnęli ramiona i splekli je silnie, aby im się nie wymknął mały, cudny jeniec.

— Mam cię! — zawołała radośnie dziewczyna.

— Mam cię! — wykrzyknął jednocześnie chłopiec. — Trzymajmy je, bo nam ucieknie.

Ale Dziecko nie myślało uciekać. Wspięło się na paluszki, i trzęsąc złocistymi kędziorami, przytuliło mocno jedno uszko do serca dziewczyny, a drugie do serca chłopca i słuchało uśmiechnięte jak oba biją prędko, prędko, a jakby jednym tętnem. Potem podniosło w górę rączki, do płatków białej róży podobne, otoczyło nimi szyje dziewczyny i chłopca, i leciuchno¹¹¹ zaczęło nachylać ku sobie ich twarze, które oblewał war zbudzonej nagle do życia młodej krwi.

— Zostanę z wami na zawsze — wyszeptало — jeżeli nazwiecie mnie po imieniu.

Ale już koralowe wargi chłopca dotknęły rozchylonych usteczek dziewczyny i nastąpiła długa cisza, która zapachniała w powietrzu, jak świeżo rozkwitła róża.

A Dziecko uśmiechało się wciąż nieruchome, oplatając rączkami szyje kochanków. Aż o jego przytulone do serc tych dwojga uszka obił się zmieszany szept dwu upojonych rozkoszą głosów:

— Ty!... Szczęście!

I z tą chwilą skończyły się czasy nijakie na ziemi.

PRZECIĄGNIĘTA STRUNA

I

*Szkoda kwiatów, które więdną w ustroni
I nikt nie zna ich barw świeżych, ni woni,
Szkoda pereł, które leżą w mórzu toni...*

Asnyk

¹⁰⁸modry — intensywnie niebieski. [przypis edytorski]

¹⁰⁹niezabudki — niezapominajki. [przypis edytorski]

¹¹⁰tejsze — konstrukcja z partykułą wzmacniającą -że, skróconą do -ż; znaczenie: tej właśnie. [przypis edytorski]

¹¹¹leciuchno — lekko. [przypis edytorski]

— Taka to już moja dola — rzekł mój przyjaciel, opuszczając swoją pocziwą rękę na kolano, którego by się nieboszczyk Atlas nie był powstydzil.

Może mi kto zaprzeczy, ale ja twierdzę stanowczo, że ręce, tak dobrze jak twarz, mają każda swój odrębny wyraz. Bywają ręce złośliwe, figlarne, hipochondryczne, przewrotne, sprytnie, idiotyczne, szlachetne, niebezpieczne, wreszcie pocziwe.

Mój przyjaciel miał właśnie taką pocziwą rękę. Była szeroka, tłusta, o dosyć długich, płasko zakończonych palcach, delikatna w ujęciu, pomimo swej olbrzymiej siły i lekka, gdy chodziło o dotknięcie się czegoś wątego.

Co do mnie, byłbym powierzył z ufnością tej ręce najbardziej filigranowy przedmiot i dziwiło mnie też bardzo, że moja kuzynka Gabrunia wzdragała się z oddaniem jej swego serca i przyszłości, pierwsze bowiem jako dwadzieścia sześć lat bijące, mogło już być nabrać pewnej konsystencji w swoich wrażeniach, a druga jako panny bezposażnej, sieroty w domu krewnych dalekich wychowanej, przedstawiała się istotnie wcale krucho.

Mój przyjaciel Kazimierz przywiązał się do niej tak pocziwym sercem, jak pocziwą ręką chciał się z nią przed ołtarzem połączyć; starał się już lat kilka, jeździł, wdychał, czekał, ale panna była niewzruszona.

Wdzięki jej, delikatne wdzięki bardzo jasnej blondynki, zaczynały już więdnąć; bezcelowe, na wsi pędzone życie zaczynało rozgoryczać trochę jej łagodne, marzące, powolne usposobienie; widziała, że moja ciotka a jej opiekunka, jednej chwili pozbyłaby jej się z domu. Martwiła się tym, przemyślała o stworzeniu sobie samodzielnego bytu, czując doskonale, że tego nigdy nie potrafi, a pomimo to pan Kazimierz zawsze odjeżdżał z kwitkiem i teraz byłby także odjechał, gdybym go do swego pokoju na konfesatę¹¹² nie zabrał.

Jak zwykle, przyjechałem tego roku spędzić parę wakacyjnych tygodni u ciotki i od rana do wieczora tuczyłem się wszystkim, co wieś w końcu czerwca dać może: ostatkami szparagów i pierwocinami¹¹³ czereśni, kurczętami i wonią jaśminów, róż i sianożęci¹¹⁴, kwaśnym mlekiem i blaskami księżycowych nocy.

Ta wioseczka, dobrze zagospodarowana, cicha, odsunięta zarówno od szyn kolei żelaznej, jak od pędzących po nich prądów nowszej cywilizacji, wydawała mi się jakimś dobrym, starannie przechowanym w słomie życiowej stagnacji, owocem przeszłości. W stolicy, w której po skończeniu przed paroma laty uniwersytetu otworzyłem — mało jeszcze odwiedzaną, niestety — kancelarię adwokacką, tak zupełnie inaczej wszystko żyło, ruszało się, mówiło, śmiało, płakało!

I dziwna rzecz, ta Gabrunia, którą ja tylko tak chropowato i niegramatycznie uparłem się nazywać, bo dla wszystkich innych była ona Ela, melodyjnie brzmiącą, poematy Słowackiego przypominającą Elą — ta Gabrunia, chociaż młoda jeszcze i piękna, wydawała mi się tu najstarszym, wprost archaicznym zabytkiem.

Nigdzie w Warszawie nie spotykałem takich dojrzałych panien, które by nosiły wieńce z bławatków nad czołem, rozpuszczały włosy poniżej kolan (bo też co prawda, rzadko która mogłaby się takiego marnotrawstwa blado-złotej peli dopuścić), które czy to pijąc herbatę, czy krając chleb, wyglądałyby zawsze jak przed chwilą spadłe z obłoków i za chwilę wznieść się tam mające; które robiły wrażenie jakichś istot odrębnych, żyjących w swojej własnej dla innych niemożliwej atmosferze, o nieokreślonych, niepochwytnych, zakrytych dla zwykłych umysłów barwach, woniach, światłach i cieniach.

Gabrunia — chciałem powiedzieć Ela — była romantyczką w każdym calu, żyjącą bohaterką przeżytych już romansów, w dodatku stała już poza progiem tej szczęśliwej, pierwszej młodości, w której różowym oświetleniu każde dziwactwo wydaje się nowym urokiem, a pomimo to nie była śmieszna.

Było coś tak na wskroś¹¹⁵ szczerego w jej przesadnym sentymentalizmie, tyle nieopisanego wdzięku w każdej jej ekscentryczności, tyle przy tym smutku, tęsknoty, żalu i dobroci wyglądało na ten świat boży przez jej szafirowe, śliczne oczy, że mimo woli trzeba się było zachwycać nią, ruszając ramionami i litować, irtując zarazem.

Kobieta

¹¹²konfesata — w dawnym prawie: zeznanie wymuszone torturami. [przypis edytorski]

¹¹³pierwocina — początek, załazek. [przypis edytorski]

¹¹⁴sianożęć — łąka przeznaczona do zbioru traw na siano. [przypis edytorski]

¹¹⁵na wskroś — do głębi, całkowicie. [przypis edytorski]

Ciotka moja, wdowa od lat kilkunastu, czynna, energiczna, rozkochana w swoim jedynaku, który z umiarkowaną żądzą wiedzy dawał się przepychać z klasy do klasy w gimnazjum gubernialnego miasta, dokuczala jej często bardziej przez prędkość, niż złą wolę.

W gruncie była do niej przywiązana, bo Ela posiadała jakiś tajemniczy dar wkradania się w serca otaczających, (ja sam chwilami byłbym się dał za nią porąbać) życzyła jej jak najlepiej, ale dlatego właśnie byłaby pragnęła wypchnąć ją co najprędzej z domu na małżeńskim wózku, bo praktycznym swym rozumem oceniała niewesołe położenie biednej dziewczyny.

— Co ona ze sobą robi? — mówiła do mnie czasem. — Takie to ślamazarne, nieradne, a tklive i dobre. Ludzie zdepczą i sponiewierają jak się między nich dostanie, a przecież wiecznie tu siedzieć nie może. Pół biedy jeszcze, dopóki mnie starczy na świecie; choć to jakaś stryjeczno-cioteczna mego nieboszczyka, opiekowałam się nią, Bóg widzi, jak własną córką, niczego jej nie żałuję; guwernantkę nawet Francuzkę miała, ale co będzie potem? Lucyś (ów jedynak) ożeni się; niepodobna, żeby mu była ciężarem. I proszę cię, odrzuca taką doskonałą partię, jak ten pan Kazimierz! A to¹¹⁶ inna na jej miejscu trzewiki by pogubiła, lecąc za niego. Zamożny, przystojny, okazały, zacności¹¹⁷ chłopak.

— To prawda — przerwałam — nie było lepszego kolegi na świecie.

Bo Kazimierz dzielił ze mną gimnazjalną ławę i odtąd datowała się nasza przyjaźń.

— No, powiedz tylko! I dobrze ma w głowie; a ona jak nie chce, tak nie chce. Już mnie ostatnia niecierpliwość porywa na tę dziewczynę. Bo to w dodatku takie skryte, że się niczego u niej nie dopytasz. Wiesz co, Bolesiu — dodała ciotka, zwracając się ku mnie, jakby natchniona nagłą, szczęśliwą myślą — żebyś ty z nią pogadał i do rozumu jej przemówił?

— Ja! — zawołałam, podskakując na krześle, z dziwną odrazą do udzielenia tej praktycznej lekcji życia mojej romantycznej kuzynce.

— Dlaczego¹¹⁸ by nie? Przecież jesteście spokrewnieni. A bodaj¹¹⁹ czy ona ciebie nie najwięcej z nas wszystkich uważa. Trzeba ci było widzieć, jak szykowała twój pokój; własną ręką powłóczyła pościel, zakładała firanki. Nie chcę być złośliwą, ale to chyba każdego w oczy bije, że Ela ma nogi z galarety a ręce z masła. Co stąpnie, to się o coś zawadzi, co weźmie to upuści, a tymczasem gdy szło o twoje wygody, kręciła się jak fryga¹²⁰. I to tak każdego roku bywa.

— Czemuż¹²¹ mi ciocia o tym nigdy nie mówiła? — zapytałam machinalnie, sam żadnej wagi do tej frygowatości galaretowatych nóżek Eli nie przywiązując.

— Nie mówiłam? No, to musiałam zapomnieć. Nie możesz przecie¹²² żądać, żebym ciągle o niej myślała. Dostyc mam własnych kłopotów na głowie. Oto teraz Lucyś...

— Więc ciocia sobie życzy — przerwałam, wiedząc z doświadczenia, że temat Lucysia raz poruszony przeciągnie naszą rozmowę w nieskończoność — ciocia sobie życzy, żebym namówił Gabrunię do wyjścia za Kazia?

— Naturalnie. Nie mógłbyś jej oddać większej przysługi. Dziewczyna zmarnuje się, bo że się o nią nikt inny nie zapyta, to jasne. Tacy panowie Kazimierzowie na kamieniu się nie rodzą; a dla tych kawalerów co się jeszcze w okolicy płaczą, w każdym dworze znajdzie się po parę panien młodszych i posażniejszych.

W parę dni po tej rozmowie przyjechał mój przyjaciel, zabawił z kwadrans w saloniku z ciotką, Elą i ze mną, z pół godziny w ogrodzie z samą Elą, gdzieśmy ich zostawili, po czym szybkim krokiem wyszedł na dziedziniec i tak desperacko skinął na swego Wojciecha w piaskowej liberii¹²³, że domyśliłem się nowej rekuzy¹²⁴.

¹¹⁶toć — daw. przecież. [przypis edytorski]

¹¹⁷zacny — godny zaufania i szacunku. [przypis edytorski]

¹¹⁸dłaczegóż — konstrukcja z partykulą wzmacniającą -że, skróconą do -ż. [przypis edytorski]

¹¹⁹bodaj — pierwotne: Bóg daj. [przypis edytorski]

¹²⁰fryga — ktoś zwinny i ruchliwy. [przypis edytorski]

¹²¹czemuż — konstrukcja z partykulą wzmacniającą -że, skróconą do -ż. [przypis edytorski]

¹²²przecie — przest. przecież. [przypis edytorski]

¹²³liberia — pierwotnie oficjalny ubiór służby królewskiej lub magnackiej, obecnie używany głównie przez służbę hotelową. [przypis edytorski]

¹²⁴rekuza — daw. odrzucenie przez kobietę propozycji małżeństwa. [przypis edytorski]

Żał mi się zrobiło kochanego Kazia, prośba ciotki stanęła mi w pamięci, wybiegłem żywo za nim i zabrawszy przemocą do siebie, bo mi się wydierał, wysłuchałem całej spowiedzi tego rozżalonego serca, zakończonej owym wykrzyknikiem:

— Taka już moja dola!

Im żywiej z nim współczułem, tym bardziej gniewała mnie niewzruszoność mojej kuzynki.

Czego ona istotnie może więcej żądać od losu?

— Więc ty ją tak bardzo kochasz? — zapytałem.

— Mój drogi — odrzekł mi na to — znasz mnie i wiesz jak zawsze byłem ambitnym. Jak szatan — potwierdziłem, przypominając sobie szaloną dumę tego chłopca, który miękki jak wosk, w każdym innym razie, twardniał jak granit, gdy chodziło o jego osobistą godność.

— Jeżeli ci więc powiem, że dziesięć razy odepchnięty wróciłem dziś po raz jedenasty, to będziesz wiedział, czy ją kocham.

I mój przyjaciel oblał się takim rumieńcem wstydu i upokorzenia przy tych słowach, że zerwałem się z krzesła i zacząłem wyglądać przez okno, aby na to nie patrzeć.

Co to jednak za niemądra rzecz ta miłość! On niemądry, że ją kocha, a ona stokroć niemądrzejsza, że go kochać nie chce. Świat tak pięknie przedstawiał się w tej chwili oprawiony w ramę tego okna, w które przez litość nad biednym Kaziem wpakowałem moją osobę.

W ogrodzie kwitły jaśminy i białe róże; świeżo koszone trawniki pachniały silnie, bliski zachód słońca nadawał powietrzu różowo-złotą barwę; długa brzoźowa aleja, wyginająca się w bok ogrodu srebrzystym łukiem swoich pni wysmukłych, nęciła do przechadzki. Tak mało potrzeba było: jednego żywszego drgnięcia serca, jednego słowa ust kobiecych, żeby ta ziemia wonna, kwitnąca, spokojna, stała się rajem dla dwojga ludzi. Ten wiejski, letni wieczór otwierał się przed nimi jak pełna czara szczęścia, z której pić razem mogli.

I pomyśleć, że niewytłumaczony upór sentymentalnej jakiejś dzierlatki (bo tak ją w irytacji mojej ochrzciłem), wszystko to psuł i niweczył!

Wsunąłem na powrót głowę do pokoju i spojrzałem na mego przyjaciela.

— Mój drogi — rzekłem — podobno każde najnieużyteczniejsze nawet stworzenie ma swoją ukrytą dla naszego ciasnego rozumu rację bytu; wszak nas tak uczono?

— Do czegoż to zmierza? — zapytał.

— Do tego, iż rzadko kto potrafi być dobrym rzecznikiem swojej sprawy i że od tego są adwokaci, żeby za drugich przemawiali. A ty, zdajesz się zapominać, że jestem adwokatem.

Mój przyjaciel potrząsnął głową.

— Serce kobiety to nie kratki sądowe — odpowiedział z goryczą. — Smutna to rzecz, gdy się do niego przez pośrednika dostawać trzeba.

— Przez czy bez — podchwyciłem — grunt w tym, żeby się tam dostać. A że tobie chodzi tak bardzo o dostanie się do serca Gabruni...

— Panny Eli — poprawił mnie Kazimierz, który tego „bru” w imieniu swojej ukochanej nawet w najtragiczniejszym usposobieniu ścierpieć nie mógł.

— Przepraszam cię, Eli, otóż ja spróbuję, czy mi się nie uda wprowadzić cię do tego serca. Cieszę się pewnym wpływem nad nią i kto wie, nie ręczę za skutek — dodałem pośpiesznie, widząc jak się pod nagłej nadziei podmuchem jego otwarta, sympatyczna twarz rozjaśnia, a postać proporcjonalnego wielkoluda prostuje — nie ręczę za skutek, ale, kto wie...

Mój przyjaciel wstał, ujął w obie dłonie moją rękę, która się w nich, jak język w ustach, schowała bez śladu i patrząc na mnie z wysokości swego siedmiostopowego wzrostu, wyszeptał głosem tkliwym, jak u wdzięcznego dziecka:

— Dziękuję ci, dziękuję!

Miałem zawsze rodzaj uszanowania dla tej imponującej fizycznej siły i kolosalnych kształtów, pozostających w służbie u takiej miękkiej, kobieco-czulej duszy i uderzyło mnie w tej chwili, jaka by to charakterystyczna była para: on i moja kuzynka. Toż to malować

Duma, Honor, Ambicja

Miłość niespełniona

tylko takie dwie typowe postacie, oświetlone blaskiem małżeńskiej pochodni. Zdawali się stworzeni po to, żeby się wzajem dopełniać i uszczęśliwiać, a jednak...

W kilka minut potem wchodziłem do pokoiku Gabruni.

Był mały, bielony, o jednym weneckim oknie, wychodzącym na ogród, zaopatrzony tylko w najpospolitsze sprzęty, a mimo tego tchnął cały romantyczną oryginalnością, która go zamieszkiwała.

Dwa olbrzymie bluszcze stały w obu końcach łóżka, biegnąc puszczone po muślinowych firankach gałązkami ku górze, gdzie się plątały z sobą i tworzyły przezroczystą białozieloną altankę, którą żartobliwie nazywałem „Pagodą Liliowego Bóstwa”, na ścianach poprzybijane półeczki podtrzymywały kilka innych doniczek tej ulubionej przez Elę rośliny, której ciemne zwoje rzeźbiły na prostym tle wapna jakby wypukłe lśniące arabeski.

Pod oknem na stoliczku kwitły niezapominajki w okrągłej, białej salaterce, przycięte różowym kamykiem. Wszystko było jakieś powiewne, jasne, kwitnące.

Cały pokoić zdawał się żyć i oddychać eteryczną świeżością, każdy sprzęt, przypominający realną stronę życia był starannie usunięty w głąb, zamaskowany jakąś muślinową draperią lub pękiem zieleni; rzeczywistość kryła się załęknioma przed despotyczną władzą idealnego smaku.

Była tam na przykład jakaś komódka, którą pamiętałem jako stary, żółty, brzydki grat, stojący na strychu wśród innych rupieci, a którą Gabrunia stamtąd wywlokła i tak ślicznie ufestonowała¹²⁵ różowym muślinem¹²⁶ i wykokardkowała wstążeczkami, że wyglądała jak bombonierka.

Nieraz siedząc w pokoiku mojej kuzynki i patrząc na to jak małymi środkami zdołała go przeistoczyć w coś zupełnie odrębnego, myślałem, jakie pałace na kurzych łapkach wznosiłaby ta szczególna istota, gdyby się znalazła w możliwości urzeczywistnienia swych artystycznych fantazji. Było to w niej prawie chorobliwe, ale niemniej urocze.

Gdy w wszedł, siedziała wprost drzwi na otwartym oknie, trzymając się jedną ręką gałęzi, rosnącej tuż pod oknem akacji.

W gładkiej, białej, pikowej sukience, w jaśminowym wieńcu na rozplecionych, złocistych włosach, z głową podniesioną z lekka ku górze i opartą o futrynę okna, upozowana z nieopisaną plastyką, uwydatniającą każdą, piękną linię jej delikatnych, czystych kształtów, wyglądała zachwycająco, jak na model dla rzeźbiarza, który by chciał natchnioną muzę w marmur zakuć; lecz jak na żonę dla poczciwego Kazia, na gospodynię szlacheckiego dworu, wprost komicznie!

W tym podwójnym wrażeniu, jakie na mnie w tej chwili wywarła, mieściła się cała dwoistość mojego dla niej uczucia, w którym podziw graniczył z lekceważeniem, a braterska życzliwość z jakimś mściwym krytycyzmem.

Z pałaców sterczących dumnie
Znijdź¹²⁷ luba do mojej chatki...

Wydeklamowałem ironicznie, nie mogąc przecieć oczu od niej oderwać.

Wziąłem krzesło i usiadłem naprzeciwko w taki sposób, że musiała istotnie jeżeli nie postacią, to wzrokiem „zejść” ku mnie.

Ela nie zmieniła swej artystycznej pozy; zacerwieniła się tylko, co jej się zresztą zawsze na mój widok zdarzało. Przyzwyczajona do mego drwiącego tonu, spojrzała na mnie pytająco i spokojnie swymi ślicznymi, szafirowymi oczyma.

— Tak, droga Gabruniu — ciągnąłem dalej. — Porzucić błękitny próg ulanej z żywego srebra komnaty marzeń, w której przebywałaś, kołysana westchnieniami harf eolskich i postaw trwożną nóżkę na chropowatych deskach siedziby, do której chcę się zaprosić. Ta moja siedziba, to zdrowy rozsądek, podczas gdy tamta... jakby się tu grzecznie wyrazić?...

— Wyraż się niegrzecznie — odpowiedziała z lekkim uśmiechem — to przecieć ani mnie, ani mojej komnacie, jak ją nazwałeś, nie ubliży.

¹²⁵ufestonować — osłabić intensywność. [przypis edytorski]

¹²⁶muślin — przezroczysta tkanina o lekkim splocie. [przypis edytorski]

¹²⁷znijść — daw. zejść. [przypis edytorski]

— Tylko memu wychowaniu, nieprawdaż¹²⁸? — podchwyciłem. — Otóż wolę się wcale nie wyrażać, a tylko po prostu zapytuję cię, czy jesteś gotowa wysłuchać mnie uważnie, gdyż przyszedłem porozmawiać z tobą serio.

— Ja cię zawsze uważnie słucham — odpowiedziała, nie spuszczać ze mnie wzroku.

Nie wiem, dlaczego te jej oczy zapatrzone we mnie tak otwarcie, spokojnie a tęsknie podrażniły mnie. Odwróciłem się zły na nią, że inaczej nie patrzy, zły na siebie, że mnie to obchodzi.

— Moja Gabruniu, — rzekłem nagle, tak nagle, że aż szorstko — wszak nie wątpisz, że cię kocham jak siostrę?

Nie wiem, jaki był wyraz jej twarzy, gdym jej stawiał to pytanie, gdyż przyglądałem się pilnie niezapominajkom, ale w każdym razie, musiał być szczególny, jeżeli odpowiadał głosowi, jakim mi rzuciła krótkie:

— Nie wątpię.

— I wierzysz, że w tym, co powiem, tylko twoje szczęście mam na względzie?

— Wierzę.

— Dziękuję ci. Odpowiedz mi zatem na jedno. Dlaczego nie chcesz iść za Kazimierza? Poruszyła się niechętnie.

— Myślałam, że pozostawisz to pytanie na wyłączny użytek cioci. Ona mi je tak często zadaje!

— A ty, Gabruniu, cóż jej na to odpowiadasz?

— Nic.

— A mnie co odpowiesz?

Wyprostowała się, puściła gałąź akacji, z której pęk osmykniętych liści pozostał jej w ręku i odrzekła:

— Także nic.

— To bardzo mało. Ale pozwolisz, iż korzystając z twego milczenia, ja będę mówił.

— Owszem. Słucham cię, Bolesiu.

Powiedziała to słodko, spokojnie, jak zwykle, ale to właśnie wydało mi się największym ze mnie urągówiskiem. Znaczyło to: mów sobie co chcesz. Tyle mnie to obchodzi, co zeszłoroczna zima.

Adwokacka ambicja przekonania swego słuchacza, bardziej niż się samemu jest przekonany, obudziła się we mnie. Postanowiłem nie pierwej¹²⁹ wyjść z tego pokoju, aż Gabrunia uwierzy, iż niczego tak nie pragnie, jak zostać żoną Kazimierza i zacznie się sobie dziwić, że tego dotychczas nie zmiarkowała¹³⁰.

Tak! Trzeba koniecznie otworzyć oczy tej zaślepionej dziewczynie.

Niestety! Gdy wspomnę w jaki sposób zabrałem się do tej operacji, muszę przyznać, iż nigdy cierpliwsza pacjentka nie miała niezgrabniejszego chirurga.

— Jestem pewny — zacząłem tonem istotnie niezachwianej pewności — jestem pewny, że gdybyś wszystkie twe kontemplacyjne zdolności skierowała ku wypatrzeniu jednego, racjonalnego zarzutu przeciwko Kazimierzowi, to byś go nie znalazła. Natomiast chwila zastanowienia nad oburzającym prawdziwie lekceważeniem własnego szczęścia, jakiego dajesz dowody, odtrącając tak jego miłość, natchnęłaby cię pomyślniejszymi dla niego uczuciami. Czy ty pomyślała kiedy o tym, Gabruniu, jak straszną pustynią jest świat, gdy nie ma na nim takiego serca i takiego kąta, o których by się mogło z pełnym przeświadczeniem powiedzieć: „to moja własność” i „to moje miejsce”?

Ten ostatni zwrot zadowolił mnie. Ukrywał on bardzo szorstką prawdę, która, gdyby nie ta szczęśliwa metafora, byłaby musiała zawierać tak brzydtko brzmiące wyrazy, jak staropanieństwo, samotność i bezdomność i ukrywał ją, o ile mniemałem, nadzwyczaj zrecznie.

Ale tryumf mój trwał krótko. Zniweczyła go odpowiedź Eli.

— Nie można pomyśleć *kiedyś* o tym, czego się *nigdy* nie zapomina — rzekła, kładąc nacisk na oba przysłowki. — Wiem aż nadto dobrze, że mi przeznaczono umrzeć w szpitalu i że za moją trumną nawet biały pudel nie pójdzie, jak się to w opisach pogrzebów starych panien czyta, bo ani psów, ani kotów chować nie będę.

¹²⁸nieprawdaż — konstrukcja z partykulą wzmacniającą -że, skróconą do -ż. [przypis edytorski]

¹²⁹nie pierwej — daw. wpierv. [przypis edytorski]

¹³⁰zmiarkować — daw. domyslić się czegoś. [przypis edytorski]

— Otóż znów ta nieszczęsna egzaltacja! — zawołałem zły, że moja retoryka tak sromotnie w łeb wzięła. — Że też ty, Gabruniu, w niczym miary utrzymać nie możesz. Nikt tu nie mówi ani o szpitalach, ani o trumnach z pudłami lub bez pudłów, bo to wprost niedorzeczne, ale z drugiej strony trudno zamykać oczy na ten fakt, że w dzisiejszych czasach i w takich warunkach, w jakich cię los postawił, szanse dobrego zamażpójścia są bardzo słabe.

— Powiedz raczej żadne, Bolesiu — przytwardziła Ela z tym samym rozpaczliwie łagodnym spokojem. — Ja sama pojąć nie mogę, skąd mi się ta jedna wzięła.

— A pomimo to ją odrzucasz?

— Jak widzisz.

Wyrwałem kilka niezapominajek spod kamyka tak delikatnie, żem¹³¹ o mało salaterki nie rozbił.

— Ciebie to jakby niecierpliwiło, Bolesiu — zauważyła moja kuzynka dziwnym głosem.

— Niecierpliwi mnie w istocie, jak każda lekkomyślność, że nie użyję dobitniejszego określenia — odparłem ostro. — Ale porzućmy na chwilę ten przedmiot. Czy nie byłabyś tak dobrą powiedzieć mi, jakie są twoje plany na przyszłość?

Spojrzałem na nią wyzywająco, bezlitośnie. W tej chwili rozdrażnienia cała poezja jej powierzchowności była dla mnie straconą; widziałem tylko godną potępienia niepraktyczność jaśminowego wieńca, rozpuszczonych włosów i białej sukienki.

Wyraz jakiejś zrezygnowanej, pokornej a dojmującej boleści przesunął się po jej twarzy.

— Ja nie mam żadnych planów na przyszłość — rzekła bezdźwięcznym, apatycznym głosem.

Roześmiałem się szydersko.

— Byłem przygotowany na tę odpowiedź — rzekłem sucho — i winszuję ci jej, jako osobliwszego w naszych czasach unikat. Jesteś śliczną, zachwycającą, żywą pamiątką naszej narodowej nieopatrności, która nas zgubiła. Dziś leczymy się z niej wszyscy. Zaręczam ci, mogłabyś przejść wszedź i wzdłuż Warszawę i nie trafiłabyś na kobietę w twoim wieku, co mówię, na szesnastoletnią dziewczynkę, która by ci powiedziała: „Ja nie mam żadnych planów na przyszłość”, bo nawet najbardziej leniwa lub niezdolna do samoistnej egzystencji, ma jeszcze taki plan, żeby bądź co bądź złapać sobie przyzwoitego męża. A ty? Czy zamierzasz przemarzyć tak całe życie, siedząc na oknie i trzymając się akacji? Bardzo to ładna poza, ale pozwól sobie powiedzieć, trochę niepraktyczna.

— Cóż chcesz, żebym robiła? — odparła z większą żywością. — Boże mój! Gdybyś wiedział, jak zazdroścę każdej wyrobnicy, która cały dzień nad zagonem¹³² się schyla, ale żyje chlebem własnej pracy. Sądziś, że ja się w tej beczynności rozmiłowałam, że nie czuję, jak marnie, jak nędźnie spływa młodość moja, że nie cierpię nad tym? Ale cóż pocznę! Cóż pocznę! — mówiła dalej namiętnie prawie, zaplatając obie ręce i wyciągając je przed siebie. — Kilka razy mówiłam cioci, że pójde w świat, pracować, uczyć dzieci, szyć, służyć; albo ja wiem, byle jej nie być ciężarem; wyśmiała mnie i nazwała wariatką. Ty sam, który mnie tak za moją nieopatrność karcisz, nie wskazujesz mi przecież żadnego celu, żadnej drogi; nie podajesz mi nawet piątego palca, żeby mnie z tego okna sprowadzić i nie znajdujesz dla mnie nic, zgoła¹³³ nic, czego bym się, zamiast tej oto akacji, trzymać mogła.

Patrzyłem na nią zdumiony. Pierwszy raz widziałem ją mówiącą z taką gwałtownością, z taką goryczą. Nie podejrzewałem jej nawet o zdolność do podobnych uczuć. A przy tym, było tyle głębokiego rozżalenia w jej ostatnich słowach i spojrzeniu, jakie mu towarzyszyło, jak gdyby ta szczególna istota mnie wyłącznie przypisywała winę swej nieużytecznej, bezbarwnej doli.

— Jak to — rzekłem dotknięty tym wyrzutem i tak idiotycznie niedomyślny, żem nic z tego wszystkiego, co się w nim zdradzało i odsłaniało nie zrozumiał. — Jak to, nie wskazuję ci żadnego celu, żadnej podpory? A zamażpójście? A Kazimierz? Czy może

¹³¹żem (...) nie rozbił — daw. konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; dziś: że nie rozbiłem. [przypis edytorski]

¹³²zagon — długi pas ziemi uprawnej. [przypis edytorski]

¹³³zgoła — całkowicie, zupełnie. [przypis edytorski]

być piękniejszy cel dla kobiety, niż stać się czyjego szczęścia twórczynią, i czy mogłabyś znaleźć uczciwsze, pewniejsze ramię nad to, które się do ciebie wyciąga?

Ela zbladła.

— Zawsze to samo — szepnęła — zawsze!

— Zawsze, moja droga — odparłem tonem pobłażliwej perswazji. — Ciocia ma do pewnego stopnia słuszność, jeżeli się z twoich porywów do samodzielności śmieje. Ty nie jesteś do tego stworzoną, Gabruniu. Tobie potrzeba, żeby ktoś szedł przed tobą i drogę tobie torował, inaczej zgniotą cię w tłumie. To darmo. Ani natura, ani wychowanie nie dały ci odpowiednich środków do wywalczenia niezależnego bytu. Potrafisz, jak nikt, układać równianki kwiatów i masz talent noszenia rozpuszczonych a niepotarganych włosów, który zawsze podziwiam, ale praktycznych korzyści stąd nie osiągniesz. Wierzaj mi, Gabruniu, ty możesz i powinnaś być tylko żoną człowieka bogatego i bardzo kochającego, który by ci nigdy nie dał uczuć, że ma w tobie jedynie ozdobę życia, nie pomoc.

Nastąpiła chwila milczenia.

— To znaczy — odezwała się Ela cichym głosem — że człowiek niebogaty... człowiek zdobywający sobie własną pracą stanowisko nie ożeniłby się ze mną?

— Bezwarunkowo; jeżeli by miał rozsądek. Unieszczęśliwiłby siebie i ciebie.

Umilkliśmy znowu oboje. Moja kuzynka owinęła sobie dokoła ręki jeden promień swych cudnych, złotawych włosów i przypatrywała się z uwagą tej bransoletce.

Po czym nagle:

— Ty jesteś bardzo rozsądny, Bolesiu, nieprawdaż? — zapytała.

I znowu, jak gdyby mi wszelką zdolność kombinacji odjęto, nie dopatrzyłem się żadnego związku pomiędzy tym pytaniem, a poprzednimi moimi słowami.

Odrzekłem więc po prostu:

— Pochlebiam sobie. Bo co?

— Nic.

A po chwili dodała:

— Rozsądek podobno myli się rzadko; ale gdy się raz omyli... Wyrządziłeś mi teraz wielką niesprawiedliwość, kuzynie.

— A to jakim sposobem? — zawołałem.

Zarumieniła się i spuściła oczy.

— Mówiąc, że byłabym tylko zbyt kochanym sprzętem w domu człowieka, który by mnie wziął za towarzyszkę życia. Ach! Bolesiu! Twój rozsądek nie liczy się wcale z tą przeistaczającą wszystko potęgą, co się zwie... miłością, nie domyśla się, co ona nawet z takiej nieudolnej, bezsilnej na pozór istoty, jak ja, zrobić może! Ale ja czuję, ja wiem do czego byłabym zdolną, gdyby mi pozwolono kochać... kochać nie czczym marzeniem, nie wieczną tęsknotą, nie ukrytą, nigdy nieziszczoną nadzieją serca, lecz rzeczywistością, czynem, jawnym oddaniem całej siebie, ofiarą całego życia! Nie ma takiego wygnania, na które bym nie poszła, takiej przepaści, w którą bym nie skoczyła, takiej twardej doli, której bym nie przyjęła z rozkoszą, byle mi tylko powiedziano: To dla niego! I potrafiłabym wtedy być wszystkim: zarówno bohaterką, jak gospodynią, zarówno kochanką, jak sługą. Znalazłabym więcej poezji w najpospolitszej domowej czynności; niż w błękitach i gwiazdach, w które się dla braku czegoś lepszego wpatruję teraz. I byłabym szczęśliwą! Ach... jak szczęśliwą!... I szczęście dać bym umiała!... Ale na to muszę kochać!... Kochać koniecznie!

Ela mówiła prędkim, stłumionym, drgającym od silnego wzruszenia głosem. Wypowiadała swoje credo¹³⁴ z zapalem młodej męczennicy, gotowej dać mu świadectwo krwią własną. I było istotnie coś udręczonego, palącego bólem hamowanych pragnień w blasku jej pięknych oczu, które na mnie podniosła, w zarysie jej ust purpurowych w tej chwili i drżących, gdy powtórzyła:

— Tak, potrzebuję kochać! Kochać koniecznie!

— Więc dlaczego¹³⁵ nie kochasz? — zawołałem wstając, wzruszony także trochę, nie do tyła przecież, żeby zapomnieć o tej roli orędownika, w jakiej przyszedłem. — Pragniesz miłości, mówisz o niej tak pięknie, rozumiesz ją tak szlachetnie, a gdy ci drogę

Miłość niespełniona,
Rozczarowanie, Smutek,
Mądrość, Prawda

Miłość niespełniona,
Rozpacz, Cierpienie

¹³⁴credo — poglądy i zasady, którymi ktoś kieruje się w życiu. [przypis edytorski]

¹³⁵dla czegoż — konstrukcja z partykulą wzmacniającą -że, skróconą do -ż. [przypis edytorski]

zachodzi, odpychasz ją jak natrętą zmorę? Toż przedmiot, to względ drugorzędny — główną rzeczą jest kochać! Chyba, że ludzisz samą siebie w dobrej wierze i zamiast tej zdrowej, praktycznej miłości, która wiedzie prosto do ołtarza, żądasz jakichś nadobłocznych¹³⁶ uniesień, rycerza w lazuruwej zbroi i zakłętých zamków. Bo inaczej, dlaczego nie chcesz zostać żoną tego biednego Kazia, który jest tak godny kochania?

Ela odwróciła się i zaczęła patrzeć w ogród. Ogień namiętnego zapachu zgasł w jej oczach, przesłonięty znów mgłą melancholii, usta zamknęły się bolesnym, zagadkowym uśmiechem.

Odetchnęła głęboko, wciągając w siebie zdradziecki czar letnich, upajających wyziewów i powtórzyła rozmarzonym głosem:

— Dlaczego? Dlaczego?...

Stałem tak blisko niej, że ten splot włosów, który teraz machinalnie odwinęła z ręki i w tył rzuciła, uczepił się mego ramienia, rozsypując się po nim złotym deszczem cieniutkich niteczek. Przywiedle już na jej głowie jaśminy, otaczały nas swoją obumierającą wonią. Ogród nurzał się w tej cieplej, wilgotnej, sennej ciszy, która się padaniem rosy nazywa, drzewa stały milczące, jakby srebrną pajęczyną osnute; z dalekich łąk szły stłumione, pomieszane szmery zasypiającego życia.

Dotknąłem rączki Eli, która leżała otwarta na jej kolanach i z przekonywającym uśmiechem powtórzyłem za nią:

— Dlaczego?

Wtedy ona przytrzymała delikatnie moją rękę, oplótła ją z lekka paluszkami obu swoich dłoni, ruchem, który miał w sobie coś z wstrząsającego działania iskry elektrycznej i patrząc mi znów w oczy głęboko, odrzekła z przyciskiem przez na wpół rozchylone usta:

— Dlatego!

Nigdy, nigdy nie doznałem podobnie przenikającej, subtelnej rozkoszy, jaką na błyskawiczną chwilę dał mi ten uścisk miękkich, dziewiczych rąk, ten jeden wyraz w zatrzymanym oddechu rzucony, ten kwiat nieśmiałej namiętności, pękający raptem, jak pękają kielichy niektórych kaktusów w tajemniczej północnej godzinie! I gdy wspomnę, że mogąc zerwać nie zerwał, że mu pozwoliłem zwiędnąć tak marnie, tak smutnie!

Ale ja byłem wtedy jak to dziecko, które upuszcza brylant czysty jak lza, goniąc za kawałkiem zabarwionego szkiełka. Nie wiedziałem, nie odgadłem, czułem tylko, że się coś niespodziewanego, mimowolnego stało. I nim zdołałem ochłonąć, Ela puściła moją rękę, przesunęła się na drugą stronę okna i zeskoczywszy na ziemię lekko, bez szelestu, uciekła w ogród.

Ja zostałem przy oknie, patrząc machinalnie jak biegła przez zroszony trawnik w swej białej, wąskiej sukience, z falującą na niej masą rozpuszczonych włosów, oddalając się ode mnie niby piękny, niewytłumaczony sen, z którego ocknąwszy się mówimy sobie: co to było?

— Ela! Ela! — rozległ się niecierpliwy głos.

Drgnąłem i spojrzałem w tę stronę.

Była to moja ciotka, która szła od inspektów z koszykiem świeżo zerwanych truskawek w powalanych ziemią rękach.

Spostrzegłszy mnie, zbliżyła się do okna, ruszając ramionami.

— Gdzie ona leci? Także! Nie mogła sobie innej drogi znaleźć. W białej sukni po rosie! Zazieleni ją od razu, jak gdyby pranie nic nie kosztowało. Gdzież pan Kazimierz? Pojechał?

— Nie — odpowiedziałem z roztargnieniem. — Czeka.

Ciotka zżymnęła się, ścigając wciąż oburzonym wzrokiem ten biały, krochmalny brzeg sukni, zamiatający wilgotne trawy.

— Ma za czym — rzekła pogardliwie. — Winszuję, ale nie zazdroścę. Taka żona, to ruina dla samego Rotschilda¹³⁷. Powiedz tylko — wczoraj uprana suknia! Ale dla niej to wszystko jedno! Ona by ci tak samo wlokła aksamit po rosie. Do ramek w sam raz, ale na gospodynię domu... Boże zmiłuj się!... Jej milionów potrzeba!

¹³⁶nadobłoczny — znajdujący się nad obłokami. [przypis edytorski]

¹³⁷Rotschildowie — rodzina niemieckich Żydów, zajmująca się bankowością i finansami, jedna z najbogatszych rodzin na świecie. [przypis edytorski]

— Prawda? — pochwyciłem skwapliwie, czując, że te słowa ciotki przychodzą jakby w porę, rozproszyć jakieś nieokreślone, niebezpieczne majaczenie, któremu podlegałem zaczynałem. — Prawda? Ja jej to samo prawie przed chwilą mówiłem.

— I dlatego zapewne uciekła? O! Ela prawdy słuchać nie lubi. No, ale cóż będzie z panem Kazimierzem? — dodała ciotka, zmieniając głos z rozgoryczonego na zaciekawiony.

Postawiła koszyk na oknie i obtarłszy ręce o długi, gospodarski fartuch, strzepnęła go tak silnie, że aż tuman prochów poleciał w powietrze.

Kichnąłem. Otóż to była kobieta praktyczna w całym znaczeniu tego słowa; najdoskonalsza antyteza Gabruni, powinienem był uderzyć przed nią czołem. W tej chwili przecież wziąłem jej za złe, że mi swoją praktycznością zakręciła w nosie.

— Co będzie? — powtórzyłem, cofając się od okna. — Według wszelkiego prawdopodobieństwa nie zostanie zrujnowanym przez Gabrunię. Stanowczo odmawia mu tej łaski.

— Głupia dziewczyna! — mruknęła ciotka.

A ja obejrzawszy się raz jeszcze po tym pokoiku upłątym w bluszcze i spowitym w muśliny, w którym zamknęła się jak w więzieniu ta dusza egzaltowana, co się bezwiednie do szerszego życia rwała, to serce gorące, co sobie miejsca znaleźć nie mogło czy nie umiało, szepnąłem z dziwnym żalem:

— Biedna dziewczyna!

Po czym wyszedłem zanieść Kazimierzowi gorzki owoc moich usiłowań.

II

Tydzień upłynął. Wieczór zapadł znowu, taki sam srebrzysto-różowy, cichy i pachnący jak tamten. Siedziałem w ogrodzie na ławce pod ścianą domu i przypatrywałem się oryginalnemu, rodzajowemu obrazkowi.

O kilka kroków przede mną, na odkrytej przestrzeni, objętej w półkole krzakami bzów i jaśminów, pokrajanej w starannie utrzymane kwatery, na których kwitły drobne, białe różyczki, liliowe irysy, ciemne bratki i pyszne centyfolie, stał zielony stolik i dwie osoby grały przy nim w karty: Ela i proboszcz, stary przyjaciel domu.

Postać to była także typowa. Olbrzymiego wzrostu, wyższy jeszcze od Kazimierza, który już się po ostatniej rozmowie ze mną nie pokazał, krył on pod rubaszną¹³⁸ dobroduszością wiejskiego plebana umysł głęboko filozoficzny i rozległą wiedzę.

W poważnej dyspacji¹³⁹, na którą zresztą trudno go było wyciągnąć, zadziwiał wykwintnym, literackim stylem, podejrzewałem go nawet, że cichaczem musiał z farbą drukarską się bratać, choć się tego uroczyście wypierał, z ambony zaś i w potocznej rozmowie wyrażał się krótko, dosadnie, sobie tylko właściwymi zwrotami i najczęściej w osobie trzeciej i trybie zaimkowym.

Wesoły, serdeczny, mówiący głośno i jeszcze głośniejszą się śmiejący, posiadał niewyczerpany zapas przydomków dla każdego. Ciotkę nazywał „chodzącą radością”, „burakmistrzynią”, ponieważ najlepiej wiodła jej się hodowla buraków; „panią Nieodpocznicką”, dla jej czynnego usposobienia; Gabrunię swoją ulubienicę „Medytacją”, „Morską pianką”, „Księżycową konfiturką”, mnie „Krzywdobronem”, „Wodzisporem” i Bóg wie jak jeszcze. Miał słabość do książek zwłaszcza do zbyt kownych, ilustrowanych edycji, na które się rujnował i do kart. Ela musiała się nauczyć preferansa, żeby z nim i ciotką grywać w długie zimowe wieczory. Latem, kiedy ciotka zajęta była gospodarstwem, preferans ustępował pikiecie.

I dzisiaj także, aby skorzystać z ostatnich dziennego światła, wyniesiono stolik do ogrodu i proboszcz z Elą zasiedli „machnąć partyjkę” przed herbatą. Ja, chociaż do kart czułem wstręt nieprzezwyciężony, wyszedłem także, żeby na nich patrzeć. I było na co. Gdy tak siedzieli naprzeciwko siebie, przedzieleni zielonym kwadratem zakredowanego sukna, na tle drzew i zachodniej blaknącej łuny, ona smukła, nieruchoma jak piękny biały

¹³⁸rubaszny — bardzo bezpośredni i beceremonialny w sposobie bycia; też: będący wyrazem takiego usposobienia. [przypis edytorski]

¹³⁹dysputa — dyskusja na poważny temat. [przypis edytorski]

posąg, on ze swymi kolosalnymi, ciężkimi kształtami i w zniszczonej sutannie, podobny do jakiejś bazaltowej, z gruba ociosanej kariatydy¹⁴⁰, tworzyli najdziwaczniejszy kontrast.

Energiczna, szpakowata głowa proboszcza, górująca wysoko ponad stolikiem i szerokie ramiona były w ciągłym ruchu, lubił bowiem wszystkie swoje wrażenia gestami oddawać, podczas gdy uwieńczone czoło Eli chyliło się jakby w sennej zadumie, a delikatnie toczono ręce poruszały się we właściwy jej, powolny, apatyczny trochę sposób.

Dokoła pachniały róże i jaśminy, słowik próbował głosu w krzakach, a oni, obojętni na śmiejącą się do nich naturę, deklarowali swoje czternastki i sekwensy, jak dwaj poczciwi emeryci.

Patrzyłem na Elę i myślałem, jaka szczególna ironia losu każe tej dziewczynie być wszędzie i zawsze nie na miejscu. Jak ona wyglądała z kartami w ręku i proboszczem naprzeciwko, ta nimfa o greckim profilu i wschodnim marzycielstwie w oczach! I mimo woli przypomniały mi się te piękne owady, co się nad chłodami stawów w letnie skwary ważą, co się w blaskach słońca dla jednej chwili miłości budzą i w niej giną... Ona podobnie zdawała się stworzoną po to, żeby jakiemuś wybrańcowi piękna, artyście, stać się krótkim dniem natchnienia, rozkoszy, szczęścia, i zniknąć, zanim by ochłodził jego usta, otrzeźwiała wyobraźnia, rozpląnąć się w mgłę, spełniwszy swe efemeryczne przeznaczenie. Tak! Miała wielką słuszność odrzucając Kazimierza. Nie była żoną dla niego, nie była żoną dla każdego w ogóle, kto by przekładał ciepły szlafrok nad romantyczne fałdy hiszpańskiego płaszcza. Jej należało urodzić się przed wiekami pod niebem jońskich archipelagów i w taki oto wieczór letni iść w pomarańczowe gaje z kochankiem i pękiem róż w dłoniach, ofiarę Cytherei złożyć i więcej już z nich do życia codziennego nie wrócić. I gdy w dalszym ciągu zastanawiałem się, ile już podobnych wieczorów strawiła przy tym stoliku karcianym, w sposób dobry dla starej dewotki, ile zim przewetowała jej egzotyczna młodość między tymi dwiema zacnymi, lecz grubymi naturami, między krotochwilnym¹⁴¹ proboszczem a gospodarną ciotką, z niekochanym i odrzucanym konkurentem, za całe urozmaicenie, które tylko mogło ją drażnić, nie pozwalając jej zapomnieć zupełnie, że jest młodą i piękną i że istnieje rzecz taka jak miłość na świecie, to wzdrygnąłem się, jak gdybym patrzył na pogrzebioną żywcem Antygonę. I znowu powtórzyłem, z wciskającą mi się coraz głębiej do serca litością:

— Biedna dziewczyna!

Ela musiała odczuć, że myśli moje koło niej krążą, bo odwróciła się nagle i spojrzała na mnie.

Pociągnięty tym spojrzeniem, wstałem i zbliżyłem się do stolika. Proboszczowi karta nie szła, co się u niego zwykle udanymi oznakami zadowolenia zdradzało.

— To się asisków nawaliło! — wołał, zagarniając same młódki. — Nic, tylko asiska. Serafickie rozdawanie! Spójrz no, mój Aktonosie, jaką to szczęśliwą rękę ma ta Liliowa Papka.

— W istocie — rzekłem, pochylając się nad kartami księdza, lecz patrząc na jego partnerkę. — A proboszcza nawet przysłowiem pocieszyć nie można i jeżeli tak dalej pójdzie, to rubikon niepewny, co?

— Przejdzie się go, przejdzie — zaprzeczył żywo proboszcz. — A kiepski z pana Prawokręta dyplomata, skoro mnie przed przeciwnikiem zdradzasz. Dla przeciwnika zawsze uszy do góry! A trzeba ci wiedzieć, że i fortuna na ten lep się łapie. Jak w dym leci tam, gdzie gęsta mina. Rzecz dowiedziona. Rzecz do-wie-dzio-na! O! Widzisz! — dodał ciszej, pokazując mi przybywającego asa. — Żeby to nasz kochany Koszołyk pan Kazimierz chciał zrozumieć, to może by...

— Księżu proboszczu! — przerwała Ela z wyrzutem.

— Milczy się już! Milczy! Zna się respekt dla indeksu.

Ela skończyła rozdawać karty i układała je powoli z wyrazem Sybilli, dumającej nad księgami przeznaczeń!

— Książd proboszcz się chwali — wymówiła.

I znowu wśród słowicznych trelów ozwał się tak harmonijnie dźwięczący z tą orkiestrą duet:

¹⁴⁰kariatyda — o kobiecie atletycznie zbudowanej. [przypis edytorski]

¹⁴¹krotochwilny — daw. dowcipny. [przypis edytorski]

- Pięć kart w treflach.
- Na ilu?
- Na dziewięciu.
- Dobrze.
- Terc wielki!
- Kwarta!

Stałem słuchając z uśmiechem na ustach. Ominęło mnie już poetyczne usposobienie i ta para grająca wydawała mi się teraz szczerze zabawną, gdy sobie tak przez stół ciskała techniczne wyrazy niby piłki.

— Czternaście dziesiątek! — rzekła Ela.

— Spać! — odrzucił energicznie proboszcz. Czternaście panien. Wszystkie mądre, bo przyszyły do mnie...

— Nie odchodź no, panie Bolesławie, bo z tobą dobrze się dzieje — mówił dalej. — Karta wywinęła koziołka na wiwat naszej sprawie. Nie, nie, moje Rajske Kurczątko — dodał, zwracając się do Eli — nie dziabniesz już ani jednej lewy. To darmo.

Wziąłem ogrodowy stołek i usiadłem z boku, czekając na rozegranie partii. Chciałem pospacerować trochę z Elą po ogrodzie, powiedzieć jej, o czym na ławce dumalem i w duchu irytowałem się na księdza, że ją więzi przy kartach. Jaką jednak anielską cierpliwość miała ta dziewczyna! Żeby choć cień znudzenia zacienił marmurową pogodę jej rysów! To był przynajmniej jeden szacowny przymiot na żonę...

Bo nie wiem dlaczego, od tej rozmowy przy oknie, moja kuzynka nasuwała mi ciągle myśli o małżeństwie i żonie. Przymierzałem jej, mówiąc figurycznie, tę formę kobiecości, ulepioną według mego widzimisie i badałem, o ile na nią za ciasna lub za szeroka, z takim zajęciem, jak gdyby mi na tym osobiście zależało.

Nagle pytanie proboszcza zwróciło moje myśli w zupełnie inną stronę.

— Jakże tam z rozprawą? — zagadnął, tasując karty. — Pracuje się nad nią... co? Warto by. Ciska wiejska, doskonały sos do takich potrawek. Zawsze się w niej lepiej coś mądrego dogotuje, niż w harmiderze miasta.

Pisałem bowiem rozprawę doktoryzacyjną, która, wyznając, szła mi dosyć niesporo.

— Bez wątpienia — rzekłem — ale brak mi niektórych źródeł. Już ich w kilku miejscach na próżno w Warszawie szukałem. Ale dobrze, żem¹⁴² sobie przypomniał. Czy też przypadkiem Proboszcz nie ma w swojej bibliotece *Archiwów teologicznych* Jabczyńskiego? Jest tam parę bardzo mi potrzebnych rzeczy.

— Nie ma się, nie ma się! — odparł proboszcz powoli. — Ale się je gdzieś widziało; skądśiś¹⁴³ się je miało... Aha! Czekaj! Toć nieboszczyk wuj pana Bolesława pożyczył mi to onego czasu. Dwa tomy, wydanie z trzydziestego któregoś roku! Wiem, wiem. Muszą tu gdzieś być, jeżeli ich ten Majstersujka Lucyś na latawce nie poprzerabiał.

— Co proboszcz mówi! — zawołałem. — A to byłaby pyszna rzecz. Muszę to zaraz sprawdzić. Tylko, co się z tymi wszystkimi książkami po wuju zrobiło? Nie widzę ich nigdzie.

— Są na strychu — rzekła Ela, która z wielką uwagą słuchała naszej rozmowy.

— Na strychu! — powtórzyłem, krzywiąc się. — Pomiedzy klepkami rozeschniętych beczek i stosem czerepów¹⁴⁴? Ładne schowanie dla takiego księgozbioru. A wiem, że wuj miał kilka prawdziwych kruków bibliograficznych. I zapewne myszy to jedzą?

— A cóż byś chciał, żeby jadły: może pszenicę? — odezwał się głos ciotki, która niepostrzeżona nadeszła i stanęła za moimi plecami. — Gdyby twój wuj mniej był w tych szpargałach grzebał, a więcej gospodarstwa pilnował, to bym ja teraz mogła usiąść choć godzinę na dzień. A ty, co masz do nich za interes?

— Potrzebuję wyszukać jedno dzieło, naturalnie, o ile go jeszcze w mysich żołądkach nie ma — odrzekłem, wstając. — Sądzę, że ciocia nic przeciwko temu mieć nie będzie?

— O! Mój Boże! Szukaj sobie do sądnego dnia chociażby. Masz w czym. Cztery takie wielkie plachty, że ich żaden parobek na górę wywindować nie mógł.

¹⁴²żem (...) przypomniał — daw. konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; dziś: że sobie przypomniałem. [przypis edytorski]

¹⁴³skądśiś — skądciś; skądś. [przypis edytorski]

¹⁴⁴czerep — skorupa stłuczonego naczynia. [przypis edytorski]

— To one w płachtach leżą? Podoba mi się ten rodzaj bibliotek. Mogła też ciocia choć z szafami kazać je wynieść.

— Szafy zdały się na coś lepszego, mój kochany. Rozumna gospodyni niczemu nie da się zmarnować.

— Tylko cennym książkom — podchwycilem.

— Tylko niepotrzebnym papierowym gałganom — odrzuciła ciotka.

Przez ten czas proboszcz z Elą grali w dalszym ciągu, ale moja kuzynka musiała być bardzo roztargniona, bo ksiądz przerwał nam utarczkę wykrzyknikiem:

— Co Wielka Medytacja wyprawia! Któż to w obronnego króla wychodzi? Słyszała pani dobrodziejka? Sama lezie pod asa. Aż się zabić nie chce.

— Oj, Ela! Ela! — rzekła ciotka, kiwając głową. — Że też ty nawet porządnie w rumla grać nie potrafisz. A to wszystko przez brak wytrwałości.

— Piękna to cnota — zauważył proboszcz. — A uczynna. Wszystkim swoim siostronom dopomaga. Zdałoby się jej trochę naszemu Paniństwu.

Ela milczała.

W kilka minut potem chodziliśmy oboje po ogrodzie zamyśleni i małowówni. Byłem zły na siebie, żem sobie napytał kłopotu szperania po zakurzonych stertach książek, bo przeczuwałem, że mi się to na nic nie zda, a znając swoje usposobienie, wiedziałem także, że będzie mnie ta wątpliwość prześladowała, dopóki jej z karku nie zepchnę.

Rozleniwiałem na wsi i serdecznie mi się nie chciało zamykać na cały dzień pod strychem dla przetrząśnienia paru tysięcy tomów, wśród których kilkunastoletnia gospodarka szczurów i myszy ładny musiała zaprowadzić porządek.

— Żeby się to chociaż opłaciło — rzekłem głośno.

— Co takiego? — spytała Ela, podnosząc oczy.

— Moje szukanie. Nie cierpię szukać! Szkoda, że nie mam jakiego inteligentnego murzyna, który by to za mnie zrobił. Żałuję często — dodałem żartobliwie — że czasy niewolnictwa już minęły.

— Czy minęły? — rzekła moja kuzynka. — Mnie się zdaje, że one ciągle trwają, z tą różnicą tylko, iż wielu niewolników do końca życia dźwiga kajdany, nie widząc pana, który by z tego korzystał i który by ich w przystępie dobrego humoru mógł rozkuć.

— Skąd u ciebie tyle zniechęcenia, Gabruniu? — rzekłem uderzony niewysłowioną goryczą jej mowy. — Życie twoje niewesołe, to prawda, ale o ile wiem, nie miałaś w nim żadnych przejść ciężkich i...

— A skąd ty wiesz — przerwała mi — czy nie najcięższym jest to właśnie, kiedy się nie ma ani z czego śmiać, ani nad czym płakać? Ale niniejsza. Jaki to tytuł tej książki, Bolesiu?

Wymieniłem go.

— Czy to po łacinie?

— Po łacinie.

— Którejś zimy przestudiowałam całą gramatykę łacińską. Od biedy mogłabym łatwiejszych autorów tłumaczyć.

— Doprawdy! Nic nie wiedziałem, że mam tak uczoną kuzynkę. I w jakim celu zabrałaś się do tych studiów?

— W żadnym, książka mi sama wpadła do ręki. A że nie miałam nic innego do roboty...

— Ale co ci z tego przyjdzie? — ponowiłem.

Uśmiechnęła się apatycznie.

— Co? — powtórzyła, patrząc przed siebie. — Zapewne to samo co z całego życia. — Nic!

III

Nazajutrz obudziłem się bardzo późno. Czytałem długo w nocy, myślałem dłużej jeszcze, i było już po dziesiątej, kiedy wyszedłszy z mego pokoju skierowałem się do sali jadalnej.

Wbrew zwyczajowi nie zastałem Eli, która mi zawsze, bez względu na godzinę, dotrzymywała towarzystwa przy śniadaniu.

Stół był nakryty czerwonym obrusem, a zastawione na nim przybory osłonięte białą serwetą; samowar syczał dołożonymi świeżo węglami; rosnące przed domem kasztany tworzyły u otwartych okien ruchome rolety, pogrążając wielki, pusty pokój w chłodnym, zielonym półcieniu, podczas gdy zewnątrz dziedziniec kąpał się w oślepiających blaskach upalnego dnia.

Chmara much zerwała się z brzękiem, gdym ściągnął serwetę broniącą przed ich żarłocznością rzodkiewki, masło, chleb i wędlinę, i usiadł przy wielkim stole, sam jeden, wśród otaczających mnie sztywnych, milczących krzesel. Z dalszych pokoi nie dolał szmer żaden. Dwór zdawał się być pustym zupełnie.

Zrobiło mi się nieprzyjemnie. Wiedziałem, że ciotka o tej porze jest w polu, ale Gabrunia?...

— Gdzie panienka? — zapytałem bosej dziewczyny, która w tej chwili wniosła dymiący się imbryk kawy na żółtej tacce.

— *Musik* w ogrodzie.

— Idź i poproś!

Dziewczyna wróciła po jakimś czasie, oświadczając, że panienki po próżnicy w ogrodzie szukała, ale Magdusia, ta niby, co jest przy pokojach, widziała jak panienka równo ze świtem wyszła i dotąd jej nie ma.

Zdziwiłem się. Takie wczesne wyprawy nie wchodziły w zakres upodobań Eli.

— *Musik* poszła do lasu na jagody — dodała dziewczyna stojąc nade mną i przytupując mi się z głupkowatym natężeniem, jak gdyby mnie po raz pierwszy w życiu widziała.

— Dobrze. Możesz odejść.

Wyszła, dudniąc bosymi nogami, a ja zostałem sam, smarując chleb, oganiając się muchom i myśląc, co to jednak znaczy przyzwyczajenie do pewnych warunków. W Warszawie nigdy mi przy śniadaniu nie brakowało mojej kuzynki. Tutaj zaś czułem się wprost pokrzywdzonym, że nie widzę naprzeciwko siebie jej jasnej głowy, w zroszone jeszcze kwiaty ustrojonej, że mi jej ciche, lekkie ręce nie nalewają kawy, a głos łagodny i spokojny nie pyta:

— Może więcej cukru, Bolesiu?

Skończyłem jeść prędko i wyszedłem na ganek. Wyżeł „Nero” przybiegł połaścić się, lecz zobaczywszy kurę, trwożnie wysuwającą się z krzaków pędem za nią pogonił.

Pozbawiony nawet towarzystwa psa, otworzyłem furtkę prowadzącą do ogrodu i zagłębiłem się w cieniastą, brzożową aleję. Dochodziła ona aż do wysokiego żywopłotu, poza którym ciągnęły się łąki, odcięte od horyzontu szumiącą ścianą lasu. Stałem przy tym płocie i patrzyłem na ścieżkę, wydeptaną między trawami, spodziewając się ujrzeć białą postać Eli. Sam nie miałem odwagi puścić się do lasu, po osłonecznionej, buchającej skwarem płaszczynie. Na to potrzeba było amatorstwa mojej ekscentrycznej, nie wiedzącej co robić z czasem, kuzynki.

Co do mnie, właściwie nic mi się z nim w tej chwili robić nie chciało. Byłbym się położył w głębokim rowie za płotem, między niezapominajkami, które tam rosły, i zamknąwszy oczy słuchał ćwierkania koników polnych, kołysany tajemniczym, omdlewającym pulsowaniem dyszącej od upału ziemi. Nagle przypomniałem sobie strych i archiwa Jabczyńskiego; skrzywiłem się i zawróciłem ku domowi, mówiąc sobie, że nie ma bardziej denerwującego zajęcia nad przeglądanie starych, zbutwiałych książek.

Wejście na górę mieściło się w bocznej, ciemnej sieni, oświetlonej słabo z góry przez podłużny otwór w pułapie, do którego wiodły spadziste, wąskie schody. Wdrapałem się na nie powoli.

Strych był obszerny i widny; zavalony skrzyniami, workami, żelastwem, istne muzeum gospodarskich nieużytków. Charakterystyczna woń stęchlizny, starej odzieży, nadgniłych jabłek i zbutwiałej słomy, unosiła się pod ukośnym belkowaniem dachu.

Na odgłos moich kroków po skrzypiących deskach, coś się poruszyło w głębi, w miejscu oświetlonym silnie przez wdzierający się półokrągłym okienkiem promień słońca, w którym gęste klęby kurzu tworzyły rodzaj złocistej zawieruchy.

Spojrzałem w tę stronę i aż podskoczyłem, zawadzając głową o sznur od bielizny.

Pośrodku spiętrzonych stosów książek, zakryta nimi do połowy klęczała Ela. Miała na sobie ciemną, ranną bluzę, szerokie rękawy odwiniete aż po ramię, a włosy okręcone grubym sznurem dokoła głowy.

Zobaczywszy mnie wstała śpiesznie, upuszczając kilka książek, od których zaiskrzyło się w powietrzu nową chmurą pyłu. Bez wieńca, z silnymi kolorami zmęczenia na policzkach, zadyszana, oblepiona pajęczyną, ubrudzona po łokcie, z wyrazem niezwykłego ożywienia w oczach, cała w obłokach kurzawy, czepiającej się jej włosów i obnażonych, białych ramion i aureoli płowych iskierek, wydała mi się taką inną, taką niepodobną do samej siebie, że stałem przez chwilę, nie mogąc sobie zdać sprawy z tego, co widzę.

— Co ty tu robisz, Gabruniu? — zawołałem na koniec.

— Książki szukam dla ciebie, Bolesiu — odpowiedziała najnaturalniejszym głosem.

— Co znowu! — wykrzyknąłem, przeskakując papierową barykadę. — Nigdy na to nie pozwolę. Udusisz się w tym kurzu. Patrz, do czego podobne twoje wypieszczone rączki.

Spojrzała na nie z zadowoleniem i za całą odpowiedź zanurzyła je w stosie szpargałów.

— Daj temu pokój, proszę!

— O! Nie! Nie! — odparła żywo. — Ja bym ci się tak pragnęła na coś przydać!

— To pozwól przynajmniej, że ci pomogę — rzekłem, rad w duszy, że mnie tak niespodziewane uprzyjemnienie żmudnej roboty spotyka.

Zresztą, nie myślałem się nad nią długo mozolić. Jeden rzut oka wystarczył mi, aby się przekonać, w jak oplakany stanie znajdował się księgozbiór mego nieboszczyka wuja, przedmiot jego zabiegów i dumy, źródło tyłuż¹⁴⁵ wewnętrznych pociech, ilu strat gospodarskich i małżeńskich goryczy. Większa część książek nie posiadała okładek, inne rozlatywały się za dotknięciem, jak podniesiona jedną ręką harmonijka, co było jeszcze najpomyślniejszą kombinacją, resztę bowiem składały same początki, środki i końce dzieł, porozdzierane, ponadrywane, odrażające brudem i żółtymi plamami wilgoci. Nie dość na tym, trąciło to wszystko myszą tak nieznośnie, że aż mi świeceki w oczach stanęły, gdym się pochylił nad jedną z tych czterech płacht, którym praktyczna ciotka powierzyła umysłową spuściznę swego małżonka, a które, gdy się je dobrze wypakuje i na krzyż zwiąże, przybierają kształt, zwany pospolicie zajdami.

Do tych więc zajd, kilkowiekową może mądrością ludzką napchanych, która im tu i owdzie dziurami zgrzebnego płótna wylaziła, zabrałem się bohatercko, chcąc je rozwiązać, ale wstrzymała mnie Ela.

— Tęgo nie ruszaj, Bolesiu — rzekła — tam już wszystko przejrane. I tam także — dodała, Widząc, że się do drugiej zwracam. — Nie darowałam żadnemu świstkowi.

— Co? — rzekłem, mierząc wzrokiem te osobliwsze piramidy, które rozrzucić było już pracą nie lada, a cóż dopiero grzebać się w nich i na powrót układać. — Więc odkądże ty tu jesteś, Gabruniu?

— Odkąd wstałam — rzuciła mi od niechcenia, nie przestając szukać.

Odkąd wstała! A wstała równo ze świtem, według słów bosej dziewczyny. To znaczyło, że ta delikatna, wykwinna istota, którą wczoraj jeszcze ciotka z proboszczem pomawiali o brak wytrwałości, strawiła około siedmiu godzin, nie jedząc i nie odpoczywając, pod tym dusznym, gorącym strychem, wśród obrzydliwych mysich wyziewów i nieporządków, łykając kurz, dźwigając olbrzymie tomiska, babrząc się w tym bibulany bigosie! I to wszystko dla szpargału, o którym nawiasowo wspomniałem!

— Ależ to szaleństwo! — wykrzyknąłem, sam nie wiedząc, czy mnie to bardziej zdumiewa, czy śmieszy. — To się można rozchorować z takiego umęczenia! Nazwij mnie niewdzięcznikiem, jeśli chcesz, ale ja ci powiem, że to jest także egzaltacja swojego rodzaju. Egzaltacja czynności, kochana Gabruniu. Bardzo piękny defekt, ale zawsze szkodliwy, a jak w obecnym wypadku, zupełnie zmarnowany. Kto by tu trafił do ładu w tym śmietniku... Ani jednej całej książki. Proszę cię, wyjdź stąd zaraz!

— A widzisz, żeś się omylił — zawołała Ela z tryumfem — właśnie, że znalazłam... Początek i koniec pierwszego tomu i kilkanaście kartek z drugiego. Reszta także być musi... tylko trochę cierpliwości.

I podała mi odłożone na bok trofea swych poszukiwań.

¹⁴⁵tyłuż — wzmocniony zaimek tyle. [przypis edytorski]

Przejrzałem je szybko i ucieszyłem się ogromnie, gdyż szczęśliwym zbiegiem okoliczności w urywkach tych znajdowało się to właśnie, co mi potrzebnym było.

— Jesteś cudowną wróżką, Gabruniu! — zawołałem z radością — Odgadłaś co znaleźć. O resztę już mniejsza. Ach! To wybornie! Niechajże ci podziękuję ogniście!

Chciałem pochwycić jej rączki, ale cofnęła je w tył żywo, śmiejąc się takim dźwięcznym, uszczęśliwionym śmiechem, jakiego nigdy u niej nie słyszałem.

Była prześliczna z tym ruchem figlarnego dziecka, klęcząca, umorusana, niby kopuszek nad swym przetakiem gorczycy, gdy po niego złocista kareta zajechała.

— Fe! Fe! Takie brudne ręce! — broniła się wesoło. — Poczekaj z podzięką, aż się umyję.

— Ani myślę! — odparłem, przysuwając się. — Już ja tu sobie znajdę jakieś czyste miejsce.

I objąwszy ją w pól, odchyliłem wyżej jeszcze szeroki rękaw bluzy i wycisnąłem długi pocałunek na mlecznym, krągłym ramieniu mojej kuzynki.

Ela nie broniła się już. Milczała. Czulem, tylko drżenie atlasowego ciała pod moimi ustami; promienna jej główka, jakby ulegając nieprzepartej sile, oparła się o moje piersi, kibić przegięła się, tuląc silniej w mój uścisk; biedne, czerwone i nabrzękle rączki zwiesiły się bezwładnie, a ona sama rozplakała się cichym, namiętym łkaniem.

— Gabruniu! Na Boga! Jakże można! Uspokój się! — wołałem głupio zakłopotany jak zawsze mężczyzna wobec kobiecych łez. — Otóż to takie skutki! Zmęczyłaś się, zdenerwowałaś! Moja jedyna!

Ela płakała ciągle. Trzymałem ją w objęciach i przyciskałem do siebie; gładziłem z lekka jej włosy, powtarzałem bezmyślne trochę słowa perswazji, starając się nadać głosowi memu najłagodniejsze brzmienie, znajdując niewypowiedziany urok w kojeniu tego roztkliwionego biedactwa, co się do mnie z takim zupełnym oddaniem garnęło. Mimo to, życzyłem sobie bardzo, żeby przestała płakać, a nie miałem pojęcia, w jaki sposób najprędzej wzruszenie jej usmierzyć.

— Gabruniu! Ja ci wody przyniosę! — zawołałem, natchniony nagłą myślą.

Ale ona zatrzymała mnie prawie gwałtownie.

— Zostań! — szepnęła, a gorący jej oddech musnął mnie po szyi, jak pieścizna kochanki — Zostań i nie mów nic do mnie. Jam taka szczęśliwa w tej chwili!...

Spełniłem jej wolę, tym skwapliwiej¹⁴⁶, że doprawdy, nie miałem jej nic do powiedzenia. Było mi jakoś strasznie niemądrze na sercu.

I znowu, jak wtedy przy oknie, uczulem instynktowo obecność czegoś nieprzewidzianego pomiędzy nami, czegoś, co mi zapachniało, jak piękna róża i błysnęło, jak iskra brylantowa, czegoś, co mi samo szło w ręce, a ja nie wiedziałem, czy to brać i jak to brać i co z tym zrobić, i żal mi było tego sobie nie przywłaszczyć i chciałem tylko, żeby mi dano długo jeszcze w tym zawieszaniu pozostać, bom¹⁴⁷ odgadywał, że jest ono najlepsze z tego wszystkiego, co chwila taka przynieść mogła.

Wreszcie Ela uspokoiła się, otarła oczy, odsunęła się ode mnie i machinalnie zaczęła zbierać książki.

— Więc masz już wszystko, czego ci potrzeba? — zapytała, aby coś powiedzieć.

— Wszystko.

— To pójdźmy stąd.

— Pójdźmy...

Wziąłem pod pachę poszarpanego Jabczyńskiego, podałem rękę mojej kuzynce i sprowadziłem ją w milczeniu ze schodów.

Znalazłszy się w moim pokoju, rozłożyłem *Archiwa teologiczne* na stole i siedziałem nad nimi bardzo długo. Ale nie myślałem o rozprawie.

Ela taka, jaką ją widziałem na strychu, stała nu wciąż przed oczyma. Słyszałem cichy jej płacz i czulem ciepło jej pałającej twarzy na moich piersiach. Przypomniało mi się, co mówiła, siedząc na oknie, że miłość wszystko by z niej zrobić mogła, i zestawiałem to z jej dzisiejszym przeobrażeniem i tą, aż do przesady posuniętą gorliwością w oddaniu mi przysługi.

¹⁴⁶skwapliwy — ostentacyjnie okazujący gotowość do czegoś; też: świadczący o czyjejś gotowości do czegoś. [przypis edytorski]

¹⁴⁷bom — dziś: bo odgadywałem. [przypis edytorski]

— Czyżby ona? — myślałem, a czując niepojęte rozkołysanie mojej pilnie strzeżonej, w dobre karby ujętej wyobraźni, dodawałem: czyżbym i ja także?...

I nie kończyłem. Nie miałem odwagi kończyć. Rozsądek mówił mi, że droga domysłów jest tutaj drogą niebezpieczną, mogącą doprowadzić do zupełnej pewności, której właśnie uniknąć chciałem. Niepodobna mi przecież było żenić się z moją kuzynką!

Gdyby mnie kto był zapytał znieścaka, w czym mianowicie leżało to niepodobieństwo, byłby mnie bardzo zakłopotał. Prawdopodobnie w tym, że ja nie miałem nic i ona także nic, i że nie posiadał dosyć wiary w taką potęgę miłości, która by z tej „morskiej pianki”, jak ją nazywał proboszcz, ulepiła energiczną, gospodarną, na troski codziennego życia hartowną kobietę. Co innego poryw egzaltacji, a co innego chłodne wymagania rzeczywistości. Do pierwszego mogła być zawsze zdolną; tym drugim nie sprostałaby nawet przez miesiąc.

Tak mi mówił rozsądek, a rozsądek, jak sama Ela przyznawała, myli się rzadko, lecz myli się strasznie. Kto wie, może i wówczas popełnił jedną z takich strasznych omyłek...

Bądź co bądź, stosunek nasz nie uległ żadnej zmianie. Ona zamknęła się znowu w sobie, ja wróciłem do równowagi, a widząc ją po dawnemu spokojną, ościężałą, apatyczną, mówiłem w duchu: „zdawało mi się”, z tą łatwością, z jaką przyswajamy sobie przekonania, które nam są dogodne. O Kazimierzu tylko nie było już więcej mowy między nami.

Zabawiłem jeszcze parę tygodni na wsi, po czym wróciłem do Warszawy. Rozstaliśmy się z Elą bez pożegnania, gdyż było to jednym z jej dziwactw, że nie żegnała się nigdy, przynajmniej ze mną.

Wieczorem, w przeddzień mego wyjazdu, wyciągnęła tylko do mnie rękę, jak zwykle, powiedziała mi dobranoc bardzo spokojnie, a nazajutrz, kiedy o szóstej z rana śpieszył na pociąg, nie pojawiła się już przy bryczce, do której towarzyszyła mi ciotka, obarczając mnie równie przerażającą ilością poleceń, jak zapasów na drogę.

Mimo woli szukałem oczami Eli i nieobecność jej była mi przykrzejszą tym razem, niż kiedykolwiek.

Pokój jej zamknięty był z wewnątrz, a Magdusia dowodziła, że panienska śpi aż chrapie. Nie kazałem jej budzić, choć mi się bardzo w ten sen i to chrapanie wierzyć nie chciało.

Ciotka ruszała ramionami, irytując się na ślamazarność mojej kuzynki.

— Widzisz, jakie to niemrawe! — mówiła — Nawet się nie wyguzdrała, żeby cię pożegnać, a niby to tak wiele sobie z ciebie robi. I ręczę, że przez cały dzień będzie desperowała, że zasnęła. Ale to już taka nieszczęśliwa natura!

Kiedy bryczka, wytoczywszy się z dziedzińca okrążyła ogród, zdawało mi się, że krzaki pod płotem poruszyły się i coś w trawach zaszeleściło, ale nie byłem pewny. Odwróciłem się i patrzyłem długo za niknącą w rannych, różowawych oparach wioseczką, jak gdybym przeczuwał, że ją bardzo nieprędko zobaczę.

IV

Następnego roku okoliczności tak się złożyły, że zamiast do ciotki, pojechałem na letnie miesiące do Szczawnicy. Byłem skłonny do cierpień gardlanych; doktor zalecił mi tamtejsze wody i górskie powietrze.

Trafiłem na sezon wyjątkowo obfitujący w ładne panny, jak utrzymywała miejscowa kronika, a z pomiędzy nich jedna szczególnie zwróciła moją uwagę. Wyglądała jak uosobienie zdrowia, życia i wesołości. Nie mogła nawet udawać, że się leczy, widocznym było, że przyjechała dla zabawy i bawiła się też całą duszą. Wszędzie jej było pełno, biegała po szczytach jak gienza, tańczyła na reunionach niezmordowanie, przebierała się po góralsku, jeździła konno, była zawsze mówiąca, uśmiechnięta, świeża. Podobała mi się bardzo. Przedstawiłem jej się między dwoma kubkami Józefiny na deptaku, podczas wycieczki na Trzy Korony doszedłem, nie wiadomo na jakiej zasadzie, do głębokiego przekonania, że jesteśmy stworzeni dla siebie, na najbliższym reunionie¹⁴⁸ wyjawilem jej ten pogląd, i zapytałem o jej zdanie, a ponieważ okazało się zadziwiająco zgodnym z moim, więc zaręczyliśmy się niebawem.

Rozstrzygnęły się te moje losy w sposób zdarzający się zazwyczaj takim trzeźwym, niby i rozważnym ludziom, którzy głoszą śliczne teorie o wzajemnym zbadaniu charakterów,

¹⁴⁸reunion — daw. większe spotkanie towarzyskie połączone z tańcami. [przypis edytorski]

o zgodności pojęć i uczuć, jako podstawie szczęścia w małżeństwie; układają długą listę wymagań i zastrzeżeń, a gdy przyjdzie co do czego, żenią się najnieopatrniej, jakby na przekór swoim teoriom i postanowieniom.

Rzecz cała, iż musiałem się zakochać, albo raczej zadurzyć. Moja przyszła nie budziła we mnie żadnej z tych wątpliwości, jakie mnie odnośnie do Eli ogarniały, nie poddawałem jej też, co prawda, takiej subtelnej analizie. Działała ona mniej na moją wyobraźnię, mniej może nawet na serce, niż tamta, bardziej za to więziła zmysły, odpowiadała na pozór moim praktycznym ideałom. A przy tym — okoliczność bardzo ważna, — była posażną w samą miarę, to jest nie do tyła, aby mnie kto mógł posądzić, że się dla pieniędzy żenię, a dostatecznie, aby mi materialne względy nie kazały gasić w zawiązku miłosnych płomieni.

Krótko mówiąc, zdawało mi się, iż jestem bardzo szczęśliwy. W tym też duchu napisałem do ciotki i do Eli, donosząc im o moich zaręczynach i prosząc na ślub, który się miał późną jesienią odbyć. Byłem do tego stopnia zajęty sobą w danej chwili, że mi nawet nie przyszło na myśl, zastanowić się, jakim też echem odbije się ta wiadomość wśród bluszczów i muślinów cichego pokoiku, w którym pewnego letniego wieczoru, szczerą, głęboką miłość wychyliła się do mnie przez szafirowe oczy samotnej dziewczyny.

Ciotka przyjechała na parę tygodni przed moim weselem, pomagać mi w urządzeniu domu, a także zając się godnym przyozdobieniem swojej osoby na tę uroczystość. Narzekała bardzo na ciężkie czasy, kupiła sobie jednak piękną jedwabną suknię, cynamonowego koloru, koronkową mantylę¹⁴⁹ i czepek z żółtym, strusim piórem, tłumacząc te zbytki przezornością: Lucyś bowiem kończył już lat dziewiętnaście, ona zaś pragnęła ożenić go jak najwcześniej. Miała już nawet dla niego upatrzoną żonę w sąsiedztwie, stryjeczną siostrę Kazimierza, który mi obiecał družbować.

Wbrew moim oczekiwaniom, Ela nie przyjechała z ciotką. Zawód ten był mi tym przykrzejszym, iż układałem sobie znów spróbować nieudanej roli swata i na własnym weselu, małżeństwo przyjaciela skojarzyć. Ale ciotka, gdy jej się na nieobecność mojej kuzynki żaliłem, wpadła nad nią w ekstazę.

— Nie, mój drogi — oświadczyła stanowczo — Eli dużo można zarzucić, ale co się tyczy delikatności, zawsze mówiłam, iż drugiej takiej nie ma na świecie. No, a w tym razie przeszła samą siebie. Co prawda, to prawda, taka podróż i suknia dla niej i wszystkie dodatki, to byłoby ładny grosz wyciągnęło z kieszeni, a znowu nie śmiałabym jej tego odmówić, gdyby się uparła jechać, boć niby jest twoją krewną i zawsze byliście z sobą bardzo dobrze, więc...

— Tak, tak — przerwałem trochę niecierpliwie — ale cóż to ma do delikatności Gabruni?

— Pozwólże mi skończyć. Zawsze jesteś w gorącej wodzie kąpany. To ma, że ona sama przyszła do mnie z tym, iż teraz ciężkie czasy, żeby sobie tego nigdy nie darowała, że mnie na taki koszt wystawiła, że to by jej całą przyjemność zatrulo i prosiła się, powiadam ci, kompletnie się prosiła, żeby jej nie brać. Bo uważasz, ja się niby z początku tego... Mówiłam jej: ale co znowu! Nie byłaś nigdy w Warszawie, rozerwiesz się trochę, przecież Bolesł co roku żenić się nie będzie, a ona nie i nie. Więc też i nie nastawałam, bo jak wiesz, Ela jest bardzo uparta, to jedna z jej najopłakańszych wad, ale co tutaj — sprawiedliwość jej oddać trzeba — uparła się przez delikatność.

W przeddzień mego ślubu odebrałem list od Eli. Był krótki, starannie napisany, jak wypracowanie dorosłej uczennicy i pachniał różami. Życzyła mi szczęścia i prosiła o przyjęcie małej pamiątki, którą mi ciotka wręczy w jej imieniu.

List ten zirytował mnie podwójnie. Najprzód¹⁵⁰ swoim chłodnym, jak mi się zdawało, stylem, a potem tą obietnicą prezentu od sieroty, która, wiedziałem dobrze, nigdy grosza przy duszy nie miała.

Ponieważ ciotka mieszkala dla oszczędności u mnie, poszedłem natychmiast do jej pokoju.

— Moja ciociu! — zawołałem wchodząc — Co ta Gabrunia sobie myśli! Na moje wesele niby dla kosztu nie przyjeżdża, a w jakieś podarunki chce się bawić. Niechże mi

Ślub, Miłość niespełniona

¹⁴⁹ *mantyla* — daw. krótka jedwabna pelerynka damska. [przypis edytorski]

¹⁵⁰ *najprzód* — daw. najpierw. [przypis edytorski]

ciocia robi tę łaskę i zwolni od tej wyproszonej zapewne u ciocinej kieszeni pamiętki, a jej wytłumaczy, że¹⁵¹ jej nie przyjął, bo się gniewam i...

Urwałem dalsze wywody, spostrzegłszy niezwyczajne wzburzenie ciotki. I ona także trzymała list w jednej ręce, a w drugiej podłużne płaskie pudełko.

— To wariatka ta dziewczyna! — wykrzyknęła, zwracając się do mnie. — Istna wariatka! Patrz! Co ona najlepszego zrobiła.

I gwałtownie otworzywszy pudełko, którego nakrycie zleciało na ziemię, mignęła mi przed oczyma długim, złocistym warkoczem.

Poznałem włosy Gabruni i wszystka krew uderzyła mi do twarzy. Było to wrażenie wskrzeszonego nagle wspomnienia, któremu od dawna powiedzieliśmy *requiescat in pace*¹⁵², a którego żywotność dziwi nas i przestrasza.

— Co to znaczy? — wykrzyknąłem.

— A masz, czytaj! — odparła ciotka z furią, list mi rzucając:

— „Kochana ciociu — pisała Ela — proszę się nie zdziwić temu, co posyłam. Włosy mi tak wychodzą, że postanowiłam je obciąć. Szkoda nie wielka, wkrótce odrosną. Chciałam je spalić, ale przyszło mi na myśl, że w Warszawie kupują takie rzeczy i że za ten kolor podobno nawet bardzo dobrze płacą. Niechże więc kochana ciocia będzie łaskawa, sprzeda je jakiemu fryzjerowi i kupi za to taki wazon alabastrowy, jaki u nas stoi na serwantce, bo wiem, że on się Bolesiovi podobał. Będą to pierwsze w życiu pieniądze, które mymi własnymi nazwać będę mogła, i nie umiałabym ich lepiej i milej zużytkować, jak ofiarując Bolesiovi tę drobnostkę w dzień jego ślubu. Przypominać mu ona będzie najszczęśliwszą chwilę życia i zarazem bardzo życzliwą kuzynkę, która dla niego więcej pragnie, niż wypowiedzieć potrafi”.

Opuściłem rękę z listem w milczeniu.

— Myślisz, że to prawda! — wołała zaperzona ciotka. — Kłamie! Nigdy jej włosy nie wychodziły! Obcięła z umysłu, bo to taka szatańska duma, że chciała z prezentem wystąpić, a o pieniądze nie prosić! Ja ją znam! Niegodziwa dziewczyna! To się dopiero oszpeciła! No, teraz już i pan Kazimierz nie zechciałby takiego rekruta. Mój Boże! Mój Boże! Takie pyszne włosy!

Drżałem ciągle z hamowanego wzruszenia i znowu ten mściwy sarkazm, ten zmysł śmieszności, jaki mnie zawsze z pod zbytniego uroku mojej pięknej kuzynki wyzwał, przyszedł mi i teraz z pomocą.

— Niech ciocia ma pretensję do Wiktora Hugo¹⁵³ — rzekłem żartobliwie, choć głos mi się trząsł jak w febrze. — Gabrunia musiała się w nim ostatnimi czasy rozczytywać i przyszła jej ochota naśladować biedną Fontinę.

— Kogo? powiadasz — rzekła ciotka. — Mnie się zdaje, że ona nikogo naśladować nie mogła, bo takiej drugiej wariatki nie było i nie będzie.

Nie znalazłem na razie odpowiedzi na ten argument i zamilkliśmy oboje.

— Niechże mi ciocia da te włosy — odezwałem się wreszcie. — Zrzekam się wazonu; wolę dar *in natura*¹⁵⁴, choćby dla oryginalności.

Zaniosłem ciężki, ogromny warkocz do swego pokoju, ułożyłem go starannie w pudełku i schowałem do najszybszej szuflady biurka, obok żółtych *Archiwów* Jabczyńskiego, spoczywających tam wśród kilku innych przedmiotów, do których wyjątkową przywiązywałem wartość. Nie byłem w ogóle romantyczny, nie lubowałem się w pamiętkach i wspomnieniach, ale każdy w życiu ma jakąś swoją idylle, jakąś opalową chwilę poezji; dla mnie zamknęła się ona w tej starej podartej książce i w tym złotym warkoczcu.

Późnym wieczorem, gdy wróciłem od narzeczonej, w tę ostatnią kawalerską noc, wydobylem raz jeszcze włosy Gabruni i dumałem nad nimi długo, dłużej, niż wtedy na wsi, nad przyniesionymi ze strychu szpargałami.

¹⁵¹ *żem* (...) *nie przyjął* — daw. konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; dziś: że nie przyjąłem. [przypis edytorski]

¹⁵² *requiescat in pace* (łac.) — niech spoczywa w pokoju. [przypis edytorski]

¹⁵³ *Wiktor Hugo* — francuski pisarz, poeta, dramaturg i polityk. Jeden z najważniejszych twórców literatury francuskiej i czołowy przedstawiciel romantyzmu francuskiego. Autor poezji, dramatów wierszem i prozą oraz powieści, jak również listów i przemówień politycznych. [przypis edytorski]

¹⁵⁴ *in natura* — w naturze (nie pieniądźmi). [przypis edytorski]

Zdawało mi się, że te lśniące, miękkie sploty kończą mi wyraźniej i obszerniej opowiadać tajemnicę biednego dziewczęcego serca, która zaszemrała mi dwa razy w zapachu wędnących jaśminów i w osłonecznionych pyłach książkowych, niedopowiedziana, niedosłuchana, smutna, jak wszystko, co przez pół żyje i przez pół umiera.

„Jak ona ciebie kocha”, szeptały mi włosy Eli; „jak ona ciebie kocha”, a ja, szczęśliwy narzeczony, jutrzejszy małżonek, wsłuchiwałem się w ten szept zakazany z bezbrzeżną rozkoszą i bezbrzeżnym smutkiem.

O serce ludzkie! Dziwaczne, głupie, okrutne, biedne serce ludzkie! Któż ciebie kiedy zrozumie?

V

Dziesięć lat upłynęło od mego ożenienia. Jako adwokatowi powodziło mi się bardzo dobrze, a moja teściowa utrzymywała, iż mam idealną żonę i jestem najszczęśliwszym z mężów.

I ja z początku wierzyłem w to święcie, później z pewnymi zastrzeżeniami, w końcu doszedłem do wniosku, iż mogłem wprawdzie zrobić wybór gorszy, ale i lepszy nie byłby rzeczą o wiele trudniejszą. Ta żywość, która mnie tak z towarzyskiego stanowiska zachwycała, w domowym pożyciu przybrała znacznie jaskrawszy odcień opryskliwej gwałtowności, z czym bywało wcale nie do twarzy mojej ślicznej żonie.

Doprawdy, czasami ktoś niegrzeczny byłby ją nazwał pasjonatką. Co do mnie, wystrzegając się wszelkich przydomków, tylko z coraz głębszym przekonaniem mówiłem sobie, że łagodność i słodycz są najcenniejszymi przymiotami w kobiecie i wtedy zawsze przychodziła mi na myśl kuzynka Ela. Nazywano ją ślamazarną! Być może! W każdym razie była to ślamazarność dziwnie wdzięczna i która mi się nigdy we znaki nie dała.

Jedno jeszcze raziło mnie w mojej żonie, to jest jej zupełny brak poczucia artystycznego, zupełna obojętność na duchową stronę życia. I rzecz szczególna — ja człowiek na wskroś ziemski, nielościwy szyderca, gdy chodziło o marzycielskie upodobania Eli, o jej egzaltowane porywy, byłbym dał nieraz wiele, żeby moja żona zadumała się choć chwilę nad czymś innym niż nad tym, z czym jej było wygodnie lub ładnie, żeby ją jakiś subtelnie piękny objaw w naturze czy w sztuce lub jakiś podnioślejszy przeblask życia zastanowił, wzruszył i zachwyił — Na próżno. Jej doskonale rozwinięta, egoistyczna fizyczność, zamknęła w sobie całą skalę jej wrażeń. I znowu w każdym wypadku, nastroczającym mi pole do podobnych spostrzeżeń nad moją dozoną towarzyszką, myślałem nieodmiennie o kuzynce Eli.

Wyliliby się jednak kto by sądził, że się czułem nieszczęśliwym w małżeństwie. Różowy koliberek miłości wyfrunął wprawdzie bardzo prędko z naszego gniazda, ale opiekuńcze bóstwa zesłały nam na jego miejsce szarego i spokojnego ptaka, który zowie się Przyzwyczajeniem. Żyliśmy jak tysiąc innych stadel. Żona widziała we mnie dostarczyciela tej sumy przyjemności i potrzeb, jakie stanowiły filozofię jej życia, ja widziałem w niej ładną kobietę, pokazną przedstawicielkę mego domu i sumienną strażniczkę niego honoru. Biorąc rzeczy rozsądnie, czegoż było więcej żądać?

Istotną moją zgryzotą było to, żeśmy nie mieli dzieci, ale nadeszła chwila, w której ciężkim doświadczeniu ta właśnie okoliczność stała mi się jedyną pociechą.

Wychodząc raz zimą z napełnionej po brzegi sali sądowej, w której przez parę godzin bronilem żywo mnie interesującej sprawy, rozgrzany, zmęczony, zdenerwowany, zaziębiłem się i dostałem gwałtownego tyfusu, do którego przyłączyło się i zapalenie krtani. Przez parę tygodni niebezpieczeństwo było groźne, lekarze tracili już nadzieję; w rezultacie wyszedłem z choroby z życiem, lecz bez głosu. Nastąpiło sparaliżowanie mięśni krtaniowych. Była to straszliwa klęska dla człowieka, którego źródło dochodów leżało w gardle. Z początku nie chciałem prawie uwierzyć w tę srogą prawdę; ludziłem się, że lada chwila, lada godzina odzyskam mowę, pojechałem, a raczej dałem się zawieźć żonie do Wiednia i Paryża, czepiałem się gorączkowo wszelkich możliwych kuracji, nic nie pomogło. Tyle tylko, że mogłem się dać zrozumieć. Specjaliści nie uważali wprawdzie stanu mego za beznadziejny, ale ja straciłem w nich wszelką wiarę. Wtedy ogarnęła mnie ponura rozpacz i wpadłem w stan rozdrażnienia, tym dokuczliwszy, że sobie nawet głośnym narzekaniem ulżyć nie mogłem.

Małżeństwo, Żona

Choroba

Wśród tak smutnych okoliczności nadeszło lato. Doktorzy radzili zmianę miejsca, spokój, świeże powietrze. Żona chciała jechać gdzieś do wód, w góry, by sobie jako tako niespodziewaną rolę siostry miłosierdzia osłodzić, ale ja sprzeciwiłem się temu stanowczo. Długa i kosztowna kuracja oraz podróż za granicę nadszarpaneły znacznie moje osobiste, niewielkie fundusze, jakie z adwokackiej praktyki, prowadząc bardzo otwarty dom, zdołałem zebrać; zostawał tylko posag żony, a myśl, że musiałbym kiedyś zejść na jej chleb, była największą kroplą goryczy w tym kielichu żółci. O! Bo żona moja nie miała żadnych kwalifikacji na anioła pocieszyciela i żadnych pretensji do rozkoszy poświęceń. Czulem to i postanowiłem oszczędzać się do możliwych granic, pędzić bodaj żywot Łazarza lub skrócić go jednym pociągnięciem cyngla, niż z jej niechętnych ofiar korzystać. A potem — wśród długiej, przymusowej bezczynności rekonwalescenta, zaczęły mnie napadać różne wspomnienia, ogarnęła tęsknota za dawno niewidzianymi miejscami i twarzami, skwapliwie też chwyciłem się listu ożenionego już Lucysia, który w imieniu całej rodziny serdecznie nas na wieś zapraszał.

Tak się zawsze składało, że tam ani razu po moim ślubie być nie mógł, nawet na weselu ubóstwanego jedynaka ciotki, lecz stosunki listowne trwały zawsze i młode małżeństwo zaglądało też czasami do Warszawy.

Żona moja niechętnie zgodziła się na ten projekt. Lękała się wiejskich nudów, ale nie śmiała wystąpić tym razem z otwartą opozycją, pojechaliśmy więc.

Boże! Jak smutną była ta podróż! Wanda (czym nie wspomniał jeszcze imienia mojej żony?) siedziała w wagonie naprzeciwko mnie posepna, hamująca widocznie głuchą niecierpliwość, odzywająca się tylko suchymi półsłówkami. Zdawało mi się, że patrząc na mnie przemyśliwała, jakby to dobrze było wyrzucić mnie przez okno pędzącego pociągu i pozbyć się raz na zawsze kłopotu. Stałem się w jej oczach niedołącznym kaleką, który jako obcy byłby może zasłużył na jej pogardliwą litość, jako mąż budził tylko wstręt i gniew. Cierpiałem nad tym okropnie. A dopieroż tych kilka mil, które od stacji trzeba było jechać końmi! Serce mi się rwało, gdym poznawał te miejsca, które przed jedenastu laty żegnałem w pełni młodości i zdrowia, a do których wracałem teraz znękany jak starzec, nie zdolny zawołać do nich głośno: witajcie!

Ciotka, Lucyś, jego żona, proboszcz, wyszli na nasze spotkanie, serdeczni, pomieszani, a ich pocziwe, niezgrabne silenie się na wesołość i swobodę przygnębiło mnie do reszty.

Wanda dostała spazmów. Musiano ją zaprowadzić do pokoju, trzeźwić, rozpinać, co naturalnie odwróciło uwagę ode mnie i mojej niemoty. Proboszcz tylko pozostał przy mnie, podczas gdy obie kobiety uwalniały moją dozgonną towarzyszkę z eleganckiego podróżnego płaszczka, a Lucyś stał nad nią z ogromną flachą wody kolońskiej.

— Phu — a! — rzekł proboszcz, patrząc z kolei na mnie i na moją żonę.

Po czym, jakby w tym wykrzykniku streścił już całą ocenę sytuacji, zwrócił się do mnie i przemówił dawnym, jowialnym tonem, za który byłem mu wdzięczny.

— Uszy do góry, panie Bolesławie! Nie troskać się! Co to jest głos? Jeden więcej sposób obrażania Pana Boga, więc jako każda grzeszna rzecz niełatwo się odzepia od człowieka. Wróci się! Wróci się! Rychło patrzeć. A tymczasem mała strata dla duszy.

Uśmiechnąłem się z goryczą i zrobiłem ruch, który proboszcz zrozumiał, bo podchwycił:

— No, że kieszeni niekoniecznie taka rekreacja służy, to ani słowa. Ale powiem panu Bolesławowi: frasunek to kiepska przynęta, żadna płotka się na nią nie złapie, a cóż dopiero przyzwoita ryba pomyślności. Ostro się trzymać, dużo jeść, żeby ten hultaj język nie próżnował, a wszystko będzie dobrze.

Słuchałem go, oglądając się ciągle na drzwi, a gdy skończył skinąłem, żeby się nachylił.

— Gdzie Gabrunia? — spytałem bezdźwięcznym szeptem, jaki mi pozostał, gdy mi ksiądz pod sam nos swe potężne ucho wsunął.

Proboszcz machnął ręką, dając do zrozumienia, że jest to przedmiot rozmowy niepocieszający.

— Słabe ślimacztko, słabe, nie wylazi ze swojej skorupki. Ot! Z nią gorsza bieda! Skaputowała nasza Morska Pianka! Zmarnowało się nasze Panieństwo! Wielka Melancholia, kochany panie Bolesławie, Wielkie Utrapienie! A na to już rady nie ma. Młodość jak śmierć. Raz się tylko człowiekowi przytrafia.

— Och! Ta Ela! — odezwała się z westchnieniem ciotka, która zbliżyła się teraz do mnie, podczas gdy jej synowa odprowadzała Wandę do przeznaczonych dla nas pokoiów. — Ta Ela! Powiedziałam, że tak będzie. Za mąż nie poszła, zniemrawiała do reszty. Ani pójdź, ani weź! Ja zawsze mówiłam, że u niej w głowie czegoś za mało, czy za dużo, a już co teraz, to wyraźnie miewa zajączki. Niech ksiądz proboszcz powie, co ona wyrabiała, gdyśmy się dowiedzieli o chorobie Bolesia? Nie jadła i nie spała przez dziesięć dni, tylko siedziała jak ten słup. Czy to było naturalne? Przecież mu ani żona, ani siostra. Całe szczęście, że Lucyś trafił na taką poczciwość kobietę, bo inna by mu ciągle wymawiała, że taką zawalidrogę¹⁵⁵ w domu trzyma.

Wzdrygnąłem się mimo woli.

— Co ci to Bolesiu? zabolalo cię co? — pytała ciotka troskliwie, a na mój przeczący znak, dorzuciła, podejmując przerwany temat:

— Narwana dziewczyna! I do niczego! Zupełnie do niczego!

— Przesadza się, przesadza się! — wystąpił proboszcz z obroną swojej ulubienicy. — A w karty to z nami nie grywa? A Lucysiowa konsolacja¹⁵⁶ mało to się z nią nadrażni?

— Jeszcze by też! — odparła ciotka, ruszając ramionami.

VI

Kilka dni przebyliśmy już na wsi, a Ela nie pokazała się jeszcze ani razu. Podobno nawet wcale chorą nie była, chowała się ot tak! Przez dziwactwo, jak mówiono. Nie widywałem jej tedy¹⁵⁷, lecz słyszałem o niej bardzo często. Stara panna, uboga kuzynka-rezydentka, bywa dobrym środkiem rozpędzania nudów rodzinnych posiedzeń. Ciotka opowiadała o niej różne, jak mówiła, kawałki, twierdząc stanowczo, że ta biedna Ela cierpi lekkiego bzika, Lucyś starał się być dowcipnym, naśladowując jej sposób chodzenia, picia herbaty, grania w karty; wszyscy wtedy, nie wyłączając dzieci, śmiali się chórem i byli bardzo zadowoleni. A przecież było to dobre, życzliwe dla niej serca, które by jej nigdy skrzywdzić nie dały, ale taka to już dola pewnych istot. Proboszcz nawet, który ją w swój lapidarny, dosadny sposób bronił, lekceważył sobie także trochę tę biedną, zwichniętą egzystencję, niezdolny widocznie zejść do głębi jej cichej tragiczności. Ja słuchałem tego wszystkie go z niedającą się opisać przykrością. Choroba uczyniła mnie wrażliwszym na wiele rzeczy. Szczególnie drażniło mnie, gdy moja żona, znająca Elę tylko z opowiadań, dorzucała swoje uwagi lub wybuchała tym bezdusznym, przeciągłym śmiechem, którego teraz znosić nie mogłem. Zresztą były to jej jedyne chwile wesołości. Zazwyczaj chodziła zasepiona, rozwzdychana i tak sobie żadnej subiekcji z okazywaniem mi swego zobojetnienia nie robiąca, że mnie to aż wobec mojej rodziny upokarzało.

Pierwszej niedzieli po naszym przyjeździe, wszyscy wybrali się na sumę do kościoła. Moja żona odnalazła trochę dobrego humoru, strojąc się w najmodniejszy kostium, którym miała sterroryzować całą parafię.

Ja zostałem w domu. Byłem jeszcze bardzo osłabiony, a czarne myśli, jakim się ciągle oddawałem, nie mogły mi sił pokrzepić.

Dzień był ciepły, ale bezsłoneczny i denerwujący swoją wilgotną, ciężką atmosferą.

Kilkakrotnie już w ciągu ubiegłych dni, gdy mnie nikt nie widział, zapędzałem się pod drzwi Eli, chcąc zastukać, aby mnie wpuściła, ale zawsze coś mnie w ostatniej chwili odepchnęło. Lękałem się po prostu ujrzeć na własne oczy ruinę tej piękności, której każdy szczegół stał mi tak żywo w pamięci. Jakiś wyrzut niejasny, dręczący, podnosił się teraz z głębi moich wspomnień i bezwiednie cofałem się przed tym widokiem, aby nie zawołał do mnie: To twoja wina!

Dziś jednak postanowiłem przewyciężyć się i pójść do niej.

Drzwi zastałem na wpół odemknięte, co mnie zdziwiło. Może jej powiedziano, że nikogo w domu nie ma i czuła się zabezpieczoną od najścia.

Z wewnątrz rozległ się piskliwy, dziecinny głosik, powtarzający jednostajnie strofkę jakiejś piosenki.

Zatrzymałem się nadsluchując, po czym z największą ostrożnością popchnąłem drzwi w stanąłem w progu.

¹⁵⁵zawalidroga — ktoś przeszkadzający innym. [przypis edytorski]

¹⁵⁶konsolacja — pociechy w zn. dzieci, potomstwo. [przypis edytorski]

¹⁵⁷tedy — daw. zatem, więc. [przypis edytorski]

Na otwartym oknie, tak samo prawie, jak owego nigdy niezapomnianego wieczora, kiedym tu przyszedł adwokatować za Kazimierzem, siedziała Ela. Nie trzymała się tylko akacji; obie jej ręce spoczywały na czarnej, ważkiej¹⁵⁸ bez żadnej ozdoby sukni. Włosy zawsze piękne, ale podwinięte, grubym węzłem leżały na szyi. Kwiatów w nich nie było.

Nie spostrzegła mnie. Patrzyła w ogród i mogłem przyjrzeć jej się dokładnie. Byłem przygotowany na to, że zobaczę większą zmianę w tych rysach, które pozostały zawsze piękne i młode, tylko ta ich młodość przy cerze martwej i bladych ustach, wyglądała tak jakos zastygło i wątko, jak gdyby robota czasu zatrzymała się tu pozornie, aby tym pewniej wewnątrz dzieło zniszczenia prowadzić. Patrząc na nią, myślało się o tych zachowanych sztucznie ciałach, co się rozsypują w proch za lada dotknięciem.

O parę kroków przed nią, na rozstawionych buńczucznie nóżkach stał sześcioletni synek państwa Lucjanów i z tą charakterystyczną w dzieciach, niezmordowaną uporczywością powtarzał swoją piosenkę:

Dzisiaj niedziela, dzisiaj niedziela,
Drobny deszcz pada,
A ciocia Ela, a ciocia Ela
Do mnie nie gada!

Piękna ta melodia musiała już dobrze mojej kuzynce dokuczyć, bo nie podnosząc oczu, odezwała się swoim cierpliwym, udręczonym głosem:

— Przestań, Bolesiu! Mnie głowa tak boli! Widzisz, tyle razy cię proszę!

Stałem nieruchomy. Ten głos! Cofnął mnie w mgnieniu oka o całą przeszłość lat jedenastu...

Ale chłopak umilkłszy na chwilę, rozstawił jeszcze szerzej nogi i zaczął znowu:

Dzisiaj niedziela, dzisiaj niedziela,
Drobny deszcz pada,
A ciocia —

Ela podniosła z wolna rękę do głowy, ale mnie ogarnęła taka niepoohamowana złość na tego malca, który jej się sprzeciwiał, a którego ona z taką słodyczą moim imieniem nazywała, że w jednej chwili znalazłem się przy nim, schwyciłem go za kark i wyrzuciłem z pokoju, zanim oszołomiony zdołał pisnąć...

Ela krzyknęła. Zeskoczyła z okna i oparta o futrynę, przyciskając obie ręce do swej płaskiej piersi, w opadającej na niej habitowo sukni, blada, nieruchoma, stała podobna do owych posągów mniszek we framugach starych klasztorów.

Patrzyliśmy na siebie długo.

Z wolna ująłem jej rękę, zimną i sztywną, istną rękę statui i przyłożyłem ją do moich ust niemych, które w tej chwili nawet szeptu wydać nie mogły.

Zaczęła drżeć silnie pod tym dotknięciem, wielkie lzy napęłniły jej szafirowe oczy i spadły cicho na czarny materiał stanika.

Wtedy odwróciłem się i wyszedłem prędko, unosząc palący ból tych łez na własnych piersiach.

Ku wielkiemu zdziwieniu całej rodziny, Ela ukazała się tego dnia przy obiedzie. Była bardzo spokojną. Uważałem tylko, że zarumieniła się, gdy ją zapoznawano z moją żoną, po czym usiadła między dziećmi, które jej się ciągle naprzykrzały. Proboszcz zamówił sobie zaraz partię pikiety po obiedzie, ciotka preferansa¹⁵⁹ na wieczór.

Kazimierz, spowinowacony teraz przez małżeństwo Lucysia z naszą rodziną, przyjechał także. Wyglądał doskonale, świeżo, młodzieńczo i miał zawsze ten wyraz pogodnej dobroci na twarzy, jak gdyby przez trzydzieści kilka lat na ten zły świat nie patrzył. Przy stole ciotka przesładowała go jakąś panną Jadwigą, Lucyś namawiał gorąco, żeby raz z nią skończył, siostra dorzucała także swoją zachęte. Nikt się nie krępował obecnością Eli, jak gdyby to nie była kobieta, o którą on się tak uporczywie niegdyś dobijał. Uważano ją widocznie za stojącą już poza obrębem podobnych spraw.

¹⁵⁸ważki — mający duży ciężar fizyczny. [przypis edytorski]

¹⁵⁹preferans — dawna gra w 32 karty, przypominająca brydża. [przypis edytorski]

On sam zdawał się być zupełnie wyleczonym. Traktował moją kuzynkę z wielkim uszanowaniem, ale oko jego ślizgało się obojętnie po jej zastygłych wdziękach, głos dźwięczał nutą przyjaznej serdeczności, z której miłosne tony uleciały bez echa. Obserwowałem ich ze smutną ciekawością. Jak wszystko mija!

Po obiedzie, moja żona, rada każdej nowej twarzy, każdej nowej rozrywce, chciała zaciągnąć Elę na przechadzkę, ale proboszcz obstawał za swoją pikietą¹⁶⁰.

— Kolejką, kolejką — mówił śmiejąc się. — Najprzód¹⁶¹ będzie się grało z sutanną, potem się będzie spacerowało z falbankami... Czasu nie zabraknie naszemu Angielskiemu Pastylkowi. Ma go się pod dostatkiem!

— Spodziewam się! — dodała ciotka, ruszane jak zwykle ramionami. — Czego jak tego!

I Ela automatycznie poszła stolik do kart rozkładać.

Ja z Kazimierzem zasiedliśmy do szachów.

Po skończonej partii wyszliśmy do ogrodu i chodzili długo po brzozonej alei. Kazimierz opowiadał mi o swojej miłości i o Eli, jak się wspomina umarłych, których stratę już się przeboleło. Ela pozostała zawsze dla niego jakąś istotą niezmierną, godną najwyższego uwielbienia, ale znajdował zarazem, że taki zwyczajny człowiek jak on, nie byłby potrafił jej uszczęśliwić. Nie użalał się też nad nią, w myśl doskonałego twierdzenia, że chcącemu nie dzieje się krzywda. Przyznał mi się, że zamierza się żenić, gdyż marnowanie życia dla jednego zawiedzionego uczucia jest niegodną męczyzny słabością. Potakiwałem mu głową, porównując tę rozmowę z tą, którą my przed laty prowadziliśmy. Jak wszystko się zmienia!

Wreszcie pożegnał mnie, śpiesząc zapewne do owej panny Jadwigi, a ja zostałem sam na ławce, okalającej drewnianym pierścieniem wielką kępę buldenezów. Wpadłem w zadumę, z której zbudziły mnie dopiero zbliżające się kobiece głosy. Poznałem moją żonę i Elę.

Słońce już zaszło i lekki mrok, jak cieniuchny popiół sypał się na ogród. Zakryty krzakami, plecami do nadchodzących obrócony, nie mogłem ani ich widzieć, ani sam być widzianym, ale słuch mój, wydelikatniały chorobą, z daleka już odróżnił słowa rozmowy, którą Wanda zdawała się głównie podtrzymywać.

— ...zawsze po stronie pani — mówiła w dalszym ciągu jakiegoś dowodzenia. — Wczoraj jeszcze sprzeczałam się o to z ciotką. Nie mogłaś pani nic mądrzejszego zrobić.

— Tak pani sądzisz? — odpowiedział spokojny głos Eli.

— To nie ulega najmniejszej wątpliwości. Zamążdżóście jest zawsze rozczarowaniem dla kobiety, jeżeli nie czymś gorszym.

Uśmiechnąłem się. Moja żona, zapuszczająca się w psychologiczne gmatwaniny, była dla mnie czymś nowym i zabawnym.

Tymczasem obie kobiety doszły do ławki, na której siedziałem i zatrzymały się po drugiej stronie klombu buldenezów, tworzących nieprzeniknioną ścianę pomiędzy nami.

— Siądźmy tu — rzekła moja żona.

Nie poruszyłem się. Nie czułem się winnym niedyskrecji, wysłuchując ich rozmowę, w której nie mogło być przecież żadnych tajemnic, a zetknięcie się tych dwóch kobiet, tak kontrastujących ze sobą duchowo, jak eteryczna, zmartwiła uroda Eli różniła się od bujnej, zmysłowej piękności mojej żony, zajęła mnie żywo.

— Nie rozumiem — ciągnęła dalej Wanda — dlaczego wszyscy litują się nad paniami, które za mąż nie wychodzą. Ja bo im zawsze zazdroścę.

— Czego? — zapytała Ela zdziwionym głosem.

— Tego, że mogą myśleć o sobie i tylko o sobie — odparła stanowczo moja żona.

— Pani w tym widzisz szczęście?

— Jedyne! — wymówiła Wanda z przyciskiem. — Najprzód¹⁶², życie samo przez się nie jest wcale rozkoszą, a dzieląc je z kimś drugim, przyjmujemy na siebie połowę kłopotów i dolegliwości, jakimi los zechce go obdarzyć. Teraz pytam na co? Czy nie dosyć swoich własnych?

¹⁶⁰pikieta — dawna gra w karty. [przypis edytorski]

¹⁶¹najprzód — daw. najpierw. [przypis edytorski]

¹⁶²najprzód — daw. najpierw. [przypis edytorski]

— Mnie się zdaje — rzekła Ela nieśmiało — Ze ten ktoś bierze także naszą połowę...
Więc szala się wyrównywa, a pozostaje...

Moja żona przerwała jej szyderskim, przeciągłym śmiechem.

— Jak to znać, żeś pani nigdy męża nie miała! Mężczyźni, kochana panno Gabrielo, są to kończeni egoiści jeden w drugiego, czemu ja się wcale nie dziwię, bo gdybym zamiast Wandą, urodziła się... dajmy na to, Bolesławem, korzystałabym tak samo z mego szczęśliwszego położenia.

Przygryzłem z lekka ust, mówiąc sobie, że moja żona nie potrzebowała przemieniać się w mężczyznę, aby osiąść tajemnice skończonego egoizmu, ona zaś ciągnęła dalej:

— Żona czy chce czy nie chce musi mieć we wszystkim męża na względzie, bo tu o nią zarazem chodzi. Zaniedba mu dom? No, to będzie sama mieszkała w nieładzie. Da mu zły obiad? Sama wstanie głodna od stołu. Zdradzi go? W rezultacie gorzej sama na tym wyjdzie niż on. Co do mnie, nigdy nie mogłam zrozumieć tych kobiet, które dlatego, że im ktoś czule w oczy popatrzy, narażają się na tysiączne nieprzyjemności, na ciągłą obawę skandalu i często na sam skandal w ostatku. Romans dla mężatki, to największy w świecie ambaras. Jeżeli więc dba o własne bezpieczeństwo i spokój, powinna być wierną mężowi. Takie jest moje przekonanie. Jednym słowem, mąż ciągnie zyski ze wszystkich przymiotów żony, ze wszystkiego co jej samej do umilenia i uwygodnienia życia służy. Nawet jej toalety robią mu reklamę. I jakby tego nie dość było, wolno mu używać na własną rękę ile się da. Może poza domem robić co mu się podoba, stworzyć sobie inną rodzinę, zaniedbywać żonę, zapomnieć nawet jak dzieciom na imię, bawić się, rzucać pieniędzmi, a do domu przynieść zły humor i pustą portmonetkę. Wszystko to jego przywileje!

Żona, Małżeństwo,
Próżność

Moja żona mówiła zupełnie tak, jak gdyby w pożyciu ze mną była niegodnie wyzyskiwaną ofiarą, którą, w zamian za jej poświęcenie, spotykają same przeniewierstwa i brutalności.

Nie mogłem widzieć twarzy Eli, ale wyobrażałem sobie, że musi otwierać szeroko swoje zgodne, błękitne oczy.

— A miłość? — odezwała się po chwili. — Może tak być, jak pani mówisz, ale chyba wtedy, jeżeli kobieta wychodzi za mąż bez miłości.

— Miłość! — powtórzyła wzgardliwie Wanda — miłość jest jeszcze większym głupstwem niż małżeństwo.

— Och! — zawołała moja kuzynka głosem czciciela, którego bóstwo znieważono.

— Masz pani przykład na mnie — ciągnęła moja żona — wyszłam za mąż niby z miłości, a czy może być nieszczęśliwsza nade mnie istota?

— Och! — powtórzyła znowu Ela.

— Nie wierzysz pani? Chciałabym, żebyś się znalazła na moim miejscu, a wtedy byśmy pogadały...

Tamta nic nie odpowiedziała i przez chwilę słychać było tylko chrzęst jedwabnych draperii, gniotących się pod niecierpliwą ręką mojej żony. Mnie coś wstrzymywało oddech. Cóż ja jeszcze usłyszę, co usłyszę?

— Doprawdy — odezwała się po jakimś czasie Wanda — wołałabym, żeby mnie samą jaka choroba dotknęła. Wiedziałabym przynajmniej czemu cierpię. Ale tak? Jestem zdrowa, młoda, mam wszystko, żeby mi dobrze było na świecie, a od kilku miesięcy prowadzę i Bóg wie jak długo jeszcze prowadzić będę, życie szpitalne, wśród samych aptek, lekarzy, lekarstw, aż mi się to śni czasem. Czy pani myślisz, że nie zakarakano by mnie, gdybym na przykład teraz chciała bywać trochę między ludźmi, rozerwać się po takich przejściach! A pytam, co ja Bolesławowi pomogę, jeżeli przy nim kamieniem siedzieć będę? Głosu mu nie powrócę, a siebie... zamęcę.

Zagryzłem usta do krwi tym razem.

— Ale go pani możesz pielęgnować! — zawołała Ela — możesz mu swoją obecnością, swym przywiązaniem osłodzić cierpienia. Nie jestże to wielką pociechą? Pomyśl pani! On taki biedny teraz... Pani mu jesteś najbliższą... Ja bym się czuła dumną i szczęśliwą, gdybym wiedziała, że komuś naprawdę potrzebną jestem... Co warte życie, jeżeli go nie ma komu poświęcić?...

Urwała i cichszym głosem dorzuciła:

— To ja pani zazdrościć powinnam...

— Czego? — podchwyciła Wanda sucho — Męża kaleki?...

Wzdrygnąłem się, a po drugiej stronie ławki Ela poruszyła się gwałtownie, aż liście buldenezów¹⁶³ zachwiały się nad naszymi głowami, jak gdyby dziwiąc się płataninie losów ludzkich.

— Nie nazywaj go tak pani! — wykrzyknęła. — On nie jest kaleką!... On wyzdrowieje!...

— Z pewnością nikt sobie bardziej tego nie życzy ode mnie — odparła moja żona. — Ale jak dotychczas, polepszenia żadnego nie ma. Paraliż jest jedną z najbardziej upartych chorób. To się może przeciągnąć lata całe.

— Ależ nadzieja wyzdrowienia nie stracona — zawołała Ela. — Proboszcz mi dzisiaj mówił przy kartach, że głos bardzo często wraca sam przez się, niespodziewanie, a proboszcz nigdy nic bez słuszności nie powie.

— Zapewne — rzekła moja żona z namysłem. — I ja bym najwięcej w takie nagłe wyleczenie wierzyła. To pewna, że mnóstwo już było takich wypadków, że paraliż ustępował pod wpływem jakiegoś gwałtownego wstrząśnienia, przestraszenia, niebezpieczeństwa. Bezwładni jak kłody chorzy, uciekają czasem o własnych siłach z palących się domów. Mnie nawet jeden z lekarzy o tym mówił. Ale na to liczyć nie można.

— Dlaczego? — zapytała żywo Ela.

— Dlatego, że nadzwyczajności nadzwyczaj rzadko się zdarzają. Ja się przecież z pierwszego piętra w jego oczach nie rzucę dla eksperymentu.

Zaśmiała się, a mnie dreszcz przejął od tego śmiechu.

— Ale pani powiadasz, że to by mu mogło głos powrócić? — zapytała znów moja kuzynka zmienionym głosem.

— Co takiego?... Żebym skoczyła z pierwszego piętra? Bardzo pani jesteś miła. Dobrze, że tu dom parterowy, bo widzę po twoich oczach, że gotowa byś mnie na próbę wyrzucić przez okno.

— Ach! — zawołała Ela boleśnie — Nie żartuj pani. To takie smutne. Nie, ja pytam, czy... czy... coś takiego niezwykłego, co by się w jego oczach stało, mogłoby mu pomóc?

— Jestem głęboko przekonana — odrzekła moja żona. — Babka męża mojej siostry miała bratową, która także zaniemówiła i odzyskała głos na ulicy wołając na swoje dziecko, które wpadło pod konie. Ale, jak powiadam, nie ma o tym co myśleć i trzeba mi się z dołą pogodzić.

— Może już pójdziemy — dodała po chwili. — Chłodno jest. Tego by tylko brakowało, żebym i ja głos straciła. To byśmy się dopiero bawili w mruca!'

Wstały i oddaliły się w milczeniu.

Wychyliłem się z poza krzewów i patrzyłem, jak postępowały obok siebie, jedna pływająca w strojnych, jasnych garnirunkach, druga jakby zaszyta w wąską, czarną sukienkę. Ela wygadała jak błądy, nikły cień przy mojej żonie, ale mnie przyszły na myśl te księżycowe cienie, które rosną i pną się na każdą spotkaną po drodze wyżynę, podczas gdy ci co je rzucają, idą zawsze dołem i tym mniejsi są od nich im dalsi.

Kiedy już znikły między drzewami, ukryłem twarz w dłoniach. Oto, co mogłem być wziąć od życia, a co wziąłem! Zaiste, los miewa dziwnie okrutny sposób otwierania nam oczu po czasie!

VII

W ciągu następnych paru dni obserwowałem pilnie Elę i zapytywałem siebie nieraz z przestraszeniem, czy ciotka nie jest bliską prawdy w swoich przypuszczeniach co do jej umysłowego stanu, bo było w niej istotnie coś anormalnego. Wytrawnemu psychologowi dość było spojrzeć na nią, aby odgadnąć, iż ta egzaltowana, na wskroś duchowa natura, znajduje się pod wpływem jakiejś wyłącznej, nurtującej myśli, która zjada jej mózg, tak samo jak termita przegryza słoje drzewne.

Przesiadywałem teraz często w jej pokoju i nawet rozmawialiśmy trochę. Ona jedna najlepiej chwytowała wyrazy, ślizgające się bez dźwięku po moich ustach, odgadując, dopowiadając moje myśli. To też rozmowa z nią nie męczyła mnie wcale, a dobrze mi było w jej pokoiku, jak nigdzie.

¹⁶³*buldenez* — krzew parkowy o kulistych kwiatostanach. [przypis edytorski]

Siadywałem na fotelu, który tu umyślnie dla mnie wtoczono pod okno i lubiłem patrzeć na te znajome sprzęty i drobiazgi, zdające się posiadać tajemnicę wiecznej świeżości. Nic się tu nie zmieniło; bluszcze tylko rozrosły się ogromnie i tworzyły nad łóżkiem już nie koronkową altankę, lecz zbite sklepienie zieleni. Niezapominajki kwitły po dawnemu na okrągłej, białej salaterce i przyciskał je ten sam różowy kamyk, który ani zbladł z czasem, ani ściemniał, jak na obojętny kamień przystało.

Było to w piątek, niespełna w tydzień po rozmowie z moją żoną pod buldenezami. Ela od rana zdradzała jakiś szczególnie niepokój. Była długo w kościele i powróciła stamtąd z zaczerwienionymi oczyma. Potem zaszedłem ją niespodzianie w pokoju Lucysia, tak zwanej kancelarii, przewracając między gospodarskimi papierami i narzędziami.

Zdziwiło mnie to trochę, tym więcej, iż ujrawszy mnie, zmieszła się ogromnie, niby na gorącym uczynku schwytana i gdyby mi się to nieprawdopodobnym nie wydało, byłbym sądził, że coś szybko do kieszeni wsunęła. I znowu znikła na parę godzin. Lucyś widział ją wracającą z lasu przez łąkę i tak zadumaną, że się otarła o niego, nie spostrzegłszy go nawet.

Czatowałem na nią w ganku i zastąpiłem jej drogę. Byłem tego dnia w wyjątkowo dobrym, jak na mnie, usposobieniu.

— O czym się tak zamyślałaś? — szepnąłem prawie wesoło.

Drgnęła gwałtownie.

— O tobie — odpowiedziała. — Proszę cię... Pójdź ze mną.

Nie dałem sobie powtarzać tego wezwania, które mnie po raz pierwszy spotykało. Poszliśmy do jej pokoju.

Ela zdjęła kapelusz, otrzepała go bardzo starannie i powiesiła na kołku, po czym siadła naprzeciwko mnie pod oknem i oparłszy czoło na rękę, patrzyła w ziemię. Oddychała bardzo silnie i prędko; miała wypieki. Powiedziałem jej, że nie powinna chodzić na spacer w sam upał, pokiwała głową i znowu milczeliśmy oboje.

— Czy jeszcze myślisz o mnie? — zagadnąłem wreszcie, pochylając się ku niej.

— Tak.

— Niewesoły temat, moja Gabruniu, ale upoważniający do wzajemności. I ja także myślałem o tobie.

— Cóżże myślał?

— Myślałem, czy ci odrosły takie same długie włosy i dlaczego ich teraz po dawnemu nie nosisz?

Zarumieniła się i spojrzała na mnie z wyrzutem.

— Czy sztychasz ze mnie, Bolesiu? Jakże ja bym wyglądała teraz z rozpuszczonymi włosami? Jestem stara.

— Nie jesteś stara — zaprzeczyłem o tyle stanowczo, o ile szept stanowczym być może.

— Jestem stara już od lat dziesięciu — odparła. — Razem z włosami obcięłam młodość moją.

— Czy wiesz, Gabruniu, że... że ja nie mam alabastrowego wazonu od ciebie? — odezwałem się z wahaniem, czyniąc aluzję do zachowanego warkocza.

— Wiem — rzekła krótko.

— Raz tylko — mówiłem dalej powoli — raz tylko widziałem cię dawniej z zawiniętymi włosami. Pamiętasz? Tam na strychu?

Zerwała się i odskoczyła na środek pokoju. Zdawało się, że moje pytanie było tą iskrą, która powoduje wybuch dawno przygotowanej miny.

— O! Nie wspominaj mi tego, nie wspominaj! — zawołała. — To była moja jedyna chwila szczęścia i złudy... Ale, gdyśmy już weszli na wspomnienia, to ja się ciebie także zapytam, czy pamiętasz, com¹⁶⁴ ci tu na tym oknie mówiła, kiedyś mnie do zamążpójścia namawiała? Mówiłam długo, a mogłam być zamknąć wszystko w dwóch słowach. Kochałam cię! Kocham do dnia dzisiejszego! Nie przerywaj — mówiła dalej namiętnie, wyciągając jedną rękę i cofając się dalej pod same drzwi. — Czemu ci nie mam powiedzieć tego teraz, kiedy już dla mnie wszystko skończone? Nie wiem, co wy ludzie dzisiejsi, ludzie z miasta, nazywacie miłością, ale to wiem, że o prawdziwym kochaniu mówiły mi

¹⁶⁴com — dziś: co mówiłam. [przypis edytorski]

tylko stare książki i moje młode serce. I ja ciebie w taki sposób pokochałam. Na zawsze i wszystkim, co we mnie było. Może kobiety teraz tak nie kochają, może to i dobrze, bo byłoby za dużo zmarnowanych istot na świecie, ale na mnie już los taki padł i musiałam zostać sobą na własną zgubę.

Patrzyłem na nią przerażony. *Po co* mówiła mi to wszystko? Wzrok jej pałający przykuwał mnie do fotelu jak ogniste śruby. Nie byłem w stanie się poruszyć.

Ona, oddalona ode mnie na całą szerokość pokoju, z lewą ręką wyciągniętą wciąż przed siebie, jakby broniąc mi przystępu, z prawą ukrytą w fałdach sukni, zdawała się odurzać własnymi słowami. Cała jej postawa tchnęła szaloną determinacją natury cichej, cierpliwej, a nagle zbuntowanej, która zrzuca z siebie długo dźwigane jarzmo, odsłaniając zarazem cały ból, krwawiących się pod srogą obroży ran.

— Ty jeden — mówiła dalej — mogłeś mnie zrobić szczęśliwą, użyteczną! Nie zrozumiałeś mnie. Nie chciałeś mnie zrozumieć... Odszedłeś i oto czym dzisiaj jestem. W oczach wszystkich czytam tylko pogardę nad moim niedołęstwem, lub litość nad moim zmarnowaniem. I sama sobą pogardzam najbardziej, mnie samej żal największy tego wszystkiego, co się we mnie zmarnowało. Oswoiłam się przecież z moją dolą, zdrętwiałam, ale twój przyjazd zburzył całą pracę lat dziesięciu. Myślałam, że ty przynajmniej jesteś szczęśliwy... Dziś i tego złudzenia, tej jedynej pociechy mieć nie mogę. Dziś, gdy widzę taką pustkę dokoła ciebie, którą mogłabym zapełnić, a której mi zapełnić nie wolno, serce mi pęka. Dopóki tu jesteś, to jeszcze nic, ale gdy odjedziesz, a ja tu zostanę... z myślą, żeś chory, zniechęcony i... i... tak jakby sam... to... to... wiem co będzie. Zwaruję.

Umilkła na chwilę i znów wybuchnęła gorączkowo:

— Ale ja zwariować nie chcę. Wszystko byle nie to. I dlatego... Bolesiu!...

Głos jej załamał się, błyskawicznym ruchem wydobyla rękę z kieszeni, stał rewolweru mignęła przed mymi osłupiałymi oczyma, rozległ się wystrzał nim zdążyłem podbiec i broń szalonej dziewczynie wytrącić, i Ela runęła u stóp moich trafiona w piersi.

Wtedy i mnie coś jakby w głowie pękło i w gardle się rozerwało i wydałem nie okrzyk ludzki, ale ryk straszliwy, zwierzęcy, który dotąd słyszę, jak dotąd widzę tę postać, leżącą na ziemi i krwią zbryzganą.

Ale wszystkiego, co się potem stało, nie pomnę.

Wiem tylko, że pokój nappełnił się mgłą czerwoną, że macając w tej mgle, trafiłem na ciało Eli i dźwignąłem je, że się zbiegli, że mi je odebrali i, że raptem wszystko zniknęło mi z przed oczu.

Kiedym odzyskał przytomność, leżałem w ubraniu na łóżku w swoim pokoju, a przy mnie siedziała Wanda, blada z zaciśniętymi ustami.

Chwyciłem jej rękę i przyciągnąłem ją ku sobie, a ona wpatrywała się we mnie z takim natężeniem, jak gdyby szale jej przeznaczeń ważyły się na moich ustach.

— Żyje? — wyszeptalem głosem bez dźwięku.

Wanda cofnęła się. Można było pomyśleć, że ją ukąsiła żmija.

— A! — rzekła tylko, jak ktoś, co się na niechybnej rachubie zawiódł.

Wstrząsnąłem nią.

— Żyje? — powtórzyłem.

Skinęła głową.

— Doktor jest — rzekła po chwili.

— I cóż?

— Nie wiadomo jeszcze.

Wskazałem ręką drzwi.

— Idź — rzekłem rozkazująco. — Idź i wracaj natychmiast!

Wyszła obrzuciwszy mnie wzrokiem niepojętej wściekłości i nienawiści.

Opadłem na poduszki. W głowie mi się kręciło.

Jak długo czekałem, nie wiem. Może parę minut, może parę godzin. Parę godzin chyba. Nareszcie weszła ciotka. Była zapłakana, a spojrzawszy na mnie, zaniósła się głośnym łkaniem.

— O Boże! — wołała — Takie nieszczęście! A ten mój biedny Lucyś! On się zagryzie! Och! Och! Głowę o mur bije, że rewolwer na biurku zostawił. Ale kto się mógł spodziewać! O Boże! O Boże!

I rzuciła się na krzesło, oddając się krzykliwej, kobiecej rozpacz.

Miłość tragiczna, Rozpacz,
Pożądanie

Śmierć, Samobójstwo,
Ofiara

— Ciotko — wykrztusiłem — przez litość! Co z nią?
— Przyszłam po ciebie — odpowiedziała, płacząc ciągle. — Doktor już odjechał... ksiądz proboszcz jest przy niej...

Zrozumiałem, podniosłem się i poszedłem do pokoju umierającej. Sił mi nagle przybyło.

Ela leżała pod swymi bluszczami na posłaniu rozpuszczonych włosów. Proboszcz z twarzą zmienioną do niepoznania stał w nogach łóżka i czytał modlitwy za konających. Zapalona gromnica trzęsła się w jego dłoni, jak gdyby serce kapłana szlochało w tym żółtym, migotliwym płomieniu, podczas gdy głos jego wznosił się przejmujący i uroczysty ponad ludzkie uczucia, żebrząc dla tej biednej duszy wyższego nad ludzką moc zmiłowania.

Ukląknęłam przy łóżku i wziąłem marmurową rękę Eli, spoczywającą na kółdrze. Objęła z lekka stygnącymi paluszkami dłoń moją, jak wtedy... jak wtedy!...

Błękitne jej oczy wpatrzyły się we mnie z zacerpniętą już nie z tego świata słodyczą i miłością.

Wielka cisza była w pokoju, a w tę ciszę padały namaszczone, jakby same przez się święte słowa proboszcza:

„Polecam cię, duszo świat ten żegnająca, Panu Bogu Wszechmogącemu, w ręce Stwórcy Twojemu”.

— Mów do mnie, Bolesiu — wyszeptala Ela. — Powiedz mi raz jeszcze głośno: Gabruniu!

Machinalnie powtórzyłem za nią:

— Gabruniu.

Ogromny niepokój odmalował się w jej gasnącym spojrzeniu.

— Głośniej! — wyrwało się z jej piersi. — Głośniej — na Boga!

— Nie mogę! — jęknąłem głucho — Ty wiesz... nie mogę!

Spazmatyczny ból wykrzywił jej piękne rysy. Uniosła się ostatnim wysiłkiem na poduszkach, błędnymi oczyma tocząc dokoła. Światło gromnicy odbiło się w kropelkach potu na jej skroni, kładąc ognistą pieczęć na tym zwichniętym, wątłym umyśle, aby się dłużej nie szamotał i nie męczył.

— Nie może! — zawołała z rozpaczą — Nie może! Więc i to na nic! Życie na nic... I śmierć na nic... Och! Och!

Dla mnie ten jej wykrzyknik, w którym zamknęła się cała gorycz i cały ból ostatniego zawodu, był błyskawicą straszliwej prawdy. Przypomniała mi się rozmowa Eli z moją żoną pod buldenezami¹⁶⁵ i zrozumiałem, że zabiła się dla mnie, aby mi głos przywrócić i byłbym pragnął skonać w tej chwili z nią razem.

Ona tymczasem umilkła i przerażone oczy utkwiała w modlącym się księdzu, jak dziecko, które się własnego postępu zlekło.

— Księżo proboszczu! — wykrzyknęła głosem najwyższej trwogi. — A tam... a tam... co mnie czeka? Także nic?...

A ksiądz, jakby w odpowiedzi, czytał dalej:

„Nie racz, Panie Boże w Trójcy jedyny, pamiętać na grzechy jej, ale odpuść jej według wielkiego miłosierdzia Twego”...

Palce Eli, trzymające wciąż moją rękę, rozwiódły się, głowa zagłębiła się znowu w złociste fale włosów, przeciągłe westchnienie uleciało z ust na wpół otwartych. Było po wszystkim.

Tak jaskrawo i tragicznie rozwiązała się cicha zagadka twego życia, biedna Gabruniu moja! Biedna marzycielska duszo! Podobna do harfy, w której jedne struny przeciągnięto nad miarę, a drugich zapomniano podokręcać. Cóż dziwnego, że przeciągnięta struna pękła w straszliwym dysonansie, a inne nie odezwały się wcale! Nie twoja wina, że cię nie nastroiły niedomyślne palce, pod którymi, któż wie, jaka piękna pieśń życia mogła się była urodzić!

Niechaj cię inni potępiają lub szydzą z ciebie, dla mnie ty pozostaniesz zawsze najcudniejszym objawieniem kobiecości, za którym tęsknić nie przestanę nigdy. Ten mar-

¹⁶⁵*buldenez* — krzew parkowy o kulistych kwiatostanach. [przypis edytorski]

murowy anioł ze związanymi skrzydłami i palcem milczenia na ustach, którego u twego grobu postawić kazałem, to obraz tego, czym byłeś na ziemi. Pokój ci!

Byłbym zapomniał dodać, iż w parę miesięcy po śmierci Eli, na skutek silnych elektryzacji, odzyskałem głos. Medycyna sobie wyłącznie przypisała tę zasługę, ja jednak wierzę, że gdyby nie bohaterkie poświęcenie kochającej kobiety i nie ten ryk okropny, co mi wtedy rozdarł gardło, nie byłbym się nigdy wyleczył.

Jedna tylko osoba oprócz mnie, domyślała się prawdziwej przyczyny samobójstwa Eli, to jest moja żona. Nie powiedziała mi nigdy tego wyraźnie, ale czułem, iż przeniknęła chwiejącą się pomiędzy nami tajemnicę. Zdaje mi się, że z początku zniechęciła nas oboje: i tamte, że mnie tak bardzo kochała i mnie — żem z ofiary jej kochania żadnego pożytku na razie nie odniósł. Jakiś czas byliśmy dla siebie jak wrogowie, później i to się zatarło. Teraz, kiedy wróciłem do dawnego trybu życia, kiedy odzyskałem głos i praktykę, moje domowe szczęście nic znowu na pozór do życzenia nie pozostawia.

Wanda zrobiła się nawet troskliwszą o mnie niż kiedykolwiek. Przestrzega mnie ciągle, abym się nie zaziębił, a nawet gdy wychodzę, sama owiązuje mi szyję fularem¹⁶⁶ z pieczołowitością, przypominającą mi mimo woli impresaria¹⁶⁷, czuwającego nad sopranem zakontraktowanej na cały sezon śpiewaczki...

O! Gabruniu!

NEMEZYS SERCA

*Różne są nędze na ziemi,
Są takie co litość budzą,
I ma kto płakać nad nimi
I boleść utulić cudzą.*

*Są inne, jakby przekłete
Od świata, ludzi i Boga,
Gdzie serca rozpaczą wzdęte
Otacza puszczą złowroga*

Asnyk

Mieszkańcy ulicy Brackiej, a zwłaszcza jednego z jej domów, którym do komfortu codziennego życia brakowało zegarków, orientowali się w godzinach za pośrednictwem wytaczającego się z bramy każdodziennie, jeżeli tylko pogoda była znośna, o jedenastej rano i o czwartej popołudniu, wózka na trzech kołach, z ceratowym fartuchem i wytartą, politurowaną¹⁶⁸ poręczą.

Pod fartuchem mieściły się obrzękle, kratkowanym szalem okryte nogi starca, a na poręczy opierały się grube, czerwone ręce dwunastoletniego może chłopca.

Starzec siedział nieruchomo, z głową spuszczoną latem na popielaty surduty, a w chłody na barankowy kołnierz futrzanego paltota¹⁶⁹; ręce odziane w jelonkowe, zawsze czyste rękawiczki, trzymając sztywnie na kolanach, lub zasuwając je równie sztywnym ruchem w rękawy; chłopiec z zadartą brodą popychał wózek niedbale, rozglądając się na prawo i lewo, a w wyjątkowych tylko razach patrząc przed siebie, skutkiem czego wózek najeżdżał na przechodniów, podskakiwał na nierównościach trotuarowych¹⁷⁰ i przechylał się nad rynsztokami.

Przechodnie usuwali się ze stłumionym syknięciem lub głośnym przekleństwem, stosownie do temperamentu, a przygarbione plecy staruszka wykonywały po każdym wstrząśnieniu jakieś bezwiedne, wahadłowe ruchy — nigdy przecież, w najbardziej ryzykownych chwilach, w których wózek zdawał się brać stanowczy rozbrat z równowagą, ręce jego nie

Starość, Opieka

¹⁶⁶fular — chustka na szyję z tkaniny jedwabnej. [przypis edytorski]

¹⁶⁷impresaria — organizator występów danego artysty, sportowca. [przypis edytorski]

¹⁶⁸politurowany — powlekana politurą powierzchnia drewna w celu nadania jej połysku. [przypis edytorski]

¹⁶⁹paltot — daw. palto. [przypis edytorski]

¹⁷⁰trotuar — część ulicy odgradzona krawężnikiem od jezdni, przeznaczona dla ruchu pieszego. [przypis edytorski]

poszukały instynktownie oparcia, ani usta nie zdradziły niepokoju. Widocznie o tyle był oswojony z tymi przypadkami, o ile pewny, że się żaden katastrofą nie skończy.

Nieraz idący po drugiej stronie ulicy, a zmysłem spostrzegawczym obdarzeni przechodnie, przypatrywali się z zajęciem tym profilom: starca i chłopca, których i tak wybitna charakterystyka tworzyła w zestawieniu dziwnie uderzające przeciwieństwo. Rzecz można, że o ile w jednej twarzy wszystko się kryło, o tyle z drugiej wszystko wyskakiwało.

U starca czoło wklęsłe i niskie chowało się pod czaszką, pokrytą siwym, krótkim, sterczącym włosiem; oczy małe o ściągniętych, mrugających powiekach, uciekały pod brwi; koniec długiego nosa tonął w górnej wardze, tworzącej wraz z wypłowiałym, żółtawym wąsem jakby rodzaj słomianego daszka nad zapadniętymi dolnymi ustami i ginącą w pomarszczonej szyi brodą.

Chłopak przeciwnie miał czoło wypukłe, napiętnowane myślą niespokojną, przebiegłą, wierzącą; oczy na wierzchu, blado-niebieskie, powleczone białymi, bezkrwistymi powiekami, co nadawało jego fizjonomii jakiś rybi wyraz; nos zadarty, rozdęty, o drgających skrzydełkach; usta zmysłowe, pełne; szczęki silnie rozwinięte i podbródek wydatnie górujący ponad cienką, ruchliwą szyją.

Wyglądał na służącego, ubranym był przecież bogaciej od swego pana.

Latem błyszczał w słońcu tego wykrochmalonym gorssem u koszuli, połączaną dewizką¹⁷¹, kołyszącą się na pikowej kamizelce i pierścionkiem z korałem na piątym palcu. Jedwabna, pąsowa chusteczka wyczierała mu zalotnie z bocznej kieszeni spencerka¹⁷², którego modnym materiałem niejednen wykwinny panicz nie byłby wzgardził; świeży kwiatek tkwił w dziurce od guzika, lśniące buty z pewną gracją migwały pomiędzy zapyłonymi kołami wózka.

Zimą przykrywał te wszystkie elegancje dostatnią algierką¹⁷³, a na ryzawe, tłuste, jakby zawsze mokre włosy, kładł zamiast filcowego kapelusza futrzaną czapkę.

Często po drodze dobywał z kieszeni cygarnicę z krokodylowej skóry i zapalał papierosa, zatrzymując bez ceremonii wózek, a potem popychał go jedną ręką i puszczał nad zgarbionymi plecami i siwą głową swego chlebobdawcy misterne kółka i wężyki.

Bywało, wiatr wpędzał dym pod nos staruszkowi; ten wówczas zanosił się od kaszlu, od którego w piersiach grało mu, jakby kto skorupami stłuczonych garnków potrząsał, i obracając nieco głowę, przemawiał głosem łagodnego wyrzutu:

— Jaki ty niedobry tytoń palisz, Murciulku.

— Albo mi to pan daje na lepszy? — odpowiadał Murciulko. — Pan wie, że ja nie od tego, żebym dziesięciurublowe cygara palił.

— O! Wiem, z ciebie wielki marnotrawca, mój Murku.

— Panu Bogu za to dziękuję; czy to jest większe paskudztwo na świecie, jak kiedy się człowiek skąpcem urodzi.

Szczególną tę rozmowę przerywał zwykle turkot dorożki lub starcie z przechodniami.

Wózek włókł się leniwie, mijał plac św. Aleksandra, wjeżdżał w aleje Ujazdowskie i począwszy od wczesnej wiosny aż do późnej jesieni, docierał do ogrodu Botanicznego i skręcał w bzową aleję.

W majowe, ciepłe ranki staruszek podnosił oczy ku trzęsącym się nad nim olbrzymim różowoliliowym kiściom kwiatu, wciągał w siebie heliotropową¹⁷⁴, mocną woń i najczęściej kichał.

— To zapach! — mówił, szukając chustki do nosa — To zapach! Czujesz, Murku, jak te bzy dzisiaj silnie pachną?

— Tak samo jak wczoraj — odrzucał pogardliwie Murek.

— Ale, co gadasz — w nocy był deszcz. Po deszczu wszystko lepiej pachnie.

— I lepiej cuchnie, jak, niedaleko szukając, i na naszym podwórku. Raz by się też pan z tej paskudnej dziury wyprowadził. Jak cholera przyjdzie, to nas tam na pewnika przycapi¹⁷⁵.

— Zlituj się, Murku! Przeprowadzka tyle kosztuje!

¹⁷¹dewizka — łańcuszek do zegarka kieszonkowego. [przypis edytorski]

¹⁷²spencer — ubiór męski z połowy XIX w. przypominający frak z obciętymi połami. [przypis edytorski]

¹⁷³algierka — rodzaj dawniej noszonego długiego, sutego palta męskiego. [przypis edytorski]

¹⁷⁴heliotrop — roślina o drobnych, silnie pachnących kwiatach. [przypis edytorski]

¹⁷⁵przycapić — niespodziewanie złapać, schwycić. [przypis edytorski]

— Pewno co kosztuje. A pan to by chciał, żeby panu jeszcze za to zapłacili? Czy to pana nie stać na tragarzy? Trzeba i biednym ludziom dać zarobić.

— A meble? Toż to się meble strasznie niszczą.

— Niech się pan nie kłopotce. Panowym gratom to już się nic nie stanie, a choćby się i rozleciały, niewielka byłaby szkoda.

Tak rozmawiając, okrążali akwarium; wózek zostawał przy jednej z ławek, jego właściciel z wielkim trudem wydobywał z pod fartucha obrzękłe, grubymi bamboszami odziane stopy i suwając nimi powoli, zaczynał z pomocą Murka przechadzkę po słońcu, lub jeśli upał był wielki, po sąsiedniej, cienistej uliczce.

W tej porze dnia ogród Botaniczny bywał prawie pusty. Parę nianiek z dziećmi, paru emerytów z gazetami, bardzo rzadko jaki „on” lub jaka „ona” z silnie zaznaczonym charakterem szukania lub czekania, oto wszystko.

Staruszek mógł się przechadzać swobodnie, jedną ręką wsparty na grubej, wiśniowej lasce z płaską galką ze słoniowej kości, drugą uwieszony u ramienia swego towarzysza, który dla jego wygody musiał swą wysoką, szczupłą postać mocno na jeden bok przechylać.

To też widocznym było, że spacerzy te wcale mu do smaku nie przypadają. Szedł skrzywiony zarówno korpusem jak twarzą; głucha niecierpliwość migotała w jego wypukłych oczach i wydymała mięsiste, czerwone wargi, a pot przyklejał mu do czoła już i tak lepkie kosmyki włosów.

— A długoż¹⁷⁶ to będzie tego chodzenia dzisiaj? — odzywał się, gdy staruszek, odpocząwszy i wysapawszy się na środku uliczki, zabierał się do dalszej przechadzki.

— Jeszcze tylko do końca i z powrotem, mój Murciulku — odpowiadał proszącym tonem jego pan. — Jakiś rześki dziś jestem i nogi mi lepiej służą. Prędzej chodzę, prawda?

— Ano, mógłby się pan ze ślimakiem ścigać.

Staruszek śmiał się, a był to śmiech dziwny, wewnętrzny, najłżejszą grą mięśniów nie rozjaśniający zwiędłej, schorowanej twarzy.

— Ze ślimakiem powiadasz? Cha, cha, cha! A z żółciem to nie? Widzisz, okazalszego sobie biegusa wynalazłem, groźniejszego współzawodnika. Cha, cha, cha!

— Co pan dzisiaj taki wesoły? Mnie tam wcale nie do śmiechu.

— Jak to? Nie cieszysz się, że¹⁷⁷ zdrowszy? Tak to mnie kochasz, Murciulku?

I wsunięte pod siwe brwi ważkie, żółtawopiwne oczy starca zwracały się z jakąś szczególną, błagalną nie małą czułością na obojętną twarz chłopca, który znowu ruszał ramionami.

— Iij! Za co ja tam pana mam kochać? Albo to pan dla mnie taki pan jak się należy? Ja żebym miał kogo, co by mi tak wiernie służył. Jak, na ten przykład, ja panu, to bym mu nieba chciał przychylić. A pan to co? Marnej dziesiątki mi pan żałuje. I potem się pan dziwi: To mnie tak kochasz? — Za co będę kochał?

— Dziesiątki, Murciu? Widzisz! Jakie z ciebie niewdzięczne dziecko! To ci nie dałem wczoraj czterech rubli, co?

— Ale! Mnie! To sobie pan dał, nie mnie. Jakżebym pana wozził, żeby pan był nie dał? Boso? Buty musiałem kupić.

— Buty? toż kupowałeś przed trzema tygodniami.

— A kupowałem. Ale przy tych diabelskich spacerach to i na dwa nie starczy. Cóż to pan myśli? Że taki wózek pchać i pana prowadzić, to niby nic? Akuracik! To jakby trzech ludzi na jednych nogach chodziło, a nie pojedynczy człowiek.

— Przesadzasz, Murciulku, przesadzasz — perswadował monotonnym głosem stary, siłąc się zwałiej suwać nogami — kiedy ja sam czuję, że od pewnego czasu lżejszy jestem.

— Bodaj taka prawda była. Tylko że mi od tej lekkości już rękaw na szczęt¹⁷⁸ się wytarł. O! Widzi pan — i usuwając bez ceremonii opierającą się na nim rękę, pokazywał zamszone trochę sukno.

Staruszek obracał głowę i niespokojnie oglądał nadwerżony szczegół stroju wykwiutnego Murka.

— Bój się Boga! Tegoroczny garnitur. A toż maj dopiero!

¹⁷⁶długoż — wzmocnione „długo”. [przypis edytorski]

¹⁷⁷że — daw. konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; dziś: że jestem. [przypis edytorski]

¹⁷⁸szczęt — daw. pozostałość czegoś. [przypis edytorski]

Pogarda, Starość

Chciwość, Szantaż

— Czy to moja wina? Czemu się pan tak ciężko opiera? Przecież taki letni *anglik* to nie żelazo.

— To i cóż będzie?

— A cóż? Trzeba będzie nowy sprawić. Nie wstyd by to panu było, żeby się na mnie lachmany trzęsły?

Stary wzdychał ciężko, ale nic nie odpowiadał.

— Wiesz co, Murku? — zaczynał po chwili namysłu, przystając — A gdybym ja tak popróbował sam trochę chodzić. Jak myślisz?

— A niech pan próbuje.

Odstępował od niego i z krytycznym niesmakiem przypatrywał się, jak stary, sobie zostawiony, chwał się przez chwilę na nogach, chwytając równowagę, potem raptownym ruchem wystawiał razem łaskę i jedną nogę przed siebie, jakby je chciał wtłoczyć w twardy pocętkowany drgającymi cieniami grunt alei, i posuwał się naprzód, wlokąc za sobą drugą stopę, aby z nią ten sam manewr wykonać.

Było coś boleśnie komicznego w tej postaci drobnej, suchej, zgarbionej, rwącej się do ruchu, do życia, starą, dyszącą piersią i bezsilnymi członkami; podczas gdy smukły, prosty jak młoda topola chłopak stał nad nią, zdając się z jej niedołęstwa natrzasać.

Stał, prostował ścierplę łokcie i zapalał świeżego papierosa.

Tymczasem pan jego, ubiwszy w ten bohaterski sposób kilkanaście kroków, słabnął i zaczynał słaniać się, walcząc z ogarniającą go niemocą.

Wtedy Murek przyskakiwał do niego i chwytął go za ramię.

— Niech no pan da pokój. Jeszcze pan rymnie, jak wtedy, i będę musiał pana dźwigać. Dosyć już tego będzie.

I stary zawracał posłusznie w stronę wózka, rozczulony troskliwością swego opiekuna.

— Pocziwe dziecko! — mówił, pocierając ukradkiem ramię, na którego skórze wszystkie pięć palców Murka musiały dokładny odcisk zostawić. — Że też ty się tak o mnie boisz!

Siadał na ławce pod drzewem i podawał chłopcu wydobyte z kieszeni ranne wydanie *Kuryera*.

— Co czytać? *Fajtleton*?

— Możesz.

I Murek zaczynał czytać monotonnym, urywanym głosem, z najgłębszym lekceważeniem dla przecinków, średników i innych subtelności pisarskiego kunsztu.

Jasne, majowe słońce sączyło się przez liście na odsłoniętą, siwą głowę i kark zgarbiony staruszka, wlewając dobroczynne ciepło w krew, krążącą leniwie pod żółtą, gąbkowatą skórą; woda w zbiorniku pluskała cicho z szelestami migających w niej rybek, szerokolistne akwarystyczne rośliny chwiały się nad nim, ostre, błyszczące kontury rzeźbiąc na tle błękitnej atmosfery, czarowne fale bzowej woni przepływały w powietrzu, raz po raz słowik odzywał się gdzieś w krzaku i zamilkł, rzekłbyś, zawstydzony, iż się wyrwał nie w porę, a młody, lecz młodzieńczej świeżości pozbawiony głos Murka dźwięczał wśród tej wiosennej ciszy twardo, sucho i równo, niby stuk kołyskowych biegunów.

I stary usypiał z przeciągłym świszczącym sapaniem. Ledwo tylko sapanie to zwiastowało Murkowi, że pan jego pogrążył się w ten stan bezwiedności, chrzczony przez filozofów nazwą przejściowej śmierci, chłopak rzucał gazetę, przeciągał się, i jeśli nikogo w pobliżu nie było, zaczynał wykrzywiać się do śpiącego staruszka.

Stawiał mu niedopałek papierosa na łysym czubku głowy, albo nakładał mu kapelusz na bakier, co brzydka, niczym szlachetniejszym nie wyidealizowaną starość tego człowieka czyniło odpychająco śmieszna; to znowu pokazywał mu język, wiercąc palcami w policzkach lub dawał mu powietrznego prztyczka w sapiący, w górnej odętej wardze zanurzony koniec nosa.

Te znęcania się sprawiały mu wyraźnie jakąś ulgę. Jego blade, rybie oczy, ciemniały wyrazem hamowanego okrucieństwa, usta rozchylały się w drapieżnym uśmiechu; zdawało się, że tylko obawa następstw zatrzymuje jego grube, płaskie paznokcie od worania się w pomarszczoną skórę bezbronnej, niczego się niedomyślającej ofiary.

Starość, Młodość, Pogarda

Pozory, Sługa, Starość

— Zgniłe próchno! — mówił. — Kutwo¹⁷⁹ obmierzły! Żebym ja się tak przy tobie mordował! Bodajże¹⁸⁰ się twymi dukatami udławił.

Jeżeli w trakcie tej pięknej zabawki postać jakaś zaczęła się w oddali, Murek z czającej się pantery przedzierzga¹⁸¹ się w opiekuńczego anioła stróża.

Stawał za ławką i jedwabną chusteczką powiewał nad głową swego pana. Zaiskrzone oczy przysłańczał białymi powiekami i nadchodzącemu widzowi ukazywała się istnie wzruszająca grupa: pusty wózek kaleki, drzemiący na ławie starzec i ten wysoki, szczupły, troskliwie nad nim pochylony młodzieniaszek!

Po niejakiem czasie Murek spoglądał na zegarek i budził śpiącego.

— Niech no pan wstaje. Już pora na obiad.

Stary podnosił raptem głowę.

— To ja spałem, Murciu!

— A tylko co?

— Aleś ty ciągle czytał?

— Spodziewać się.

— Tak, tak, słyszałem twój głos, słyszałem... bezustannie, alem¹⁸² nie dobrze już rozumiał w końcu... Zaczęło mi się coś majaczyć. To bardzo zajmujące. Prawda, Murku?

— Bo ja tam wiem. Pan się zna na tym lepiej.

Wracali do domu, a gdy wózek zaturkotał głucho w bramie i zazgrzytał na ostrych kamieniach ciasnego podwórka, stróż Piotr mówił do swojej żony:

— Jagnieszka, chorobo, a coś ty tak późno obiad dziś dała. Już w pół do drugiej. Stary wraca!

A w suterynie¹⁸³ praczka wołała z nad buchającej parą balii¹⁸⁴:

— Śpiesz się Jóźka! *Onego*¹⁸⁵ ino co patrzeć. W pół do drugiej. *Paralitnik* przyjechał.

I w otwartym oknie oficyny na trzecim piętrze ukazywała się jasnowłosa głowa pochylonej nad drzeworytniczą kliszą dziewczyny, a potem zwracając się w głąb ubogiego pokoiku, gdzie na sofce siedziała blada kobieta z zamkniętymi oczyma, mówiła smutnym głosem:

— Już w pół do drugiej, mamo. Skulski przyjechał. Nie skończę chyba na czas.

Inna jeszcze twarz błyskała zwykle o dwa piętra niżej, twarz szeroka, czerwona, z kieteryjną grzywką nad czołem i damskim stroikiem w rękę.

— O la Boga! — wołała, śmiejąc się i wdzięcząc. — Już w pół do drugiej. Murek przytarabanił¹⁸⁶ swego starego. Pani zaraz będzie dzwonić do ubierania, a ja jeszcze tego czupiradła nie upięła.

Tymczasem żywy zegarek stróża, praczki, drzeworytniczki¹⁸⁷ i pokojówki, windował¹⁸⁸ się z trudem na czarne, brudne schodki, prowadzące do parterowego mieszkania, jakie tu od lat kilkunastu zajmował.

Był to jeden z tych oficynowych lokalików, w których brak powietrza walczy o lepsze z brakiem światła, a zupełne zerwanie z architektoniczną estetyką przy ich budowie harmonizuje z równie bezwzględny zapomnieniem o wygodzie przyszłych mieszkańców.

W przepierzonym¹⁸⁹ od kuchni korytarzyku nie stało nic, z tej prostej przyczyny, że był za wąski, aby do czego innego niż do przejścia mógł służyć, a i wózek z biedą wjeżdżał tam, objijając się nieraz w pomroce¹⁹⁰ o ścianę.

Kuchenka miała tę charakterystyczną cechę pustki i chłodu, nawet w najskwarniejsze dni, jaka odznacza te gospodarskie sanktuaria, gdy się w nich nie gotuje; czarna czeluść komina otwierała się jak paszcza nad trzonem, zawalonym różnymi rupieciami; żółte

¹⁷⁹*kutwa* — człowiek chciwy, skąpy nawet dla samego siebie. [przypis edytorski]

¹⁸⁰*bodajże* — wzmocnione „bodaj”, tu: bodaj byś. [przypis edytorski]

¹⁸¹*przedzierzgać* — nabierać innych cech, zmieniać swoją postać. [przypis edytorski]

¹⁸²*alem* — dziś: ale ja. [przypis edytorski]

¹⁸³*suteryna* — część budynku znajdująca się pod parterem, częściowo poniżej poziomu ziemi, wykorzystywana np. na warsztaty lub tanie mieszkanie. [przypis edytorski]

¹⁸⁴*balia* — naczynie służące do prania bielizny. [przypis edytorski]

¹⁸⁵*onego* — daw., (gwarowe) jego, tamtego. [przypis edytorski]

¹⁸⁶*przytarabanić* — dotrzeć z trudem i wysiłkiem do jakiegoś miejsca. [przypis edytorski]

¹⁸⁷*drzeworytnik* — osoba robiąca drzeworyty. [przypis edytorski]

¹⁸⁸*windować* — wnosić coś na górę. [przypis edytorski]

¹⁸⁹*przepierzony* — oddzielony ciemną, prowizoryczną ścianką. [przypis edytorski]

¹⁹⁰*pomroka* — prawie całkowita lub całkowita ciemność. [przypis edytorski]

ściany wznosiły się nago nad brudną podłogą, po której spacerowały wywabione ciepłem karaluchy, okrążając melancholijnie ciekące dno konewki i niknąć pod przypartą do ściany kulawą szafą.

Co się tyczy pierwszego pokoju o dwóch oknach, nie można było wątpić, że był zaciąganym olejno przed jakimi siedmiu laty, mytym przed rokiem, a zamiatanym bodaj przed tygodniem.

Staroświecką, jesionową komodę pomiędzy oknami przykrywała, jak szara serweta, gruba warstwa kurzu, z widoczną lubością pielęgnowana; pod ścianami stało kilka szaf, każda innego koloru i fasonu; stół pokryty brązową w białe kwiaty serwetą, wysunięty był na środek; cztery mahoniowe, obite włosiennicą¹⁹¹ krzesła, strzegły jego krawędzi.

W pobliżu okna była pusta przestrzeń, zasłana spłowiałym dywanikiem, z małym z boku stolikiem. Tutaj po powrocie ze spaceru stawał wózek, przeobrażając się jednocześnie w fotel.

W wąskiej sypialni jedną ścianę zajmowała gmach-kanapa, z porzuconą na niej koldrą derową i skórzaną, wytłuszczoną poduszką, oraz łóżko żelazne, spiętrzone sutą pościelą, osłonięte wzorzystą pasową kapą z zalotnym jaśkiem w szydełkowej po włóczce, spoczywającym na poważnej piramidzie poduszek.

Nad kanapą wisiał stary, szerniały obraz, wyobrażający głowę Chrystusa w cierniowej koronie; oraz parę równie starych, popękanych portretów męskich; nad łóżkiem świeciły za szkłem w niegustownych papierowych ramkach fotografie aktorek *minorum gentium*¹⁹² i baletniczek, oraz mnóstwo pantofelek do zegarka, kapciuszków, szyfonierek i innych drobiazgów.

Na kanapie sypiał Skulski, na łóżku Murek.

Stary miał ten pojawiający się czasem w podeszłym wieku wstręt do łóżka, jako do miejsca, w którym śmierć zwykła składać swoje oficjalne wizyty, a że wielkich wygod nie wymagał, obluźowane sprężyny wyleżale kanapy zadowalały jego siedemdziesięcioletnie kości.

Murek za to miał i siennik, i materac, i pierzynę, to też nie dziw, że gdy się w to wszystko, zimą zwłaszcza, zakopał, stawał się, jakby prosto z instytutu głuchoniemych wzięty, i żadne wołanie poruszyć go nie mogło.

Stary znalazł tę słabą stronę swego opiekuna i nie próbował z nią walczyć.

Zaprzestał raczej.

W początkach bowiem, kiedy trzynastoletni Murek wszedł do niego w służbę obdarty, bosi, zagłodzony, z opinią „sprytnej szelmy¹⁹³”, wydaną przez rodzoną matkę, praczkę Skulskiego, która nie wiedząc, co z chłopcem próżniakiem urwisem robić, wpakowała go staremu; w początkach owych but tego ostatniego wędrował często w ciemnościach przywitać się z czołem chrapiącego Murka.

Ale gdy Murek, skoczywszy po rozum do głowy, rozmachnął się raz i odrzucił intruza tak trafnie, że bardziej jeszcze przyplaszczył nim nos swego chlebobdawcy, a potem zwałił winę na karb¹⁹⁴ rozespania, twierdząc, że człowiek nie odpowiada za to, co przez sen zrobi, stary zląkł się podobnego determinizmu i bombardowań zaprzestał.

A zresztą nadszedł czas, kiedy byłby wołał popełnić najryzykowniejszy czyn, niż ściągnąć na siebie niezadowolenie Murciulka.

Razem z podagrą¹⁹⁵ w nogi, uczuciowość weszła mu do serca, które przez sześćdziesiąt kilka lat wybornie się bez tego dodatku obywało. Człowiek ten po wyjściu z dzieciństwa, raz tylko zapłakał, a było to wtedy, gdy piętnastoletniemu jedynekowi przybyła niespodzianie siostra. Zapłakał łzą zawiści na myśl, że mu ta malutka, krzycząca istotka, połowę tego, co już za swoje uważał, kiedyś zabierze. Było to jedyne jego rozczulenie.

Za to na pogrzebach swoich najbliższych, miewał oczy suche, a wracając z cmentarza, mawiał sobie: Jest to dobrze, żem ich nie kochał, martwiłbym się teraz niepotrzebnie.

¹⁹¹włosiennica — szorstka szata noszona dawniej na gołe ciało dla umartwienia, pokuty lub z powodu żałoby. [przypis edytorski]

¹⁹²minorum gentium — niższego rzędu, drugorzędny. [przypis edytorski]

¹⁹³szelma — z dezaprobatą lub z uznaniem o osobie sprytnej, umiejącej sobie radzić w życiu, nie zawsze w uczciwy sposób. [przypis edytorski]

¹⁹⁴zwalać winę na karb — wskazywać coś jako przyczynę. [przypis edytorski]

¹⁹⁵podagra — choroba charakteryzująca się pogrubieniem stawu dużego palca u nogi i ograniczeniem jego ruchów oraz napadowymi bólami i obrzękiem w okresach zaostrzeń. [przypis edytorski]

Było wprost coś wynaturzonego w obawie, z jaką to ludzkie serce kurczyło się przed każdym tkliwszym uczuciem, co się w nie wśliznąć chciało. Przyjaźń wydawała mu się uciążliwym zobowiązaniem, miłość szalonym głupstwem, rodzina niepotrzebnym kłopotem, litość dokuczliwą zморą, wysysającą człowieka na korzyść drugich; wszystko razem ciągłym męczeniem życiowej równowagi, na której szalach dwa tylko ciężary wzajemnie znosić się były powinny: pieniądź i używanie.

Nie miał więc nigdy ani przyjaciela, ani kochanki, ani żony. Dopóki mu ludzie byli potrzebni, przestawał z nimi, dopóki był młodym, lubił kobiety, ale znał tylko uściski płatne, jako takie, z których każdej chwili otrząsnąć się można. Umiarkowanym umiał być we wszystkim, nawet w nadużyciach.

Zdolny, wytrwały, nie mylący się nigdy w swych chłodnych rachubach, zdobył sobie niezależne stanowisko i dostatek. Chciwy na zysk, skąpcem stał się dopiero wtedy, gdy słabnące zdrowie i wiek, coraz ciasniejsze koło używania zakreślały jego samolubstwu. Zaczął zbierać pieniądze, nie mając ich na co wydawać przywiązywał się do nich stopniowo.

Dusza jego, z szlachetniejszych popędów wyjałowiona, zniedołężniała prędzej jeszcze niż ciało. Zapatyczniał, odrętwiał, odsunął się zupełnie od świata, który już mu nic dać nie mógł; o tym zaś, aby on coś w zamian dla tego świata uczynił, nie pomyślał nigdy. Nędze pojedyncze i ogólne niedole, były dla niego zarówno nieinteresującymi hieroglifami.

Gdyby kto był przyszedł do niego i rzekł: „Dopomóż mi — masz pieniądze — zbawisz mnie od ruiny, od hańby, od śmierci”, byłby spojrział na niego ze zdumieniem i odpowiedział: „Człowieku, nie rozumiem cię. Cóż *mi* to może obchodzić, co się z *tobą* stanie? Alboż¹⁹⁶ ty mną jesteś?”

Ale nikt do niego z czymś podobnym nie przychodził. Znali go aż nadto dobrze krewni i obcy. Wtem zjawił się Murek i stała się rzecz zdumiewająca. Było to tak, jak gdyby do tego starego, napęczniałego samolubstwem i niespożytkowanymi ludzkimi uczuciami człowieka, przypięła się młoda pijawka, która sprytnym swym pyszczkiem trafiła od razu na żyłę krwi serdecznej pod tą skórą, nieprzebitą dotąd i suchą jak wiór. I co dziwniejsza, nie stało się to ani za sprawą pochlebstwa, ani chytrego wkradania się w łaski starca.

Brutalna, sroga natura Murka, pchnęła go bezwiednie na tę drogę, którą już doświadczenie kazało mu potem uznać za najodpowiedniejszą do całkowitego owdładnięcia Skulskim. Im był krnąbrniejszym, bezczelniejszym, tym tamten bardziej miękł i łagodniał. Czego nie dokazał nawet, anielski, tkliwy urok kobiety młodej i pięknej, która niegdyś kochała go i pragnęła przywiązać do siebie twarde serce, to sprawił teraz szorstki wpływ tego chłopaka o drapieźnych instynktach szakala.

Skulski przyłgnał ślepo, namiętnie, chorobliwie do tej istoty zepsutej i cynicznej w swym zepsuciu, a serce jego poskramiane tak długo żelazną dłonią egoizmu, zbuntowało się i mściło na swoim gwałcicielu. Ta miłość niespodziana stała się jego najsroższym udęczeniem. On, który dotychczas drwił sobie z ludzkiej sympatii i obchodził się bez niej, — teraz nagle, u schyłku życia, uczuł potrzebę być kochanym, potrzebę gwałtowną, bezwzględną, jak każda reakcja.

Doszło do tego, że wprost nie pojmował możliwości swego istnienia bez Murka, i na samą myśl, że ten mógłby go kiedy opuścić, tracił resztę władzy w nogach, a na czoło występował mu pot zimny.

Ale niepotrzebnie się lękał.

Chłopcu za dobrze bywa z tą żywą, niewyeksplloatowaną miną, a jeśli chwycił się czasem tej pogróżki, to w rodzaju młota do rozbijania twardszych odłamów egoizmu i skąpstwa swego pana. W duszy nienawidził go i gdyby nie trzeźwe liczenie się z kodeksem karnym, byłby go może której nocy udusił gracko swymi silnymi, grubymi rękami i uciekł, dobrawszy się wprzód do biurka, gdzie kilkanaście tysięcy rubli spoczywało w papierach i złocie. Ale cóż? Wcześniej czy później wydałby się ten figiel; lepiej więc było siedzieć cicho i drzeć z tego starego łyka jak największe pasy.

Zresztą Murek miał swoje ideały i swój cel w życiu, bo któż jest bez tego? Ideałem była mu najprzód¹⁹⁷ czerwona pokojówka z grzywką z pierwszego piętra, za nim kształcący

Małżeństwo, Rodzina,
Samolubstwo, Chciwość

Samolubstwo, Pogarda

Chciwość, Strach, Starość,
Samolubstwo, Samotność,
Miłość

¹⁹⁶ *alboż* — konstrukcja z partykułą wzmacniającą -że, skróconą do -ż; znaczenie: albo czy. [przypis edytorski]

¹⁹⁷ *najprzód* — daw. najpierw. [przypis edytorski]

się stopniowo gust nie skierował jego zachwyty ku ogródkowym śpiewaczkom; celem doprowadzenia starego do zrobienia testamentu na jego korzyść.

Pracował nad tym już lat pięć wytrwale i bez skutku. Nie było dnia, żeby w ten lub w ów sposób nie naprowadził wody na swój młyn, ale stary, uchodzony na całej linii, w tym jednym punkcie niesfornego stawał dęba.

Testament budził w nim wstręt większy jeszcze niż łożko. Zdawało mu się, że gdyby tylko siadł do pisania, śmierć nie pozwoliłaby mu dokończyć zwykłej formuły *W I mię Ojca i Syna i Ducha świętego*, on tymczasem pragnął wierzyć, że nigdy nie umrze.

W nadzwyczajnie tylko rzadkich chwilach rzewnego rozkołysania, zapytywał Murka:

— Murciulku, będziesz ty chodził czasami na mój grób?

— Iii! — odburkiwał swoim zwyczajem chłopak. — Niech mi tam pan głowy nie zawraca. Lepiej by pan myślał, żeby mi na buty zostawić, bo inaczej nie będę miał w czym po bożym świecie chodzić, a dopiero na grób pana.

— Murku! Czym ja cię kiedy skrzywdził?

— To się da widzieć!

Stary nie pytał kiedy. Ciarki go tylko przechodziły, jak gdyby już kto przy nim gromnicę zapalał. Ach! Niewdzięczne dziecko! Wtedy dopiero oceni jego dobrodziejstwa, kiedy mu już za nie dziękować nie będzie można.

Zaraz po powrocie z rannej przechadzki, Murek szedł na drugie piętro po obiad, do pani komisarzowej, która ich stołowała. Niewiastę ową wprawiał często w zdumienie wybór potraw, nieliczących ze strawnością nadwątłego wiekiem żołądka. Ilekroć wlewała do wazy dymiącą grochówkę, której zapach wzdęty nos Murka łakomie łowił, mówiła, ruszając ramionami:

— No, nie wiem, czy to zdrowo człowiekowi, co chodzić nie może.

— Nic mu nie będzie do samej śmierci. Albo to nie dobra zupa?

— Dobra — dla takiego latawca jak ty. Staremu w sam raz kaszka na mleku, albo polewka.

Zapewne — tylko że Murek kaszki na mleku i polewki nie lubił, zaś dwóch obiadów z dwiema zupami pani komisarzowa nie byłaby się podjęła gotować za piętnaście rubli miesięcznie.

Rzecz załatwiała się w ten sposób, że po paru łyżkach, troskliwy opiekun odbierał Skulskiemu talerz.

— Niech no pan więcej nie je, bo zaszkodzi.

— Masz rację, Murciulku — odpowiadał tamten posłusznie. — Ale po cóż to znowu dzisiaj grochówka? Wszak dysponowałem ci krupniczek.

— Niby to pana dyspozycja znaczy co u pani komisarzowej! Co ma pod ręką, to warzy! Kaszę, to kaszę, groch, to groch.

Pan i sługa jadali razem, siedząc naprzeciwko siebie przy dużym, środkowym stole. Skulski spoglądał zadumany na grochówkę, którą Murek dokończył za niego z zapalem.

— A żeby tak kuchnię w domu prowadzić? — odezwał się — Może by to niewiele więcej wyniosło, a byłoby zdrowiej i smaczniej.

Na to Murek, mający swoje wyrachowanie, żeby ludzi do starego nie dopuszcząć, oburzał się ogromnie.

— Co panu w głowie! — wykrzykiwał — Czy pan chce, żeby pana jaka baba jędzą co dzień okradała? Czy pan nie wie, co to jest koszykowe!

I w dalszym ciągu karmił go niestrawnymi obiadami swego wymysłu, głodząc go czasem po prostu, a Skulski zdzieciniał, zawojowany¹⁹⁸, sprzeciwić mu się nie umiał i nie chciał.

I cóż mógł poradzić? Z każdym dniem czuł się bardziej fizycznie i moralnie na łasce chłopca, który poza tym, że go tyranizował, był zwinny, zręczny w robocie, znał wszystkie jego przyzwyczajenia i zawsze raz na raz prał mu czysto jelonkowe rękawiczki, jedyną obecnie słabością Skulskiego, zabytek wyszukanej, drobiazgowej elegancji, jaką się niegdyś w młodości odznaczał.

Gdzieby on dziś taką drugą perlę znalazł!

¹⁹⁸zawojowany — posiadający czyjąś sympatię, przychylność. [przypis edytorski]

Gdyby go tak Murek którego pięknego poranku porzucił, umarłby z głodu i pragnienia, on, co o własnej sile przez pokój przejść nie mógł, zanim by kto do niego zajrzał. Kogóż on miał na świecie?

Żeby tylko dało się odzwycząić tego drogiego, nieocenionego chłopca od latania wieczorami Bóg wie gdzie! Bywa, położy go do łóżka o jakiej dziewiątej albo i wcześniej, a sam zabiera się, na klucz go zamknie i nie wraca jak po północy! Spytać go — odpowiada wręcz, że musi użyć świata, a Skulski przypomina sobie swoją własną młodość i milczy. Nic słuszniejszego — i on także używał, bez względu, czy to się komu podobało, czy nie. Wprawdzie nie stanowił jedynej opieki podagrycznego¹⁹⁹ starca, a jeżeli trwonął pieniądze, to własne, różnica ta jednak mogła być za subtelną dla niewykształconego umysłu chłopca, a i on sam nie byłby potrafił sformułować jej dobitnie. — Odczuwał ją tylko.

Zdarzało się, że Murek wracał z tych wieczornych wycieczek w bardzo dobrym humorze. Czapka na bakier, twarz rozogniona, oczy zmęczone, klucz obracał się w zamku ze stukiem, a w mrocznej ciszy, napelniającej pokoiki, rozlegała się chrypliwie nucona szansonetka²⁰⁰.

Stary, który wśród daremnych oczekiwań powrotu Murka zasypiał nareszcie, budził się stękając:

— Czy to ty, Murciu?

— A pan myślał, co złodziej? Ha! Ha! Ha!

— Która godzina?

— Co panu po godzinie? Niech pan śpi.

Innym razem, używanie świata wprawiało młodzieńca w takie usposobienie, że przywlekał się osowiały, klnąc pół głosem i zaciskając pięści.

Wtedy biada go było zaczepiać!

Jedno z dwojga — albo milczał jak pień i zapaliwszy lampę przetrząsał kieszenie, jakby dla upewnienia się, że w nich istotnie nic nie ma i dumał nad nimi bezmyślnie po godzinach, albo wpadał w pasję, darł na sobie bieliznę i wymyślał swemu chlebobdawcy najordynarniejszymi wyrazami.

A stary kulił się pod kołdrą, siwa głowa trzęsa mu się ze strachu na skórzanej poduszce, a usta powtarzały monotennie:

— Murciu, Murciulku, upamiętaj się!

Co by to było, gdyby Murciulko nie upamiętawszy się, przyskoczył do niego i złości swojej na jego bezwładnych członkach ulżył? Z pomocą nikt by mu nie nadbiegł — mógłby go zabić jak nic, boć²⁰¹ wszakże on nie tylko we śnie, ale i w gniewie nie odpowiada za swoje czyny. Tak przynajmniej twierdził nazajutrz po każdej takiej scenie, gdy uspokojonemu, Skulski poważyl się robić jakąś wymówkę.

— W Imię Ojca i Syna! — mówił, żegnając się — Ja panu powiedziałem stary durniu? Ja pana do stu diabłów posłałem? To nie ja — to moja złość przeklęta. Co ja temu winien, jak ona przeze mnie gada? Przecie wiem, co to uszanowanie dla pana, a co nie.

I trącał go brodą w rękę, co miało znaczyć, że go całuje i przeprasza.

Taki akt skruchy niezwyklej wypływał z wewnętrznego przekonania, że się trochę zagalopował. Nuż by stary wziął na kiel i wypędził?

Ale stary nie brał na kiel. Uszczęśliwiony czułością Murka, gładził go po głowie i pytał:

— A cóż cię tak rozzłościło, moje dziecko?

Murek zmyślał tragiczną awanturę: To zgubił pieniądze, to mu je ukradli, pobito go przy tym i znieważono.

Skulski wierzył światu.

Bezczelna szczerłość Murka w niektórych razach i ta okoliczność, że mu się nigdy nie lasił i nie przymilał, imponowały mu.

— Szorstka trochę natura — myślał — ale prawa.

¹⁹⁹podagra — choroba charakteryzująca się pogrubieniem stawu dużego palca u nogi i ograniczeniem jego ruchów oraz napadowymi bólami i obrzękiem w okresach zaostrzeń. [przypis edytorski]

²⁰⁰szansonetka — piosenka o lekkiej, wesołej treści, śpiewana w kabaretach, ogródkach kawiarnianych itp. [przypis edytorski]

²⁰¹boć — wzmocnione „bo”. [przypis edytorski]

Wmawiał nawet w siebie, że chłopak kocha go bardziej, niż się z tym chce wydać. Toż zdarzają się takie wstydlive w uczuciu natury. Sam tak mało sercem żyjąc, nie miał w tym względzie żadnej intuicji ani doświadczenia.

Czyż dziki odróżni krzyk kosa od śpiewu słowika? Wie tylko, że ptak jest od tego, aby śpiewał.

Mniej więcej w ten sposób rozumował Skulski. Ci, którym świadczymy dobrodziejstwa, których przygarniamy do siebie, o których się troszczymy, są od tego, żeby nas kochali. Zwalona pamięć nie cofała go we własną przeszłość, która na niejednym przykładzie byłaby mu mogła wykazać błędność podobnego wyobrażenia.

Najboleśniejszymi bywały dla niego chwile, w których Murek żądał pieniędzy, czy to na sprawunki domowe, czy dla siebie.

Spoglądał z dziwną mieszaniną nieufności, błagania i obawy w niewzruszoną twarz chłopca i próbował się wypraszać.

— Znowu pieniędzy, Murku? Zlituj się — już to nie masz?

— Gdybym miał, to bym nie mówił. Czy to mnie miło skomleć u pana o każdy grosz, jak ten żebrak?

— A na cóż to potrzeba?

— Na co? Na co? Na wszystko. Albo w domu co jest? I zapalki na zapas nie znajdzie. Miednica się stłukła, samowar²⁰² się rozlutował.

Murek zapehniał tę rubrykę nieprzewidzianych wydatków z istotnym improwizatorskim darem. Pomysłu nigdy mu nie zabrakło, a wrodzony spryt trzymał go zawsze w granicach prawdopodobieństwa.

Czasem, uprzykrzywszy sobie te podjazdowe zdobycze, przypuszczał jeden wielki szturm do kieszeni starego. Na wojnie wszystkie środki są dobre, nie przebierał w nich zatem.

I tak, raz uśmiercił swoją matkę, która niczego się nie domyślając, migąła czerwonymi łokciami ponad balią w chwili, gdy synalek opowiadał zgnębnym głosem przerażonemu staruszkowi o jej nagłym, apoplektycznym²⁰³ zgonie i pytał z posępną goryczą, co warte życie takiego charłaka, który nawet matce rodzonej uczciwego pogrzebu sprawić nie może?

Lepiej powiesić się i na swój wstyd nie patrzeć, kiedy ją bez księdza, jak to zwierzę, w dół rzucą!

To też on powiesi się ani chybi, jeżeli go pan nie poratuje — powiesi się w jego oczach na kłamce, jak mu życie miłe!

Naturalnie, że po tak uroczystym i właściwie zastosowanym zakłęciu, stary, którego każda wzmianka o trupach i cmentarzach, wprawiała w stan dziecinnej bojaźni, mając w perspektywie samobójstwo Murka, dał na ten uczciwy pogrzeb parę dziesiątek rubli, i tak się zgryzł swoją hojnością, że ją kilkuniedniową chorobą przyplącił.

Trzeba przyznać Murkowi, że z większą niż zwykle starannością gotował mu rumianek, a i to dodać należy, że część tak zręcznie wyludzonej sumy zaniósł matce, po trosze, aby się przed nią sprytem swoim pochwalić, a po trosze, aby ją zobowiązać do niepokazywania się na oczy staremu.

— Bieliznę ja sam będę przynosił i odnosił — dołożył — a już niech mamina noga u nas nie postanie, bo miałbym bal! Stary by umarł ze strachu, jakby mamę zobaczył, a jakby nie umarł, to by mi nigdy nie darował, żem²⁰⁴ go tak wziął na kawał! Bo też to jest rzetelny kawał. O świecie!

I tak uśmiercona za życia rodzicielka, jak jej rozkoszny potomek, co ją uśmiercił, śmiać się do rozpuku zaczęli.

Innym razem już nie ambicja, ale honor Murka zagrożonym został. Nieszczęście wyciągnęło ku niemu szponiastą swą rękę, nie z poza bram cmentarnych, lecz z za zielonego stolika.

— Zmusili go — mówił — wciągnęli gwałtem, karty do ręki pakowali, więc — czegoż człowiek dla kompanii nie zrobi? — zaczął grać — No, i przegrał; trzydzieści pięć rubli, czy coś. — A grosza przy duszy nie miał, jak zawsze. Czy to on ma kiedy pieniądze? Cóż

Chciwość, Pieniądz,
Żebrak, Skąpiec

Kłamstwo, Chciwość

Kłamstwo, Honor, Pieniądz

²⁰²samowar — naczynie metalowe do gotowania wody i parzenia herbaty ogrzewane węglem drzewnym lub elektrycznie. [przypis edytorski]

²⁰³apopleksja — nagły wylew krwi do mózgu. [przypis edytorski]

²⁰⁴żem (...) wziął — daw. konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; dziś: że wziąłem. [przypis edytorski]

teraz zrobi? Oddać odda, choćby zabić kogo i do kryminału iść, boć to dług honorowy, a on wie, co honor znaczy!

I tutaj tak łyskał honorowymi oczyma i tak znacząco zaciskał honorowymi pięściami, że Skulskiego aż coś podrzucać zaczęło na wózku ze strachu. Kogoż²⁰⁵ by on mógł najporęczniejsz zabić w tym honorowym uniesieniu, jeśli nie jego? Październikowy, chłodny zmrok szarą gazą przesłaniał mętne szyby; na podwórzu cicho było zupełnie; nikt by go nie zobaczył... nikt nie usłyszał...

— Murku — zaczął płacziwie — nieszczęśliwe dziecko! Widzisz — gdybyś wieczory po bożemu ze mną spędzał...

— Jeszcze mi pan będzie dogadywał. Spędzał! Spędzał! Niech sobie pan drugiego takiego grzyba szuka, jak pan, na to spędzanie.

— Nie byłby z ciebie karciarz.

— Ja nie żaden karciarz. Karciarze są od tego, żeby wygrywali. Diabeł by im kazał grać inaczej.

Mówił prawdę. Żyłka szulerska wymaga pewnej ryzykowności, której Murek w swojej naturze nie posiadał. A i ta przegrana była wymysłem. Pieniądzy potrzebował — ale na olśnienie pewnej knajpowej syreny, która pełnością kształtów wynagradzała głos niepełny.

Przedstawił jej się dnia poprzedniego jako syn obywatelski i obiecał wyprawić kolację. Było to w chwili zapalu — nie zdążył przeto²⁰⁶ rozważyć, za co ją wyprawi.

Dziś, ochłonawszy, ujrzał przed sobą dwie drogi; albo cofnąć się ze wstydem, albo wydusić pieniądze na starym.

Chwycił się tej ostatniej.

— Cóż, da pan, czy nie?

— Murciulku! Jak cię kocham...

— Ładnie mnie pan kocha. Pan chce mnie wykierować na szubienicznika²⁰⁷. Zobaczy pan...

— To... to ileż ci potrzeba?

— Czterdzieści rubli.

— Mówiłeś trzydzieści pięć.

— Ja już sam nie wiem, co mówię. I, jak Boga kocham, tak nie wiem co zrobię, jeżeli pan nie da. Taki wstyd. Lepiej iść do więzienia.

Stary dźwignął się na wózku.. Ręce mu się trzęsły. Błyszczące w pomroce jak u kota oczy Murka wpatrywały się w niego z natężoną ciekawością. Da, czy nie da? Zamierzyć się na niego, czy się nie zamierzyć?

— Zaprowadźże mnie do biurka — przemówił Skulski z rezygnacją. — Zaprowadź i — wyjdź.

Murek odetchnął. Nie lubił wszelkich ostateczności; dobrze więc, że się i tym razem bez skandalu obejdzie. Gdyby stary dłużej marudził, byłby go musiał poturbować; a tak — spełnił tylko jego rozkaz, jak na powolnego służebnika przystało.

Skulski, stanąwszy przy biurku, obejrzał się podejrzliwie na drzwi, dobył wiszącego na piersiach kluczyka i otworzył kłapę, zasłaniającą mnóstwo szufladek i skrytek. Oczy Murkowe nigdy wnętrza tego biurka nie widziały. Jego pan byłby mu prędzej pozwolił zajrzeć na dno swego sumienia, niż tutaj.

Ufając mu bezgranicznie we wszystkim, lękał się instynktownie obudzić śpiące w nim lichy widokiem swego złota. Bo w kimże ono nie śpi? Murek wprawdzie wielką był doskonałością, lecz przezorność nigdy nie zawadzi. Tutaj była ona chyba z tego jednego względu zbyt zbytnią, że lichy w Murku dawno się już obudził — ale zaślepiiony starzec, harców jego zdawał się nie widzieć.

W pół godziny po bolesnej operacji przejścia czterech dziesięciurublowek z jednych żółtych, skąpych rąk w drugie czerwone i marnotrawne, Skulski znalazł się sam w mieszkaniu — sam, na cały, długi, jesienny wieczór.

²⁰⁵kogoż — wzmocnione „kogo”. [przypis edytorski]

²⁰⁶przeto — spójnik przyłączający zdanie lub inne wyrażenie, które przedstawia skutek tego, o czym była wcześniej mowa lub wniosek wynikający z treści poprzedniego zdania. [przypis edytorski]

²⁰⁷szubienicznik — człowiek wart kary śmierci na szubienicy. [przypis edytorski]

Murek wmówił w niego, że powinien się wcześniej położyć, leżał więc na kanapie, mając przy sobie na krześle lampkę o bladym płomieniu i niedopitą szklankę herbaty i dumiał.

Nie bawił się on nigdy we wspomnienia; dziś wszakże przed oczami, co się do snu kleić nie chciały, stał mu wciąż syn jego jedynej siostry, biednej wdowy, którą mąż, awanturnik, zrujnowawszy, w nędzy zostawił.

Młodzieniec ten przyszedł do niego kiedyś w wytartym, studenckim mundurze i z rumieńcem upokorzenia na czole a niedobrymi wypiekami na policzkach, prosił go także o czterdzieści rubli. — Był może w wieku Murka, ale jakże do niego niepodobny! Nie groził i nie wymyślał; przeproszał wuja zdławionym głosem, że mu się pierwszy i ostatni raz w życiu narzuca, ale... potrzebuje opłacić wpisowe, inaczej cała jego kariera zwichnięta, starość matki zatruta... rozpacz... głód.

Skulski odpowiedział mu wtedy, że mężczyzna powinien zawsze umieć sobie radzić, że jeśli zacznie żądać pomocy od krewnych, skończy na publicznej zebraniu i odprawił go z niczym.

W niespełna pół roku wyczytał w *Kuryerze* sensacyjny opis zgonu młodego studenta, którego zabiły suchoty i nadmierna praca; matka zaś — bo zostawił matkę — nad trupem syna dostała pomieszania zmysłów.

Ponieważ nazwiska nie wymieniono, a przecucie nic nigdy Skulskiemu nie mówiło, nie mógł przeto wiedzieć na razie, że te biedne ofiary nędzy i nieszczęścia tak z bliska go dotyczyły. Później, przypadkiem doszła go ta wiadomość.

A dziś, po latach, pierwszy raz przyszło mu na myśl upatrzeć jakiś związek pomiędzy swoją odmową a tą przedwczesną śmiercią biednego chłopca i zaczął się zastanawiać, co by się było stało, gdyby się do jego prośby przychylił?

Może chłopak skończyłby studia, może dziś byłby jakim wziętym lekarzem lub prawnikiem; może odwiedzałby teraz starego wuja przez wdzięczność ze swoją rodziną? Kiedy niekiedy, to by mogło nawet być wcale przyjemnym, zwłaszcza, że już by nic od niego nie potrzebował. — Ot na przykład, w taki wieczór jak dzisiejszy, gdy Murek poszedł swoje honorowe długi oddawać i Bóg wie kiedy wróci! Czterdzieści rubli jak miało pójść, tak poszło, a zawsze lepiej było opłacić nimi wpisowe, niż przegraną w karty umorzyć.

Tak! Ale ten siostrzeniec był mu wtedy o tyle niepotrzebnym o ile obojętnym, podczas gdy Murek! — Toż to jedyny, najdroższy jego Piętaszek na tej bezludnej wyspie starości i osamotnienia, na którą wyrzuciły go nie fale przeciwne i awanturnicze prądy, ale rozmyślnie, obliczone poprzecanie wszystkich nici, co by go ze światem i życiem łączyć mogły. Nie pora je teraz nawiązywać, choćby nawet chciał. Gdzie szukać tych końców porwanych, podeptanych, przegniłych w sercu, jak stare powrozy, co zbyt długo na spodzie okrętu leżały. Los jedną świeżą linkę rzucił mu z brzegu, w postaci tego wyrostka o rybich oczach i zwierzęcych ustach, jej się więc czepił i wszystko prędzej w morze ciśnie, niż ją z rąk wypuści. Ale ona nie dosyć silnie go trzyma; co chwila lękać się musi, aby się nie zerwała i to go męczy bardzo, tym bardziej, im starszy jest i słabszy.

Nie, Murek nie powinien go tak zostawiać samego wieczorami. Nieraz, tak by mu się chciało pogawędzić, przypomnieć coś z przeszłości, owocami własnego doświadczenia nakarmić tę młodą duszę. Jak to pięknie, kiedy stary opowiada, a młody słucha! A tu, tymczasem, młody buja gdzieś daleko, zdobywając doświadczenie na własną rękę, a stary musi leżeć w tęsknocie i nudzie, nadśluchiwać kroków na dziedzińcu i mówić sobie co chwila: — To on. — Nie, to nie on.

Trzeba temu koniec położyć. Uzbrojony świeżo wyświadczonym dobrodziejstwem, śmiało dopomni się o to, co mu należne, rozmówi się z nim stanowczo, jak tylko chłopiec wróci.

I rozmówił się; a raczej mówił sam, stękającym, osłabłym głosem, bo przebyte wzruszenia i długie czuwania osłabiły go zupełnie. Wyglądał tak mizernie, tak zgrzybiało na tej ogromnej kanapie, pod tą kołdrą, wznoszącą się ostro na jego skulonych, kościstych kolanach, przy dogasającym świetle lampki, w wyziębionym nocnym chłodem pokoiku, do którego wraz z Murkiem rozpromienionym, rozgrzanym, weszła jakby inna jakaś atmosfera gwaru, światła, wesołości, urągająca temu wszystkiemu, co się tam znajdowało.

Murek wysłuchał go w pobłażliwym milczeniu. Był upojony swoją własną osobą. Szyk i hojność, jakimi zaimponował na tej kolacji, nie tylko pulchnej pannie Florze,

Bieda, Śmierć, Wyrzuty sumienia, Skąpiec

ale i jej bratu (bo przyprowadziła ze sobą brata, czego się, prawdę rzekłszy, nie spodziewał), napęliły go taką dumą i poczuciem własnego znaczenia, że gderania Skulskiego nie mogły go na tym piedestale osiągnąć.

— Czy on wie, stary truteń, z kim ma do czynienia?

Gdyby go był widział tam, w restauracji, jak zbił dwie szklanki, dzwoniąc nożem na garsona²⁰⁸, aby podawał szampańskie, gdyby widział, jak go ten brat, rudy Szwab, wcale do panny Flory niepodobny, ścisnął i całował i pił jego zdrowie, dziękując za taki pański traktament²⁰⁹, to by zrozumiał dopiero, co to Murek!

— Czego pan ode mnie chce? — odezwał się wreszcie lekceważąco, rozstawiwszy nogi szeroko i patrząc z góry na starego. — Czy pan jeszcze ze snu nie wytrzeźwiał?

Cóż to? Pożyczył mnie pan sobie u pana Boga na wieczne nieoddanie? Mnie na życie idzie. Nie dosyć mnie pan całymi dniami przy sobie wędzi?

— Murku! Czy ja czego za darmo od ciebie wymagam? Czy nie wszystko mnie zawdzięczasz! Nie dalej jak dziś... tyle pieniędzy!

— Otóż masz! Będzie mi pan teraz do sądnego dnia te marne kilka rubli wymawiał. Wielka rzecz! Niby to pan z serca dał. Ale!

— Pan się bał, żeby mnie diabli nie wzięli, albo jeszcze co gorszego.

— Widzisz więc, jak mnie obchodzisz. Powinieneś to cenić i za to samo...

— Niech pan głupiemu gada. Wiem ja gdzie raki zimują. Takie obchodzenie! Phii!

— To nie wierzysz, że cię kocham, jak rodzzonego syna!

— Co pan wie, jak się rodzzonego syna kocha! Żeby pan miał choć krztę serca dla mnie, to by się pan nie sierzcił, że sobie trochę wieczorem po takim paskudnym życiu odetchnę. Ech! Niech pan lepiej śpi i mnie da spać, bom zmęczony.

Nazajutrz Murka znowu wieczorem nie było — Tak świetnie zaczęta kariera knajpowego Amfitriona²¹⁰ domagała się podtrzymania swego blasku. Ale! O znikoma gwiazdo szczęścia! Panna Flora zawiódła go haniebnie. Zaproszona na inną ucztę, nawet patrzeć na niego nie chciała, a w dodatku pokazało się, że ten brat nie był wcale jej bratem...

Przez tydzień Murek chodził jak struty. Nie można się nawet dziwić, że po takim rozczarowaniu zaniedbywał się w spełnianiu codziennych obowiązków, których trywialność zbyt rażąco odbijała od jego bajronicznego²¹¹ nastroju. Takim zawiedzionym kochankom to tylko przystoi pić bez upamiętnia, albo awantury robić, a nie wozic podagrycznych²¹² staruchów!

To też znęcał się nad swoim panem za tę ironiczność losu, ile się dało. Fukał na niego, udawał że nie słyszy, gdy do niego mówił, raz go nawet omal na zakręcie nie wyrzucił.

Biedny stary w głowę zachodził, co się Murciulkowi stać mogło i łasił mu się jak bity pies.

Nie jeździli już teraz po południu do botanicznego ogrodu; poprzestawali na alejach, bo dnie bywały chłodne i dżdżyste.

Skulski, który zawsze choć trochę ruchu potrzebował, wysiadał z wózka i włókł się z ciężkością po rozmięklej ziemi, obryzgując nieraz błotem wykwintne *inseparable*²¹³ Murka, gdy stopa jego bezsilna zapadła się w kałużę.

— Co pan wyprawia! — ofukiwał go tamten z pasją. — Z pana to istne prosię. Miejsca suchego tyle, nie! Pan z umysłu lezie w błoto.

Stary w milczeniu przyjmował to grubiaństwo, oglądał się tylko, czy kto nie słyszy, pergaminowe jego policzki zapalały się słabo; szarpnięty mocno przez Murka, wydobywał się z błota i sunął dalej dysząc głośno, aby znowu gdzie zagrząść i nowe wypomnienie usłyszeć.

²⁰⁸garsona — daw. kelner. [przypis edytorski]

²⁰⁹traktament — daw. poczęstunek, uczta. [przypis edytorski]

²¹⁰Amfitrion — w mitologii greckiej królewicz oraz król Tyrynsu i Teb. W powszechnej tradycji postać ta stała się symbolem gościnności. [przypis edytorski]

²¹¹bajroniczny — tendencje literackie ukształtowane pod wpływem twórczości i biografii Byrona; cechy: tajemnicze, melancholijne. [przypis edytorski]

²¹²podagra — choroba charakteryzująca się pogrubieniem stawu dużego palca u nogi i ograniczeniem jego ruchów oraz napadowymi bólami i obrzękiem w okresach zaostrzeń. [przypis edytorski]

²¹³inseparable (ang.) — nieodłączne. [przypis edytorski]

Jeżeli w dniu słonecznym, na tle rozkwitłej natury, w atmosferze bzów i słowiczych trelów²¹⁴, widok tych dwóch postaci, spacerujących wolniuteńko, sprawiał wrażenie tylko oryginalne a nawet śmieszne, to w takie szare, wilgotne mroki, pod obnażonymi gałęziami drzew alejowych, w brunatne arabeski²¹⁵ haftującymi popielate tło nieba, wśród przejmującego chłodu stygnącej ziemi, ten starzec zniedołężniały, ciągniony niedbale przez zachmurzonego chłopca, wydawał się czymś nieskończenie opuszczonym, poniewieranym, nieszczęśliwym.

Rzekłby kto, iż jakiś niewidzialny tyran wysyłał go na te przechadzki po błocie ze srogim dozorcą, który mu spocząć nie dawał, tak cała jego postać była jedną, milczącą prośbą o politowanie.

A jednak, te spacerki, takim współczuciem mogące przejąć tkliwego przechodnia, to była jedyna jego rozrywka, jedyny zapas wspomnień na długie, samotne wieczory. Widział przynajmniej ludzkie twarze! Gdybyż choć jedna znajoma a serdeczna pomiędzy nimi! — Słyszał urywki rozmów, śmiechu — gdybyż choć jedno słowo pozdrowienia rzucone w przejściu!

On sam nawet nie czuł i nie rozumiał, ile bolesnych rzeczy mówiła tym, co go mijali, jego starość bezsilna, wydana tak na pastwę jesiennej niepogodzie i najmniejszej, nieczulej opiece.

Tymczasem — pewnego dnia wyglądało się raptem Murkowe czoło. Coś nadzwyczaj pomyślnego musiało, albo raczej miało go spotkać, bo był jakby w gorączce rozkosznego oczekiwania.

Od rana krzątał się koło Skulskiego, zagadywał doń, śmiał się, żartował, a co najdziwniejsze, gdy po obiedzie wyjeżdżali na spacer, sam zaproponował, że go do „Botaniki” zawiezie. Byli tam przed południem, ale to nic nie szkodzi, od paru tygodni nie widzieli, jak też nad wieczorem wygląda.

Stary mniej się ucieszył tą propozycją, niż się należało po jego rozmiłowaniu w ogrodzie spodziewać.

Przed miesiącem jeszcze byłby jeździł, choćby trzy razy dziennie; gdyby go tylko Murek chciał wozić. Ale dziś czuł się bardzo osłabionym i wszystko go męczyło. Ostatnia pieniężna przeprawa z Murkiem i browar²¹⁶, jakie ten przez kilkanaście dni wyprawiał, nie poszły mu na zdrowie. Sam nie wiedział, co mu było. Głuchy, dziwnie dokuczliwy ból chodził mu po kościach; dręczyły go bezustanne obawy i niepokoje, widzenia nawet jakieś przesuwały się chwilami przed zmaconym wzrokiem.

Z tym wszystkim nie śmiał odrzucić niepożądanego łaski. Wszak łaska każda na pstrym koniu jeździ, więc choćby ten koń trząsł niemilosiernie, siedzieć trzeba cicho, bo gotów zrzucić.

Pojechali zatem.

Ogród przedstawiał się bardzo brzydko i pusto. Wysoki, pstry wał opadłego liścia leżał pod parkanem, z winogronowych u wejścia altanek zwisały się pęki starych postronków, w tak wdzięczną jeszcze niedawno koronkę zieleni splecionych, bzy podnosiły swą ciemną nagość, drgającą od chłodnych podmuchów wiatru, który pędził z północy grube, bawełniaste chmury, podczas gdy na zachodzie niebo dymiło się krwawo nad tonącą już w mrokach ziemią.

Murek zatrzymał wózek koło akwarium i obejrzał się.

Skulski drżącymi rękoma zaczął odpinać fartuch.

Spostrzegł to chłopak i szybko zwrócił się ku niemu.

— E! Niech pan da spokój — rzekł przekonywująco. — Pan wygląda mizernie. Dosyć się pan rano naspacerował.

— Kiedy mi zimno, Murciu, bardzo mi zimno — odparł stary, wzdrygając się. — Chciałbym się trochę rozgrzać!

— Od ziemi wilgoć ciągnie. Zaziębi się pan. Już niech mnie pan usłucha.

²¹⁴trel — melodyjny śpiew niektórych ptaków charakteryzujący się szybkim powtarzaniem dźwięków. [przypis edytorski]

²¹⁵arabeska — delikatny ornament ze stylizowanych motywów roślinnych i geometrycznych o układzie symetrycznym. [przypis edytorski]

²¹⁶browar — kłótnie, awantury. [przypis edytorski]

Murek mówił niezwykle łagodnie, a Skulskiemu aż się w duszy rozplywało od tej jego dobroci. Kochany chłopiec! Zawsze troskliwy! A on o nim takie brzydkie rzeczy myślał w ostatnich czasach!

— Mój Murciulku! — zaczął po chwili — Mój Murciulku!

Chciał mu powiedzieć: Jakiś ty dobry dzisiaj! — ale zatrzymał się w obawie, aby go tą pochwałą nie spłoszyć. Nieraz mu to już na złe wyszło. Nie wiedział nigdy na pewno, jak z nim postępować.

Murek wciąż się oglądał.

Nagle, mimo woli uniósł się na ławce. Bzową aleją szła szybko wysmukła w obcisłym kaftaniku kobieta. Była młoda i przystojna.

Mijając ich posłała długie, znaczące spojrzenie Murkowi, który wyprostował się jak struna, przyłożyła parę razy chusteczkę do ust, na co on odpowiedział przyciśnięciem swojej grubej ręki do lewego boku algierki²¹⁷ i skręciła w boczną uliczkę.

Upłynęło chwil parę.

Murek zdawał się namyślać.

— Proszę pana — odezwał się raptem. — Niech pan tu poczeka. Ja zaraz wrócę.

Stary podniósł na niego wzrok niespokojny.

— A gdzie chcesz iść, Murciulku?

— Ja zaraz wrócę.

I chciał iść, ale Skulski przytrzymał go z instynktową jakąś obawą.

— Ale wrócisz? Zaraz wrócisz? — powtórzył uparcie. — Nie zostawiałbyś mnie samego. Już się ściemnia. Cóż tu za interesy mieć możesz? Jedźmy lepiej do domu.

— Jaki też pan dziwny! Kiedy powiadam, że zaraz wrócę.

— Pamiętaj Murciulku, bo mi zimno.

— Zaraz, zaraz!

I rzuciwszy mu niecierpliwie to zapewnienie, poskoczył w stronę, gdzie zniknęła kobieta.

Stary spuścił z rezygnacją głowę na piersi i czekał czas jakiś nieruchomo.

Chmury przebałwanily się na drugą stronę nieba i starły resztę brudnego karmazynu z jego krańców. Suche szelesty latały po gałęziach; powietrze napelniało się coraz większą wilgocią. Deszcz tylko co wiał.

Z głębi ogrodu rozległy się stapania. Stary szybko podniósł głowę. To Murek! Nie, to jakichś dwóch panów, żywą zajętych rozmową.

Okrażając akwarium, spojrzeli z niejakim zdziwieniem na samotnego kalekę i poszli między bzami ku furtce.

Popatrzył za nimi. Jaka szkoda, że ich nie zaczepił i nie spytał o Murka. Może go spotkali?

Wydobył zegarek. Dopiero kwadrans czeka, a myślał, że najmniej godzinę. Jednakże Murek powinien by już wrócić. Co on tak długo może robić w ogrodzie?

Spuścił znowu głowę i zaczął dumać.

Ogarniał go niepojęty smutek, a było to także jedno z obcych mu uczuć. Umiał się gniewać, niecierpliwic, narzekać — nigdy smucić. Ale ta melancholijna, bliska płaczu natura, ta pustka chłodem wiejąca, te coraz gęstsze mroki, owijające się dokoła nagich drzew, zaraziły go bezdenną tęsknotą. Za czym? Sam nie wiedział, czuł tylko, że mu czegoś brak było w całym życiu, a w tej chwili najbardziej.

— Gdzie ten Murek? Gdzie ten Murek być może? Zginął, czy co?

I znowu spojrzął na zegarek. Już więcej niż pół godziny, jak poszedł. A mówił, że zaraz wróci.

Wtem na rękawicze zobaczył ciemną plamkę, a jednocześnie kilka drobnych kropeł uderzyło go po twarzy. To deszcz się opuścił.

Skulski zżymnął się głośno! Przeklęty chłopak! Nienawidził go w tej chwili z całej duszy.

Dźwignął się na wózk i obracał głowę na wszystkie strony, wyęzając swe małe, przygasłe oczy w przestrzeń zaćmioną.

— Wszędzie pusto jak w grobie! — zamruczał.

Strach, Melancholia,
Starość

Strach, Samotność,
Rozpacz, Choroba

²¹⁷algierka — rodzaj dawniej noszonego długiego, sutego palta męskiego. [przypis edytorski]

Wzdrygnął się mimo woli. Jak w grobie! Skąd mu to porównanie? A jeżeli Murek nie wróci? A jeżeli go tu noc zaskoczy, noc na deszczu i chłodzie, to cóż to jest innego niż śmierć! Cóż to jest innego niż grób? O! Boże! O Boże miłosierny!

Strach go ogarnął. Czuł, że nie wysiedzi na tym wózku okropnym, że musi jakim bądź sposobem ratować się, uciec przed czyhającym nań niebezpieczeństwem.

Rozpaczliwie zaczął się z pod fartucha gramolić. Pójdzie szukać tego niegodziwca, tego rozpustnika, tego — on przecież tu gdzieś być musi. Niepodobna, aby wyszedł z ogrodu, aby go tak nikczemnie porzucił.

A może go jakie nieszczęście spotkało?

Niecierpliwość, żal, trwoga, gniew mąciły mu w głowie. Z tego tylko zdawał sobie wyraźnie sprawę, że jest sam w tym pustym ogrodzie, który lada chwila zaniknąć mogą, że wieczór coraz ciemniejszy, a deszcz coraz gęstszy.

Gorączkowe podniecenie dodało mu ostatnich sił. Rażno niemal wysiadł z wózka i posuwał się naprzód, podpierając się laską. Jakie to dobrodziejstwo móc chodzić! Zaraz uczył się większym panem sytuacji, a do chęci znalezienia Murka dołączyło się pragnienie zemsty. Zbije go jak psa, tego łotra! Laskę na nim połamie! Jak on śmiał? O! Dostyc tego pobażania. Raz go przecież zasłużona kara nie minie.

Szedł żwawo jak na niego, mamrocząc pod nosem przekleństwa i sapiąc głośno. Było w nim coś fantastycznego w tej chwili, coś, co mogło przestraszyć każdego, kto by go spotkał. Ale nikt go nie spotkał.

Nagle stanął i prawie przykucnął przy ziemi. Kolana ugięły się pod nim, a gdy je znowu z trudem wyprostował, były jakby z drewna. Nim doszedł do końca uliczki, całe junactwo i mściwość rozwiązały się bez śladu.

Przestał kłąć; sapanie zamieniło się w rodzaj przyduszonego jęku, władza w nogach odstępowała go z każdym krokiem.

Zrozumiał, że dalej nie pójdzie. Instynktownie wyciągnął jedną rękę, drugą, całym ciężarem opierając się na grubej lasce i uchwycił nisko zwieszoną, nagą gałąź.

Zapewniwszy sobie w ten sposób równowagę, obejrzał się dokoła. Nikogo! Nikogo! Wózka nawet nie widać. Poznał teraz cały nierozsądek swego przedsięwzięcia. Tam Murek wrócił z pewnością i szuka go na swoją rękę. Niepodobna, aby nie wrócił; to poczciwy chłopiec, niepotrzebnie się na niego obruszał i odgrażał. Kto wie, co go tam zatrzymać mogło?

Dobyl więc głosu z piersi i zawołał parę razy przeciągle: Murku! Murku! I stał znowu nasłuchując.

Nic — oprócz szumu deszczu po wierzchołkach drzew, wiatr ustał i gdyby nie ten mokry szept, jakim szare niebo do czarnej ziemi przemawiało, cisza byłaby zupełną.

Co będzie? Co będzie? — Co robić? Puścić gałąź i próbować iść dalej, a jeżeli upadnie, gdy ją puści? Upadnie niewątpliwie; ale czy podobna stać tak i czekać może godzinę jeszcze, może dwie? Łzy okropne, palące, łzy niemocy, pokrzywdzenia, buntu wszystkich ludzkich uczuć, puściły mu się z oczu.

Plakał po raz drugi w życiu, a gałąź, której się trzymał, chwiała się nad nim, wstrząsana jego łkaniem i zdawała się płakać z nim razem deszczowymi łzami. Ach! Bo też to była dola, nad którą drzewo zapłakać by mogło. Taki stary! Taki bezsilny kaleka i taki opuszczony!

Na całym szerokim świecie nie ma nikogo, co by się w tej chwili o niego zatroszczył, co by zapytał: Co się z nim stało? Skoro go nie będzie!

Ten chłopiec, którego tak kochał, porzucił go nikczemnie na pastwę nocy i samotności. Czy to możliwe, aby ludzkie serce do tego stopnia niewdzięcznym było? Czy postąpiłby z nim w ten sposób jego syn, albo wnuk, albo chociaż ten siostrzeniec, ten biedny student w suchotach? Nie! Głos krwi zawsze się odezwać musi, a Murek, to był obcy; wśród cudzych najmniej cudzy — więcej nic.

Tłum najróżnorodniejszych myśli, wspomnień, rwących się lub płatających dziwacznie, rozsadał mu głowę. Chciał się nad jedną jakąś myślą zatrzymać, bo go to wirowanie o zawrót przyprawiało — nie sposób! Uciekała wnet, a za nią pędziła druga, trzecia, pędziła prędzej, niż ten deszcz pędził z wysoka na ziemię, niż wiatr, co się znów zerwał, po gałęziach, niż ciemność po niebie.

Samotność, Strach, Smutek

Bo — może to tylko tak jemu mroczyło się w oczach, ale nic już prawie nie było widać. Nogi jego w rozmięklej ziemi, od której chłód wchodził mu aż do szpiku kości, zdrętwiały zupełnie, krew pędzona do głowy szumiała w uszach i oślepiła oczy.

— Murku! — wykrzyknął rozpaczliwie. — Murku! — powtórzył raz jeszcze.

Zesztywniałe palce puściły gałąź; postąpił parę kroków na oślep z wyciągniętymi rękoma i padł jak długi twarzą w kałużę, którą kilkudniowe deszcze utworzyły w pobliżu.

Przez długą chwilę ludzka ta postać, rozplaszczona na ziemi, czarna w obejmujących ją ciemnościach, szamotała się boleśnie, próbując podźwignąć; twarz żółta, straszna, wykrzywiona męczarnią ostatnich wysileni, obryzgana błotem, unosiła się z ponad kałuży i opadała w nią z pluskiem, któremu towarzyszyło okropne charkotanie; ręce w uwalanych mokrą ziemią rękawiczkach, wyprężały się i oślizgiwały — wreszcie wszystko uciхло, znieruchomiało.

Przez ten czas Murek siedział w restauracji Doliny Szwajcarskiej, a piękność w obcisłym kaftaniku i pąsowej woalce, dopomagała mu gorliwie w unicestwianiu połędwicy na półmisku i wina w butelce.

Murek promieniał. Była to kapitalna przygoda!

Spotkał tę piękną pannę przed paru dniami na ulicy i tak mu się podobała, że poszedł za nią. Nie okazała się zbyt nieprzystępną; pozwoliła powiedzieć sobie kilka pięknych komplementów, uśmiechnęła się parę razy zachęcająco, ale gdy ich na skrócie ulicy tłok rozdzielił, prysnęła mu z oczu, jak bańka z mydła.

To tajemnicze zniknięcie rozegzaltowało²¹⁸ do reszty duszę romantycznego młodzieńca, która zraniona świeżo zdradą panny Flory, domagała się jakiegoś balsamu.

Murek jeszcze z tak dystygowaną i szykowną osobą nie rozmawiał. Byłby przysiągł, że co najmniej w balecie występować musi. Jednocześnie z tym przeświadczeniem przyszła mu genialna myśl napisania do tego bóstwa strzelistą odezwę w korespondencjach prywatnych *Kuryera*, z błaganiami o schadzkę w ogrodzie Botanicznym.

Byłby już dawniej taką suplikę wystosował tylko nie miał do kogo; bo te korespondencje prywatne zawsze go napępniały najżywszą zazdrością; każdy ich wyraz wydawał mu się tajemnym kluczem do jakichś zaczarowanych krain. Czytał na przykład:

— *Daktylowi*. Kocham Cię. Przybądź, bo umrę z rozpacz. Twoja na wieki

Figa.

Albo:

— *Zapalce*. Jeżeli oczy twoje nie kłamią, ogień, jaki w moim sercu zatliły, palić się będzie zawsze. Kiedy i gdzie? — Odpowiedz.

Cygaro.

Co to za szczęśliwi ci ludzie, którzy w ten sposób publicznie ze sobą rozmawiać mogą. To się dopiero nazywa szyk! To dopiero używanie!

Wystylizował tedy²¹⁹ z wielkim mozolem odezwę²²⁰ do *pięknej Nieznajomej z ulicy Widok*, podpisał się *Oleander*, bo mu się ten pseudonim nader wspaniałym wydał i czekał z gorączkową niecierpliwością odpowiedzi.

I doczekał się.

Róża odpowiedziała Oleandrowi, że przyjdzie „Szarą godziną”, no i dotrzyma słowa, jak na porządną Różę przystało.

Murek, dopędziwszy ją w uliczkę, chciał zaraz plany dalszej znajomości rozwijać, ale ona wytłumaczyła mu, że o wiele przyjemniej rozmawiać pod dachem, niż na wilgoci, a jeszcze przyjemniej przy pieczeniu i winie, skutkiem czego znaleźli się w restauracji Doliny Szwajcarskiej.

Murek raz tylko się zawahał, gdy wychodzili boczną furtką od Obserwatorium.

— A mój stary? — rzekł. — Jakże go tak zostawić? Może by lepiej wieczorem.

²¹⁸rozegzaltować — wywołać egzaltację, pobudzić. [przypis edytorski]

²¹⁹tedy — daw. zatem, więc. [przypis edytorski]

²²⁰odezwą — apel, zwykle pisemny, do społeczeństwa z wezwaniem do jakiejś akcji. [przypis edytorski]

Ale Róża musiała mieć inne plany na wieczór, albo też była bardzo głodna i pociągnęła go bez ceremonii.

— Co tam stary! — rzekła — poczeka. My młodzi nie możemy czekać.

I spojrzała mu w oczy tak obiecująco, że byłby poszedł za nią nie tylko do restauracji, ale do samej Ameryki, gdyby mu dane było wprzód²²¹ opróżnić biurko Skulskiego.

Nie pamiętał tak rozkosznej uczyty. Ale takie już było jego nieszczęście, że mu coś zawsze każdą satysfakcją zatruć musiało. Tamtym razem ów fałszywy brat, teraz ten stary. Co się rozochoci, kieliszkiem o kieliszek trąci, rączkę Panny Róży przez stół ściśnie, lub jej nóżkę pod stołem przydepcie, wnet jakiś głos szepce mu do ucha: Wracaj już! Wracaj! Stary czeka. Stary się niecierpliwi. Zupełnie jak gdyby kto jadł miód, a tu cały rój os brzęczy dokoła niego i ten biedak już sam nie wie czy jeść, czy się opędzać, czy rzucić wszystko do pioruna.

Parę razy Murek wstawał z determinacją.

— Trzeba już iść — mówił.

Na to jego towarzysza spoglądała najprzód z żalem na pełną jeszcze w połowie butelkę, a potem jemu w oczy.

— Jeszcze chwilkę — mówiła syrenim głosem i nalewała mu świeży kieliszek.

Ile razy się to powtórzyło i jak długo przeciągnęło, nie wiedział. Rozmarzony winem i spojrzeniem tej, co mu je nalewała, stracił zupełnie rachubę czasu.

Gdy wreszcie wyszli z restauracji, noc była czarna i deszcz gesty padał.

Na świeżym powietrzu Murek wytrzeźwiał raptem.

— Jezus Maria! — zawołał — Tom²²² sobie dał!

I chciał biec ku ogrodowi, ale przyszło mu na myśl, że tam przecież znalazł się ktoś taki, co starego zawiózł do domu. Przypuszczenie to było mu tym bardziej na rękę, że piękna Róża mieszkała w tamtych stronach, odprowadzi ją więc za jednym zachodem.

— Co tam! Kiedy wisieć, to już za obie nogi. Kwadrans wcześniej czy później, i tak stary skrzyczy go porządnie.

Poszli tedy razem prędko, a przez drogę nie tylko ułożyli się o następną schadzke, ale wspólnymi siłami usnuli historyjkę, mającą Murka przed pierwszym impetem gniewu starego zasłonić.

Ktoś go potrafił; on go odepchnął, zrobiła się burda; wzięto ich do cyrkułu²²³ i tyle czasu przetrzymano — albo to te lotry policjanty mają jakie wyrozumienie? Opowie to wszystko tak długo i szeroko, że staremu nie da dojść do słowa.

Mimo to, serce biło mu jak młotem, gdy wbiegł na schodki, bo spojrzawszy w okna, zobaczył, iż się nie świeci. Przeląkł się — nie tego, co się z biednym, niedołącznym starcem stać mogło, po tylogodzinnym czekaniu na deszczu i zimnie, ale co się z nim samym stanie za taki wybryk. Odpędzi go, ani chybi. To była jedyna jego troska, gdy drugim kluczem, jaki miał przy sobie, otworzywszy puste mieszkanie, wypadł z niego po chwili i pocałował z powrotem.

Ogród naturalnie był już zamkniętym. Bez namysłu przeskoczył niską furtkę i wpadł między czarne szkielety drzew.

Cisza dokoła panowała przejmująca, szybkie stąpania Murka rozległy się w niej jakimś niemiłym chlupoczącym dudnieniem. Woda w kałużach przebłyskiwała czarno.

Chłopak dopadł do wózka i włosy dębem stanęły mu na głowie, gdy zobaczył puste, przemokłe od deszczu siedzenie.

— Jezus Maria! — krzyknął po raz drugi, i przestraszył się własnego głosu.

Co się z tym starym zrobiło? Czy go diabli żywcem porwali?

Dygocąc z dziwnego wzruszenia, jakiego nigdy dotąd nie doświadczył, puścił się na poszukiwania.

Niedługo to trwało. Bystre jego oczy rozróżniły na ziemi czarną jakąś masę, w której domyślił się swego pana.

— Zemdlał dziad — pomyślał, przyspieszając kroku — potrzebnie mu było z wózka wylazić. To dopiero cholera!

Pochylił się, dźwignął go za ramiona i wrzasnął przeraźliwie.

²²¹wprzód — najpierw. [przypis edytorski]

²²²tom — dziś: to sobie. [przypis edytorski]

²²³cyrkuł — komisariat policji państwowej. [przypis edytorski]

Chłód śmierci go zalecał; bielmem zasze, nieruchome oczy lysnęły blade z pośród zastylej w kontorsjach²²⁴ konania twarzy.

Rozległ się znowu plusk. To Murek opuścił trupa w kałużę na powrót, a sam zaczął uciekać jak szalony. Zimny pot spływał mu kroplami po rozognionych policzkach; zgroza, wstręt, przerażenie, ściagały go jak furie przez ten ciemny, najeżony gołymi drzewami, szumiący deszczem ogród.

Zdawało mu się, że lada chwila jakaś zimna trupia ręka chwyci go za ramię; jakieś bielmem zasze oczy lysną nań okropnie.

W alejach dopiero ochłonął nieco i zwolnił kroku. Zaczął zbierać myśli i zastanawiać się nad swoim położeniem.

Nie zdejmowała go litość nad tym ludzkim życiem, co tak nędznie w kałuży brudnej wody zgasło, ani ogarniał żal nad trupem człowieka, który był jego dobroczyńcą, który jego jednego kochał, a którego w poniewierce, na błocie, pod gołym, zadeszczonym niebem zostawił.

Niechby tam leżał i gnął aż do sądnego dnia, ale to bieda, że go zaraz jutro znajdą, a jak znajdą, będzie śledztwo, ambaras²²⁵... gotowi jego jeszcze posadzić, wziąć do więzienia i skazać niewinnie. Boć on nie winien śmierci starego, sumienie mu nic nie wyrzuca; zresztą nie ma czasu na słuchanie tego nudziarza. Tu o ważniejsze rzeczy chodzi. Co tu począć?

I szedł coraz wolniej; nagle stanął i uderzył się w czoło.

Uczucie srogiego pokrzywdzenia opanowało go teraz wyłącznie. Jego, Murka, wsadzą do ciupy²²⁶, a pieniądze wezmą jacy krewni, bo się zawsze znajdują, choćby z pod ziemi wyrósł mieli, gdy jaki bogacz umrze; albo szpitale, gdyż i to diabelstwo tylko na takie spadki czyha. Nie! Tyle niesprawiedliwości stać mu się nie może. Byłby głupi, gdyby do niej dopuścił. Wszak raz już sobie powiedział, że jak wisieć, to za obydwie nogi. A może się i uda?

I udało się — gdyż poszukiwania policji, przedsięwzięte wskutek znalezienia trupa Skulskiego w ogrodzie Botanicznym i popełnionej teje nocy w mieszkaniu denata kradzieży przez odbicie biurka; poszukiwania w celu trafienia na ślad jego lokaja Maurycego, podejrzanego o podwójną zbrodnię, nie doprowadziły do żadnego rezultatu.

Sekcja wykazała śmierć przez uduszenie przypadkowe, bez udziału gwałtu; Murek wraz z pieniędzmi przepadł na zawsze.

O Skulskim wspominali czasami tylko ci, którzy w nim stracili żywy zegarek. Serca nikt w nim nie stracił. Drętwe przez całe życie, spłaciło swój dług pod koniec nieprawemu wierzycielowi i zastygło, przeszedłszy straszliwe tortury, których nie było się komu domyślać; bo nie ma okrutniejszej Nemezys, niż miłość pod jaką bądź postacią, kiedy się mści za swe zapoznane prawa.

WYMARZONE SPOTKANIE

I

Powiedzieli sobie przed chwilą, że się kochają, a teraz milczą oczarowani i zdziwieni własną otwartością.

Oboje są bardzo młodzi i bardzo poetyczni; dlatego też wyznanie to nie łączy się w ich pojęciu z obowiązującymi je światowymi następstwami; mianowicie: z uroczystą zamianą pierścionków, przy mówce księdza proboszcza i rozrzewnieniu całej rodziny, z urządzeniem domu, z wyprawą i sprzeczkami o dzień ślubu.

Prawdopodobnie nawet nie pobiorą się nigdy.

„On” ma silnie zadłużoną wioskę, na której po wczesnej śmierci papy dobrodzieja, gospodaruje niżej krytyki z Wirgiliuszem w rękę, a doświadczeni sąsiedzi przepowiadają mu, że niechybnie za lat kilka wyleci; wobec czego „Jej” mały posażek przedstawia się jak tępy scyzoryk, którym z wielkim trudem można by wyskrobać jeden zaledwie numer

²²⁴kontorsja — grymas twarzy. [przypis edytorski]

²²⁵ambaras — daw. kłopot sprawiany przez jakąś osobę lub rzecz albo trudna, przykra sytuacja. [przypis edytorski]

²²⁶ciupa — pot. więzienie. [przypis edytorski]

z zacernionej hipoteki, podczas gdy „Jemu” trzeba gwałtem dobrze nasyconej gąbki, która by wszystko od jednego zamachu zatarła.

„Ona” znów nie jest ambitną — którąż²²⁷ nią jest w osiemnastym roku życia? — ale jej matka posiada tę zaletę za siebie i za nią, i wynalezienie świetnej partii dla córki stanowi od dwóch lat wyłączny przedmiot jej marzeń i zabiegów.

W tym celu także „Ona” wysłaną została do wujostwa na wieś, gdyż o trzy mile od nich mieszkał kolosalnie bogaty właściciel dziesięciu folwarków i pałacu z angielskim parkiem.

Był niezonaty i nabożny — i co niedziela słuchał sumy w parafialnym swoim kościele, do którego przyjeżdżali też „Jej” wujostwo.

Jaka doskonała sposobność!

„Ona” posiadała jedne z tych twarzyczek, którym podniesione oczki i splecione modlitewnie rączki dodają niewysłowionego uroku. Właściciel dziesięciu folwarków spojrzyna „Nią” podczas kazania; zapowiedzi, wygłaszane z ambony, naprowadzą go na patriarchalne myśli... przyjdzie mu ochota odwiedzić sąsiadów i wszystko się cudownie ułoży.

Ale mama i wujenka „Jej”, układając ten plan pomysłowy, zapomniały, iż nie tylko bogaci właściciele jeżdżą do kościoła i przyglądają się wzniesionym pobożnie błękitnym oczkom; lecz, że może się to równie dobrze wydarzyć młodzieńcowi z obdużoną wioską a wrażliwym sercem.

Jakoż wydarzyło się.

I „On” był także bliskim sąsiadem wujostwa, i „Jego” napadła żywa chęć odświeżenia sąsiedzkich stosunków.

Jedna przechadzka po ogrodzie, jedna gałązka jaśminu, upuszczona przez „Nią”, a podniesiona przez „Niego”, króciutkie sam na sam przed herbatą na ganku, podczas, gdy w stawie rechotały żaby, a z pod lasu odzywały się derkacze²²⁸, jedno dotknięcie ręki na pożegnanie — to wszystko!

„On” rozmarzony odjechał; „Ona” rozmarzona została.

I zobaczyli się znowu w kościele, a potem przypadkiem na polu, a potem jeszcze przypadkiem w lesie.

Cóż przez ten czas robił właściciel dziesięciu folwarków?

Chorował — leżał w jednym z dwudziestu trzech pokojów swojego pałacu, a kamerdyner z lokajem odmieniali mu przepisane przez doktora okłady z lnianego siemienia.

Po upływie trzech tygodni, wujenka widząc, że jedna znajomość zawiodła, a druga mogłaby stać zbyt ścisłą, postanowiła odwiedzić siostrzenicę do matki, do Warszawy.

Są więc teraz na stacji kolei w komplecie wujaszek, wujenka, dwoje ich dzieci, „Ona” i odprowadzający ich „On”.

Przyjechali wiejskim obyczajem, na półtorej godziny przed odejściem pociągu; dzieciom nudno w małej, pasażerskiej salce, wyciągnęły więc siostrzyczkę do ogródka, a „On”, korzystając z zajęcia się wujenki²²⁹ pudełkami, pośpieszył za nimi i oto, gdzie nastąpiło wyznanie.

Ogródek jest mały i skąpo zacieniony. Południowe słońce dogrzewa, jak to jest jego obowiązkiem w lipcu — ale „Oni” nie uważają na to.

Usiedli na ławeczce pod okwitłą akacją; dzieci ich odbiegły — są sami!

To usposabia przedsiębiorczo „Jego”. Sięga po małą rączkę, która leży drżąca na podróźnej, popielatej sukience i — kto by przypuścił tak realistyczną śmiałość w tym niebieskookim, kompromitującym bladym, jak na obywatela marzyciela? — ściąga z niej zamszową rękawiczkę.

Jednakże w połowie roboty przerywa ją sobie. Czy się zawstydził? Bynajmniej.

Różowa miękka dłoń błysnęła mu w słońcu, więc utonął w niej ustami, przytrzymując wyrwijące się dosyć wprawdzie słabo paluszki.

— O! Proszę, puść pan moją rękę — szepcze panienka.

— Kocham cię! — odpowiada młodzieniec za całe usprawiedliwienie.

Spoglądają sobie w oczy.

²²⁷któraż — wzmocnione „która”. [przypis edytorski]

²²⁸derkacz — ptak o rdzawobrnatnym upierzeniu i charakterystycznym terkoczącym głosie. [przypis edytorski]

²²⁹wujenka — żona wujka. [przypis edytorski]

O! Dziecięco naiwne szczęście chwil takich, w których zetknięcie się dwóch dłoni spotkanie dwóch par źrenic wystarczą, aby się stać całym poematem miłosnego wzruszenia!

Później... później... tępięją nerwy; namiętne uściski i palące pocałunki nie dają już tego, co dało owo pierwsze, niepowrotne wrażenie budzących się tajemniczych prądów.

„Jemu” zdaje się, że gdyby zamiast na tej twardej, osłonecznionej ławce, znalazł się w tej chwili na przykład w lesie i mógł tę dziewczęcą postać objąć w pól i przytulić do siebie, to — doprawdy — nic piękniejszego nad to życie by mu już dać nie mogło; „Ona” zaś siedząc wyprostowana i patrząc niespokojnie, z poza którego krzaka wypadnie para niesfornych pociech wujostwa, myśli, że móc oprzeć głowę na „Jego” ramieniu i utonąć tak w cichej zadumie, byłoby szczytem zuchwałej lecz rozkosznej poufałości.

Szczęśliwi!

Wtem rozlega się świst lokomotywy.

Młodzi ludzie wzdrygają się, jak ze snu zbudzeni.

— Pociąg nadchodzi — szepcze „Ona” ze smutkiem.

— To jeszcze nie ten — uspokaja ją młodzieniec — jeszcze pół godziny czasu.

Pół godziny razem! A potem ileż godzin, ile dni, ile tygodni z osobna? Kiedyż się znów zobaczą? — Może nigdy. — Są jeszcze w tym wieku, w którym melancholia ma dla nas większy powab niż wesołość, lzy płynące po cichu bardziej nęcą, niż zdrowy, głośny śmiech, a udręczenia miłości przejmują pewną słodką dumą.

Może więc nie zobaczą się już nigdy. „On” nie pośpieszy za nią, oświadczyć się mamie dobrodziejce, „Ona” się tego wcale po nim nie spodziewa. Kochają się — alboż to nie wystarcza? Umówią się o której godzinie każdego dnia jednocześnie o sobie pomyślą; obiorą sobie jaką wspólną gwiazdkę; może nawet będą do siebie pisywać!

Ten ostatni pomysł, jako bardziej liberalny, wychodzi od niego.

„Ona” zaproponowała gwiazdkę — „On” listy.

Zrazu²³⁰ usłyszał odmowną odpowiedź: mama by się gniewała! — zobaczono by w domu — nie można.

„Jego” to nie zraża. Będzie pisywał *poste-restante*²³¹ pod zmienionym adresem.

Boże! Któraż osiemnastoletnia dziewczeczka oparłaby się podobnej pokusie? Wszak odebranie jednego takiego listu pasuje na bohaterkę romansu. Jaki urok tajemniczości otacza osobę, która ma prawo rozerwać kopertę nie pod jej nazwiskiem zaadresowaną.

Więc zgoda! Będą pisywać do siebie skrycie. „On” jej przyśle kiedy niekiedy wiersz jaki, przetłumaczył tak ślicznie: *Deine weissen Lilienfinger* Heinego, a „Ona” tak lubi poezję!

Tymczasem pociąg, zatrzymawszy się kilka minut na stacji, odchodzi i długi wąż wagonów z unoszącym się nad nim brudno opalowym okrętem dymu, przesuwa się szybko przed ich oczyma.

Oni patrzą za nim i myśl jednaka rozpala ich młode wyobraźnie.

— Czy wie pa... czy *wiesz*, najdroższa, czego ja bym pragnął najbardziej w tej chwili? — pyta „On” (mówi już do niej „ty”, a nawet popisuje się rad z tą poufałością).

— Czego? — odszeptuje panienka nieśmiało, rumieniąc się ogromnie na myśl, że może tego samego, co ona.

— Oto, żebyśmy mogli tak pojechać tym pociągiem, razem, we dwoje tylko, daleko... daleko... Ach! Jaka piękna musi być taka podróż!... Jak piękne życie tych, którzy w ten sposób podróżować mogą...

— Prawda — odpowiada „Ona” w rozmarzeniu — ale to niemożliwe.

Byłoby możliwe, gdyby wzięli ślub, a wówczas nikt by im nie bronił jechać we dwoje, choćby na koniec świata, ale kto wie, czy ta legalność podróży nie odjęłaby jej połowy uroku.

Tęsknota, Miłość

²³⁰*zrazu* — daw. początkowo. [przypis edytorski]

²³¹*poste-restante* — sposób wysyłki polegający na dostarczeniu przesyłki pocztowej lub przekazu pocztowego pod adres dowolnego urzędu pocztowego, wygodny dla odbiorcy, zamiast pod jego adres. Nie musi to być urząd „właściwy” miejscu zamieszkania, nie musi to być nawet urząd w miejscowości, w której mieszka. [przypis edytorski]

Za to myśl sama, jako nieureczywistniona chimera²³² nie przestaje ich czarować. Krąży uparcie w ich rozmarzonych głowach, gdy wracają z wolna do pasażerskiej sali, gdzie ich wita chmurne spojrzenie wujenki i gruby śmiech wujaszka; krąży nawet w ostatniej chwili, gdy „On” podał już wszystkie pudełka do wagonu, a „Ona” spuściła nieznacznie rączkę przez okno zatrzaśniętych już drzwiczek, aby mógł po raz ostatni uścisnąć.

Zadzwoniono; lokomotywa świsnęła, biała chusteczka powiała w powietrzu i „On” pozostał sam na platformie, na której robi mu się nagle pusto, jak Robinsonowi na bezludnej wyspie. Nawet kłótnia dwóch tragarzy i szwargot kilku Żydów, flegmatycznie oczekujących towarowego pociągu, nie są w stanie odebrać mu tego rozpaczliwego złudzenia bezbrzeżnej samotności.

Jak jednakże los umie być ironicznym! Oto „On” dałby w tej chwili połowę życia za to szczęście, którego „Jej” wujostwo i ich dzieci dostąpili za pospolitą cenę kolejowych biletów.

Jadą z „Nią” razem! Z tą jego ukochaną, wymarzoną! Ach! Jak „Ona” na niego spojrziała w ostatniej chwili... Nie przypuszczał, aby ludzkie oczy tak smutnie i wymownie patrzeć umiały...

Wuj zapewne niezadługo chrapnie, wujenka, wylajawszy²³³ ją za ogródkową eskapadę, uczyni to samo; dzieci były już na wpół śpiące, gdy je wsadzał do wagonu.

A „On”? Nie spałby z pewnością dziesięć nocy z kolei, gdyby był na ich miejscu.

I przez całą drogę z powrotem do swej zadłużonej wioski marzy o tym, co by robił, gdyby tak był na ich miejscu.

Kto wie? może kiedyś spełnią się jego pragnienia — tyle nieprawdopodobieństw dzieje się na tym świecie! — od czasów Szekspira niejeden umysł byłby zrobił to odkrycie — może więc w ten lub ów sposób, znajdzie się kiedyś z „Nią” w wagonie, sam na sam, w noc letnią, księżycową, choćby na godzin parę, na jedne, i choćby za lat kilka, za dziesięć!... Alboż czas stanowią tu jaką zmianę?

Czuje, że potrafiłby wyzyskać najpoetyczniejsze strony tej sytuacji; okazałby się idealnym kochankiem, namiętne swe porywy wycieniowałby tymi subtelными, delikatnymi szczegółami, które tak oczarowują miękką, kobiecą naturę. Mówiłby „Jej” o swej miłości, klęcząc przy niej na dywaniku, (jeczaliby pierwszą klasą), otulałby ją szalem, aby się nie zaziębiła i całował jej drżące rączka...

Za drugą stacją byłby już śmielszym.

Zapytałby ją, czy nie jest znużona i siadłszy przy niej, ramieniem otoczyłby jej kibić. Usuwałaby się, wie o tym — alboż nie zna jej anielskiej wstydlivosti? — ale właśnie oswojenie takiej trwożnej gołąbki tym ponętniejszym mu się wydaje.

Księżyc świeciłby prosto w okno wagonu i kładłby się na aksamicie fotelów. Złote iskry przetykające festony²³⁴ dymu, tańczyłyby w powietrzu, opadając cicho i gasnąc na milczących, zamglonych lekko polach.

I oni milczeliby długą chwilę, unoszeni w przestrzeń równą, niezmordowaną siłą pary, która daje tę pewność biegu bez przerwy i zmiany, jaką najdzielniejsze rumaki nie są w stanie natchnąć. Świat zaglądałby im w oczy przelotem i uciekałby natychmiast, zostawiając ich samych... tylko z miłością.

„Ona” byłaby trochę zmęczoną doznany mi wzruszeniami, trochę senną... główka zaczęłaby jej się słaniać... słaniać, aż opadłaby mu na ramię. „On” by ją wtedy delikatnie ułożył przy swym sercu, czuwałby nad jej snem, wpatrzony w jej cudną, osrebrzoną księżycem twarzyczkę, na którą padałyby długie cienie rzęs jedwabistych. A potem?... No, potem, musiałaby się przecież obudzić, a że ze snu nie od razu się przytomnieje, więc mogłoby i tak być — co zresztą „On” uważa za najśmielszą hipotezę w tym szeregu przypuszczeń — że zarzuciłaby mu rączki na szyję, usta ich zbliżyłyby się do siebie powoli... powoli... aż spotkałyby się w pierwszym, upajającym pocałunku...

Wszak powiedziałam, że „On” jest jeszcze bardzo młodym? Nie zachłysnął się dotąd żadnym nektarem życia, nie miał romansu z mężatką, nie był w buduarze²³⁵ żadnej ak-

²³²chimera — mit. gr. potwór ziejący ogniem, o postaci lwa z głową kozy i wężem zamiast ogona. [przypis edytorski]

²³³wylajać — ostro kogoś zganić. [przypis edytorski]

²³⁴feston — motyw dekoracyjny w kształcie półwieńca. [przypis edytorski]

²³⁵buduar — daw. pokój pani domu służący do odpoczynku. [przypis edytorski]

torki, żadna nawet Ulana nie wplotła się epizodem sielskim w jego dwudziestodwuletnią przeszłość.

Nie dziw więc, że ten obrazek, którego naiwność rozśmieszyłaby może bardziej doświadczonego w tych rzeczach, „Jemu” wszystką krew do głowy popędza i napelnia mu piersi uczuciem jakiejś obezwładniającej rozkoszy.

A tymczasem „Ona” zasunąwszy się w kącik wagonu, roi²³⁶ także i duma.

Zaledwie słyszy, co jej mówi wujenka o niewłaściwości przechadzek z młodymi ludźmi, które do niczego doprowadzić nie mogą.

Do niczego? Alboż nie doprowadziły jej do tej zaczarowanej krainy, do której aby zrzec choć przez szparę, wspinała się jeszcze na pensjonarskich paluszkach, po grzbietach czytanych ukradkiem romansów? Alboż nie doprowadziły jej do usłyszenia tego zaklętego słowa „kocham”, które dźwięczy jej jeszcze w zaróżowionych uszkach i dźwięczec będzie — jak sobie wyobraża — zawsze.

Dobrze tak mówić wujence!... Przy takim opasłym, pocziwym, sapiącym wujaszku, można zupełnie sprozaicznąć.

Przypomina sobie, jak wymownym był „Jego” wzrok, kiedy ją pytał, patrząc za odchodzącym pociągiem, czy wie, czego najbardziej pragnąłby w owej chwili? Pragnienie było bardzo zuchwałe — dziwi ją to nawet, że się zapomniała obrazić — ale bo też oszołomiło ją zupełnie.

Co za myśl!

Znaleźć się zamkniętą w takim ruchomym domku jak wagon, sam na sam z młodym, kochającym i kochanym mężczyzną!

W dzień jeszcze pół biedy — ale wieczorem? A jednak — wieczór i to księżycowy i letni jest tu nieodbycie²³⁷ potrzebnym, jeżeli sytuacja ma być prawdziwie romantyczną.

Zrazu²³⁸ zdaje jej się, że po prostu umarłaby z nadmiaru wzruszenia i wstydu. A przecież — takie rzeczy zdarzają się... Wszystkie młode mężatki — tak; tylko, że „Ona” nie myśli o „Nim” jako o swoim mężu; zna życie jedynie z romansów, a mężowie w roman-sach zawsze prawie przedstawiają się niekorzystnie. „On” straciłby trzy czwarte swojej aureoli, gdyby wsiadł z nią do wagonu, mając ślubną obrączkę na palcu.

Może by ich jeszcze krewni i znajomi odprowadzali na kolej? — A! Nie! — „Ona” nie o takiej śni podróży. Tajemniczość i niezwykłość, to dwie najważniejsze ingrediencje²³⁹ poetycznych sosów, jakimi osiemnastoletnie wyobraźnie zaprawiają ucztę życia.

Przymyka więc oczy i zaczyna sobie przedstawiać swoje zachowanie względem „Nie-go” w tej podróży. O! Bo w tak wyjątkowych okolicznościach, musiałaby być nadzwyczaj oględna! Z początku, na przykład, nie pozwoliłaby mu się nawet wziąć za rękę. Zmierzyłaby go wyniosłym spojrzeniem, gdyby się ośmielił nazwać ją po imieniu. Co innego w ogródku i w dzień, a co innego w wagonie i wieczorem. Wskazałaby mu miejsce naprzeciwko siebie i rozmawialiby czas jakiś półgłosem, patrząc w księżyc, o uczuciach, przeznaczeniu i innych pięknych rzeczach. Potem „On” ukląkłby przed nią — po kochankach zawsze się tego spodziewać należy — a że w tej chwili właśnie, rozespany cioteczny braciszek, bez ceremonii położył jej głowę na kolanach, marząca panienska zaczyna bawić się z włosami chłopczyka, wyobrażając sobie, że tą poufałą pieszczotą obdarza „Jego”.

Natychmiast przecież rumieni się tak gwałtownie, że wujenka, śledząca ją z pod oka, pyta zaniepokojona, czy jej niedobrze i czy się nazbyt nie docisnęła gorsetem?

— Oj te gorsety! — odzywa się z kąta na wpół drzemiący wujaszek — Na kiego²⁴⁰ licha robić z siebie osę w pasie? Kobieta i bez tego do niej podobna.

— Mój kochany — robi mu uwagę obrażona trochę małżonka — nie bądź taki dowcipny!

Przerwany w ten sposób na chwilę wątek marzeń, nawiązuje się dalej: „Ona” czuje, że tym gładzeniem włosów uzuchwiliłaby go do wysokiego stopnia. Gotów by ją chcieć nawet pocałować! Ale to nie. Powiedziała mu z taką godnością: „O! panie!” , że zawstydzony musiałby ją znowu na klęczkach przeprosić. „Ona” mimo to, przez cały kwadrans

²³⁶roić — myśleć, marzyć o czymś. [przypis edytorski]

²³⁷nieodbycie — nieodzownie, nieodparcie. [przypis edytorski]

²³⁸zrazu — daw. początkowo. [przypis edytorski]

²³⁹ingredienca — składnik mieszaniny. [przypis edytorski]

²⁴⁰na kiego — dziś: po co. [przypis edytorski]

obchodziłaby się z nim bardzo surowo, aż wreszcie zmiękczona niema prośbą jego pięknych oczu, okazałaby się wspaniałomyślną i, i...

A przez ten czas pociąg pędzi szybko i bryczka turkoczająca tam, na wyciągniętym w bok stacji gościńcu, żwawo się też toczy. Każda sekunda zwiększa przestrzeń pomiędzy „Nią” a „Nim”.

Ale myśli ich krążą wciąż przy sobie i tęskne pragnienie wymarzonego spotkania zespala ich duchy.

Może się kiedyś spotkają?

II

Nocny pociąg do Granicy odejść ma za kilka minut.

Zadzwoniono po raz drugi.

Na platformie w Skierniewicach gwar, bieganina i tłok w pobliżu relsów²⁴¹. Dawniejsi pasażerowie śpieszą z dojadaniem butersznitów; nowi szukają miejsc.

O te ostatnie bardzo trudno.

Początek lipca naładował wagony nadpsutym, ludzkim towarem, jaki niszczycielka zdrowia, Warszawa, wysłała co roku do różnych kąpiel i zakładów leczniczych, aby się tam podreparował i służył jej znów przez dziesięć miesięcy głową, rękami, nogami, wszystkim.

Skierniewice dostarczają nowego kontyngensu²⁴² tej lekko szpitalnej załodze. Obywatele z rawskiego, kutnowskiego, łączyckiego i stron dalszych, z tego dworca zwykle wyprawiają swe żony po silniejsze nerwy i córki po konkurentów do Szczawnicy, Krynicy lub Francensbadu; albo też śpieszą sami zaprezentować swe okazałe kształty i przykopczone słońcem policzki na promenadach Karlsbadu i Marienbadu.

Rozczulenie unosi się w przejrzystym, letnim powietrzu; odgłosy pocałunków mieszają się z turkotem bagażowych wózków; ostatnie polecenia żegnających i żegnanych, krzyżują się najdziwaczniej pomiędzy sobą:

— A ucałuj Kazię ode mnie!

— Wiedeń, poste-restante²⁴³, pamiętaj!

— Pozdrów żonę Karola!

— Tylko się nie zazięb, mój złoty!

— Donoś, co w domu... itd.

Na jedną chwilę przecież całą tę wrzawę zagłusza potężny, basowy głos wysokiego szlachcica, który z rozwianą na wiatr płócienną delią²⁴⁴ i pudełkami na każdym palcu, pędzi wzdłuż wagonów, ciągnąc za sobą zadyszana, otyłą kobietę z czterema parasolkami w jednej ręce i woła:

— Gdzież damskie *kupe*²⁴⁵? (z akcentem na pierwszej sylabie i szerokim jak wrota *e*), czy nie ma miejsca w damskim *kupie*? Panie konduktorze! Gdzież *kupedla* dam?

Wołanie to, któremu także śpieszno, rozlega się tuż przy drzwiczkach przedziału dla niepalących i budzi drzemiącego w nim jedyne go pasażera.

Jest to widocznie człowiek dbający bardzo o swoje zdrowie i wygodę. Pomimo lipcowego ciepła i ciszy, uszy nabił jak armaty dwiema kulami z bawełny, pod głowę położył nadymaną poduszkę, zapiął paltot angielski na wszystkie guziki, a nogi, wyciągnięte na siedzeniu, okrył grubym pledem.

Przyćmione światło wagonowej lampki pada na jego twarz żółtawą i zmęczoną, którą wyraz cierpkiego niezadowolenia i chorobliwej drażliwości przedwcześnie postarzył. Jasne, długie i rzadkie włosy przylegają mu do spoconych skroni, wysuwając się z pod angielskiej, podróżnej czapeczki.

— Panie konduktorze! Damskie *kupe*, na miłosierdzie boskie — powtarza zrozpaczonego szlachcic. — Niechby już dla niepalących. Moja żona dymu nie znosi.

²⁴¹relsy — szyny kolejowe. [przypis edytorski]

²⁴²kontyngens — określona liczba wojska, którą dawniej miało obowiązek wystawić dane państwo, miasto itp.; też: obowiązkowy podatek płacony przez nie na rzecz wojska. [przypis edytorski]

²⁴³poste-restante — sposób wysyłki polegający na dostarczeniu przesyłki pocztowej lub przekazu pocztowego pod adres dowolnego urzędu pocztowego, wygodny dla odbiorcy, zamiast pod jego adres. Nie musi to być urząd „właściwy” miejscu zamieszkania, nie musi to być nawet urząd w miejscowości, w której mieszka. [przypis edytorski]

²⁴⁴delia — dawny wierzchni ubiór męski, podbity futrem. [przypis edytorski]

²⁴⁵kupé — (z fr. coupé) czteroosobowy przedział w wagonie. [przypis edytorski]

— Wszystkie zajęte; trzeba siadać gdzie można — odpowiada biegnący z latarką konduktor.

— Dobre sobie. Niby to moja żona... a cóż to? Tutaj całe *kupe*²⁴⁶ puste! — i przy tym wykrzykniku potężna głowa obywatelska zatarasowała całe okno przedziału, który zajmuje samotny podróżnik.

Ten całkowicie rozbudzony podnosi się z siedzenia z niecierpliwym syknięciem, a poszukiwacz damskiego *kupe*, przypuszcza szturm do drzwiczek.

— Przepraszam pana, ten przedział zajęty — odzywa się z wewnątrz głos, drżący nerwowym rozdrażnieniem.

Szlachcic ani myśli na to zważać.

— Panie konduktorze — krzyczy na cały głos — co to za porządek u stu diabłów? Jedni na czterech miejscach siedzą, a dla drugich żadnego nie masz. Słyszane rzeczy!

— Ignasiu! Nie rób scen — odzywa się flegmatycznie otyła dama.

— Ależ moja dusiu!... Otwieraj no pan, panie konduktorze, bo jak mi Bóg miły, do książki zażaleń pójde.

Schwytany za ramię konduktor tłumaczy się, że ten pan prosił, aby nikogo nie wpuszczać, bo jest chory i potrzebuje spokoju.

— Aha! Rozumiem... No, ale i ja proszę — i tu ręka szlachcica zagłębia się w przepaścistą²⁴⁷ kieszeń delii — i moja żona jest także chora i tego —

Prośba musiała być skuteczną, bo drzwiczki otwierają się i wśród ostrej interpelacji dotychczasowego właściciela przedziału i usprawiedliwień zakłopotanego konduktora, wsuwają się do wnętrza najprzód cztery parasolki, a potem bujne kształty niestarej jeszcze i niebrzydkiej kobiety.

Podróżny jest tak zirytowany, iż nie poczuwa się nawet do pewnego obowiązku grzeczności pomożenia damie w układaniu bagaży, a tylko zapakuje szczelniej uszy watą i syka znowu.

— Przepraszam pana — odzywa się uprzejmie otyła pani, gdy jedno z jej pudełek zsunęło się na jego elegancki sakwojaż²⁴⁸.

Podróżny milczy.

— A roztasuj²⁴⁹ się wygodnie dusiu — upomina mąż, podając jej rozmaite manatki²⁵⁰ — miejsca dosyć. — I spogląda z tryumfem na tego, który mu tu śmiało bronić wstępu. Oho! Szlachta sobie nie da imponować.

Cała ta scena odbywa się w ciągu czterech minut. Teraz zaczynają się pożegnania.

Małżonkowie całują się bardzo rześście i bardzo głośno, jak przystoi na ludzi otyłych i fizyczne rozwiniętych, którzy bywają zwykle hałaśliwi w objawach swoich uczuć.

Blady podróżny spogląda na to z niesmakiem z pod wółprzymkniętych powiek. Drażni go ta wymiana sentymentów, ze względu na otwarte drzwiczki, gdyż obawia się przewiewu.

Trzeci dzwonek kładzie tamę dalszemu rozczuleniu.

— A pamiętaj Ignasiu, żebyś nie zapomniał — odzywa się jeszcze przez okno pani i ten zagadkowy frazes jest ostatnim, jakim ta flegmatyczna Sybilla żegna swego cholerycznego Numę.

Pociąg rusza. Sykający podróżny wraz z narzuconą mu towarzyszką zostają sami. Księżyc ukryty dotychczas za dworcem, składa im przez okno srebrzystą wizytę.

Księżyc ma sympatię do podróżujących par; wie, że on tylko jeden na świecie ma ten przywilej, że słodkiemu „we dwoje” nie przeszkadza, owszem, witany bywa z upragnieniem. Tutaj przecież przyjmują go obojętnie. Pani porządkuje i liczy swoje pudełka i koszyki, zdejmuje kapelusze i rękawiczki i ukradkiem rozpina stanik pod okrywką²⁵¹, aby jej lżej było oddychać, sąsiad jej zaś w przeciwny kąt wagonu zasunięty, kręci się i poprawia, nie mogąc utrafić na równie wygodną pozycję, jak ta, którą poprzednio zajmował.

²⁴⁶*kupe* — (z fr. coupé) czterosobowy przedział w wagonie. [przypis edytorski]

²⁴⁷*przepaścisty* — bardzo głęboki, bez dna. [przypis edytorski]

²⁴⁸*sakwojaż* — torba podróżna, walizka. [przypis edytorski]

²⁴⁹*roztasować* — ulokować się gdzieś. [przypis edytorski]

²⁵⁰*manatki* — pakunki, rzeczy osobiste, które się ze sobą zabiera w drogę. [przypis edytorski]

²⁵¹*okrywka* — wierzchnie okrycie, narzutka. [przypis edytorski]

To go doprowadza do ostatecznej irytacji.

Przekłeta baba. Ale bo też, co się będzie dla niej krępował.

— Wybacz pani — odzywa się po chwili, wyciągając w całej długości nogi na pustym siedzeniu.

— Nic nie szkodzi — odpowiada ona z niezachwianą, dobroduszną flegmą²⁵².

Uważa przecież, iż okoliczność ta upoważnia ją do zawiązania rozmowy, gdyż nie mając nic wspólnego z braminami²⁵³, nie lubuje się w kontemplacyjnym milczeniu.

— Pan zapewne na kurację?

— Tak jest, pani.

— A dokąd, przepraszam że zapytam?

— Do Steinerhofu.

— To tam, gdzie leczą zimną wodą? — ponawia pani, patrząc z pewnym niepokojem na tonącą w półcieniu bladą twarz swego towarzysza. Zimna woda łączy się widocznie ściśle w jej pojęciu z umysłowymi cierpieniami, a wygórowana lekliwość, właściwa otyłym kobietom, nasuwa przypuszczenie, iż trafiła na początkującego wariata.

— Tak jest, pani.

— A ja do Tepplitz.

Towarzysz milczy, gdyż co najwyżej mógłby jej na to odpowiedzieć, że go to nic nie obchodzi.

— Pierwszy raz jadę bez męża — ciągnie dalej pani, biorąc na siebie koszta podtrzymanie rozmowy. — Jak to przykro samej kobiecie podróżować, zwłaszcza za granicą.

On unosi się z lekka na siedzeniu, jakby ją chciał zapytać, kiedy mu da pokój; po czym z nią rezygnacją opuszcza się znów na wydymaną poduszkę.

Kobieta zaczyna wachlować chusteczką swe pełne policzki, wśród których świecą oczy błękitne i rysuje się wzdęty tuszą, a przed dziesięciu laty zapewne kształtny nosek. Wzrok jej zatrzymał się z zazdrością na okrytych pledem kolanach przyszłej ofiary hydropatii²⁵⁴. Szczęśliwi ludzie, którym bywa zimno! Ona jest zawsze spotniała²⁵⁵.

— Czy to panu nie zaszkodzi, jeżeli otworzę okno — pyta grzecznie. — Tak tu gorąco!

— Skoro pani sobie życzy — odpowiada tamten z umiarkowaną uprzejmością, podciągając pled pod brodę.

Ale okno nie daje się spuścić.

Cierpki sybaryta²⁵⁶ patrzy czas jakiś na mozolenie się swej towarzyszki z upartą szybą, wreszcie zrywa się z miejsca i podchodzi do niej, wlokąc pled za sobą.

— Niechże pani pozwoli!

Ją po raz pierwszy coś w dźwięku jego żywszego trochę głosu uderza.

Spogląda na niego bystro. Księżyc prosto w twarz mu świecący, rzeźbi jak najdokładniej każdą linię jego kształtnych, lecz zwiędłych rysów. Są one jedne z tych, które się niełatwo zapominają, zwłaszcza jeżeli się ma pewne powody, aby je pamiętać.

Powody te muszą tutaj istnieć, bo o ściany wagonu obija się lekki okrzyk zdziwienia.

— Przepraszam. Wszak pan * * *?

Na dźwięk wymówionego nazwiska, ten, który widocznie jest jego właścicielem, odwraca się z żywością.

— Tak jest, pani. Z kimże mam zaszczyt...?

— Pan mnie nie poznaje?

Z kolei i on baczej na nią spogląda. I ją także oświeca księżyc, ale błękitne jej oczy nic jemu nie mówią. Może dlatego, iż się skryły w takich głębinach tłuszczu...

— Doprawdy, zawstydzony jestem; ale...

— Musiałam się bardzo zmienić! Nic dziwnego, piętnaście lat dla kobiety — Ale pan chyba pamięta Wronówkę?

²⁵²*flegma* — temperament charakteryzujący się brakiem gwałtownych emocji i nadmierną powolnością w działaniu. [przypis edytorski]

²⁵³*bramin* — indyjski kapłan posiadający świętą wiedzę. [przypis edytorski]

²⁵⁴*hydropatia* — wodolecznictwo. [przypis edytorski]

²⁵⁵*spotniały* — pokryty potem. [przypis edytorski]

²⁵⁶*sybaryta* — człowiek rozmiłowany w zbytku, wygodach i przyjemnościach życia. [przypis edytorski]

Wronówkę? Wieś należąca do wujostwa tej ślicznej, wiotkiej dziewczeczki, w której się tak idealnie kochał onymi czasami, gdy lekcewał pudy, a do waty w uszach miał wstręt nieprzewyciężony.

— Czy być może! Jakże się cieszę!...

Ściskają się za ręce bardzo serdecznie, ale w sposób, który nie mógłby obudzić żadnej obawy nie tylko w cholerycznym Ignasiu, ale nawet w żonie „Jego”, aczkolwiek ta ostatnia szalenie jest zazdrosną.

Siadają teraz naprzeciwko siebie przy otwartym oknie.

Pociąg pędzi szybko; ciepłe nocne powietrze wlewa się do wnętrza, przesiąknięte wonią pól i lasów, nad którymi wisi przestwór lazurowej ciszy ze swoją srebrną kulą, raz po raz złota iskra jak milcząca strzała przeszycie szarawy obłok dymu i zgaśnie w kropelce rosy na trawie, wpiersz się w niej opalem odbiwszy... nie brak nic z tego, co się miało składać na tło i ramy wymarzonego przez tych dwoje spotkania.

Ale oni nie zdają się być skłonni do odtworzenia głównego planu obrazu.

Może nawet w tej pierwszej chwili nie przychodzą im na pamięć wspomnienia snów młodocianych.

Oboje zmienili się bardzo, tak powierzchownie, jak wewnątrz.

Czternaście lat małżeńskiego pożycia z najpocziwszym z hreczkosiejów²⁵⁷, czworo dzieci, często chorujących na brzuszki, i gospodarstwo, trzoda chlewna na wielką skalę (medal srebrny na ostatniej wystawie za wieprza „Artusa”) obniżyły do zera temperaturę „Jej” wrzącej niegdys wyobraźni; „On” zaś będąc zawsze z usposobienia bardziej nerwowym niż wulkanicznym, nie stygł, ale tępał z latami, przenosząc punkt swojej wrażliwości z poezji na gastronomię, z romantyzmu na sybarytyzm²⁵⁸.

Początkiem tego przewrotu było dlań ożenienie się z córką bogatego fabrykanta z Łodzi. (Epoka przesądów szlacheckich dawno już minęła).

Żona oczyściła mu posagiem hipotekę, a zazdrością zatrula spokój. Od sześciu lat jak żyli z sobą, mąż jedną połowę roku spędzał w podróży za granicą, a drugą wśród scen domowych. Ponieważ podróże, urozmaicane wszelkiego rodzaju fantazjami, na które sobie nie żałował, sprawiały mu przyjemność, a sprawiały mu ją za pieniądze żony, poczuwał się więc względem niej do tej galanterii²⁵⁹, aby za powrotem słuchać ze stoicką obojętnością wyrzutów i pozwolić jej narzekać i płakać, ile tylko chciała.

Tym trybem życia zdenerwował się tak skutecznie, że w końcu wszystko stało mu się nieznośnym zarówno w domu, jak poza domem. Hipochondryczną troskliwością o zdrowie, którym poprzednio szastał, zanudzał drugich, a udręczał siebie. Doktorzy wysłali go do Steinerhofu; jedzie więc się leczyć, obłany pożegnalnymi łzami zawsze zaślepionej w nim żony, która wymogła na nim obietnicę, że żadna z historycznych pacjentek tego wodnego zakładu nie zdobędzie jego serca.

Gdyby mogła była przeczuć z kim się spotka!

Mąż, w jednym z rzadkich napadów poufnych zwierzeń, opowiadał jej kiedyś o tej swojej pierwszej miłości, posunął nawet szczerość aż do zrobienia niepotrzebnej uwagi, iż to błękitnookie dziewczę, co się jak cień uoczy przez jego życie przesunęło, było może jedyną istotą, którą prawdziwie kochał. Ale jedno spojrzenie na obecny awatar tego ideału uspokoiłoby najpodejrzliwszą z małżonek.

Tyle ociężałej dobroduszości maluje się w tej twarzy okrągłej, o rysach rozlanych i sspoliciałych, każdy ruch tych obfitych kształtów tchnie takim leniwym zadowoleniem, że trudno byłoby posądzić tę pocziwą kobiecinę o coś równie romantycznego, jak zamach na całość domowego ogniska, przez odgrzebywanie isker w starych popiołach.

Zresztą jeżeli je odgrzebie, to ot tak! Po gospodarsku, pogrzebaczem przyzwoitej wstrzemięźliwości, przy czym oboje palców sobie nie poparzą.

— Więc to już piętnaście lat, jakeśmy się nie widzieli — odzywa się pierwsza „Ona”. — Mój Boże! Jak to czas leci.

„On” nie znajduje naprędcę żadnej odpowiedzi na ten pełen świeżości wykrzyknik.

— Pan się ożenił... słyszałam — ciągnie „Ona” dalej. — Podobno bardzo doskonale?

²⁵⁷hreczkosiej — daw. gospodarz zasiedziały na roli. [przypis edytorski]

²⁵⁸sybaryta — człowiek rozmiłowany w zbytku, wygodach i przyjemnościach życia. [przypis edytorski]

²⁵⁹galanteria — wyszukana grzeczność w zachowaniu. [przypis edytorski]

— Tak, ożeniłem się — odpowiada „On” z nietajonym niesmakiem. — A pani już w rok po... po... naszym ostatnim widzeniu się wyszła za mąż?

Jest jakby lekko ironiczny wyrzut w tym pytaniu, ale „Ona” tego nie czuje.

— W okrągły rok i dwa tygodnie — odpiera dobrodusznie. — Zapisałam sobie datę mego powrotu z wujostwem do Warszawy. Pamięta pan?

„On” spogląda z rodzajem zadumy nie na nią, lecz w księżyc, w którego srebrnych, rozwieszonych w przestrzeni oponach, ukazuje mu się na chwilę jego przeszłość. Ogarnia go jakiś żal estetyczny za tym wszystkim, co było w niej pięknym, idealnym, niepowrotnym.

„Ona” tymczasem mówi dalej tonem swobodnego opowiadania:

— Niech sobie pan wyobrazi: Ostatni list pana odebrałam, kiedy już byłam narzeczoną. Z początku nie wiedziałam, czy go przeczytać, czy nie. Ale potem takem się przecież śmiała!

Musiała się istotnie bardzo śmiać wtedy, skoro na samo wspomnienie czyni to teraz.

— Z mego listu? — pyta „On” trochę dotknięty.

— Ale gdzież zaś! Listy pana były zawsze takie piękne! Mam je wszystkie schowane i zbieram się wciąż odczytać, tylko, że czasu znaleźć nie mogę. Nie! Śmiałam się z siebie samej, że miałam jakieś skrupuły... Bo cóż to jedno drugiemu szkodzić mogło. Boże! Dzieciństwo takie.

— Zapewne! — rzecze „On” sztywno.

Aczkolwiek nosi watek w uszach, ma jeszcze do tyłu delikatny słuch na echa wspomnień, aby go w nich ta trywialnie lekceważąca nuta nieprzyjemnie uderzyła.

Jak ta subtelna, wrażliwa natura mogła zgrubieć w ten sposób?

Mimowolnym ruchem cofa się trochę w głąb wagonu.

„Ona” myśli, że mu zimno.

— Może by zamknąć okno? — pyta z akcentem dobrej matki, a po chwili dodaje ze współczuciem:

— Już to widać, że pan musi być bardzo niedobrze ze zdrowiem. Co panu jest?

To pytanie otwiera upusty „Jego” wymowy. Jeżeli lubi jeszcze o czymś rozprawiać, to o swoich własnych dolegliwościach rzeczywistych i urojonych.

— Co mi jest? — powtarza, poprawiając się na siedzeniu. — Niby nic, a wszystko. Rozstrój nerwowy w najwyższym stopniu. Czy może być coś nieznośniejszego! Ja podejrzewam, że źródło tego leży w jakichś ukrytych żołądkowych cierpieniach. Doktorzy zapewniają mnie, że się mylę. Chciałbym temu wierzyć, ale i oni często nie umieją się na chorobie poznać.

— I jak często! Ja na przykład przed trzema laty chorowałem na kamienie żółciowe. To były dopiero męki! A nasz doktor się na tym nie poznał. Dopiero Ignas...

— Bywają dnie — przerywa „On”, niezaciekawiony, co Ignas uczynił — że jestem ciągle senny, a zasnąć nie mogę; kiedy indziej znów chodziłbym bez końca, będzie mnie coś niepokoiło, nurtowało, dręczyło do szaleństwa; nie mówiąc już o wściekłych newralgicznych bólach głowy i zębów.

— Mój Boże! Mój Boże! To dopiero! — powtarza „Ona” z przejęciem.

Księżyc jest wprost zgorzony tą rozmową.

Przypomina sobie, że przed piętnastu laty świecił tym dwojgu na ganku wiejskiego dworu kiedy w stawie rechotały żaby, a z pod lasu dochodził pokrzyk derkaczy. Wydaje mu się to tak niedawno, bo w górnych sferach lata zmieniają się na chwile — czyżby to mogli być ci sami? Wtedy na ustach mieli same poetyczne wyrazy! Czar wspomnień, tęsknotę za ideałem, marzenie i miłość sztuki i literaturę... A dziś? Kamienie żółciowe, ból zębów, cierpienia żołądkowe! Co to znaczy? Księżyc chociaż od tyłu wieków na ziemię patrzy, zna życie na niej tylko połowicznie, nie ma pojęcia, jakim ono w dzień bywa, kiedy się z jego srebrnej kąpieli otrząśnie i jak dalece ludzi zmienia. Zarumieniłby się, gdyby mógł, ale że nie może, więc chowa się tylko za wędrowną chmurkę, pozostawiając oburzającą go parę w półcieniu.

Ach! Półcień częstokroć niebezpieczniejszym bywa nawet od księżycowego światła... któż nie doznał choćby raz w życiu tego elektrycznego wstrząśnienia, jakie w pomroce²⁶⁰ muśnięcie jednej młodej, ciepłej dłoni o drugą wywołuje?

I ręce ekskochanek spotykają się także w tej chwili.

„Ona” sięgnęła po koszyczek, „On” usłużniejszy już trochę, chce jej dopomóc i zamiast za pleciony pałączek, chwytając za jej rękę. Ta ręka pulchna i spocona, robi na nim wrażenie wilgotnej poduszczyki; podczas gdy dla niej jego nerwowo-chłodne, chude palce, mają w dotknięciu coś szkieletowego. To też mimowolny ten uścisk nie wzrusza ich bynajmniej.

— Zje pan ze mną kawałek kurczęcia? — pyta pani, rozwijając podróżne zapasy, przy czym zaczyna tak szeleścić papierami, że zdenerwowany jej towarzysz znowu syka.

— Dziękuję pani.

— Ale to nie zaszkodzi. Tak ślicznie upieczone. Sama pilnowałam, mimo pakowania. Niechże pan chociaż spróbuje. Ja tak sama jeść nie lubię!

I podaje mu za łapkę połowę potężnego kuraka, z którego na pled angielski sypie się tarta z masłem bułeczka.

— Ach! Przepraszam. Trzeba podłożyć papier.

Rozkłada mu na kolanach zatłuszczoną gazetę, z tą gospodarską troskliwością, z jaką zapewne przywykła chronić od plam ubrania swego Ignasia, po czym zabiera się z apetytem do spożywania własnej porcji

— Cóż, smakuje panu? — pyta z pełnymi ustami.

— Dziękuję, wyborne — odpowiada „On”, tak ostrożnie i półgębkiem nadgryzając kuraka, jak gdyby się obawiał, że go sparzy.

— Już to mogę się pochwalić, że u mnie drób na całą okolicę najlepszy. Moje hamburskie czubutki²⁶¹ były przeszłego roku na wystawie. Ignas zawsze się ze mnie śmieje, że się z nimi pieszczę jak z dziećmi. Doprawdy!

I rozśmiawszy się sama z zadowoleniem, oblizuje z lekka końce palców i niedojedzone resztki za okno wyrzuca.

Jej towarzysz czyni to samo, bez oblizania palców w każdym razie. Owszem, wyciera je woniejącą Opoponaxem²⁶² chusteczką, starannie i powoli.

— Więc pani jesteś zupełnie szczęśliwą? — odzywa się po chwili, przypatrując się z zajęciem swoim długim, błyszczącym paznokciom, których wzorowe utrzymanie musi mieć jeszcze i tę dobrą stronę, że mu parę godzin co dzień zabija.

— Najzupełniej. To jest, aby być z panem szczerą, muszę się przyznać, że z początku czegoś mi niby brakowało. Czego? Sama nie wiem, bo Ignas był zawsze dla mnie bardzo dobry i kochał mnie, i wszystko, ale ja byłam jakaś dziwna... Nudziło mi się na wsi; nie wiedziałam nigdy o czym z nim rozmawiać... to nie tak, jak z panem, cośmy nieraz godziny całe przerzmawiali... pamięta pan? Ja wtedy byłam jeszcze pasjonowana do rozmaitych rzeczy, które wcale nie obchodziły Ignasia. Po obiedzie, na przykład, lubiłam z jaką godzinę poczytać, a on... lubił wtedy drzemać. Z początku myślałam, że go do mego upodobania nakłonię, próbowałam na głos czytywać, ale regularnie nim pierwszą stronę przewróciłam, mój pan mąż już chrapał. Nic dziwnego... w połę cały dzień. A mnie to raziło przecież na razie. Lecz z czasem oswoiłam się... czytałam sobie po cichu, a potem...

I uśmiecha się, nie kończąc zdania.

— Cóż potem?

— Potem? Sama nauczyłam się drzemać.

Na dnie tego prostodusznego wyznania, tkwi wielka życiowa prawda. Jeżeli w czym kobieta najpodobniejszą jest do powoju, to w tej łatwości, z jaką nagina się w dół i w górę do umysłowego poziomu mężczyzny. Rozumny mąż ograniczonej żony, nic na tym nie straci, podczas, gdy dość wysoka nawet inteligencja niewieścia w codziennym obcowaniu z człowiekiem niewykształconym dziwnie ścieśnia się i maleje.

²⁶⁰ pomroka — prawie całkowita lub całkowita ciemność. [przypis edytorski]

²⁶¹ czubotka — kura wyróżniająca się ozdobnym czubem z piór. [przypis edytorski]

²⁶² Opoponax — kadzidło żywiczne. [przypis edytorski]

— Teraz tedy²⁶³ tworzycie państwo harmonijny duet — rzecz „On” z mimowolnym sarkazmem — To podobno najpożądańsza²⁶⁴ rzecz w małżeństwie. Co do mnie jednak, wolałbym żyć w wiecznej niezgodzie z moją żoną, niż grywać z nią w rumla²⁶⁵, którego ona adoruje.

— E! Pan się tylko obmawia. Jestem przekonana, że pan musi być bardzo delikatnym i uległym mężem.

Głos pani Ignacowej stał się stłumionym i rozwlekłym. Kołysanie się wagonu, kurczak i wspomnienie poobiednich drzemek z dozgonnym towarzyszem, podziały na nią usypiająco. Głowa jej zaczyna wykonywać wahadłowe ruchy, oczy mrużą się i przymykają...

„On” patrzy na to i nagle z fotograficzną dokładnością staje mu przed oczyma biały, wiejski gościniec w bok kolejowego plantu wyciągnięty, bryczka wartko²⁶⁶ po nim turkocząca, zgarbione plecy chłopaka woźnicy z opadającymi na nie kosmykami konopiastych włosów i on sam, który się w te plecy machinalnie, w braku innej perspektywy wpatruje i... marzy.

Marzy o sennej, skłaniającej się główce, o znużonych, wiotkich kształtach, jakie ramieniem obejmuje i pieści. Teraz ta główka jest przed nim i ślania się nie na żarty, zanurzona w księżycowe blaski; rzeczywistość uzupełnia *wymarzone spotkanie* jednym więcej szczegółem.

Oboje są jeszcze dosyć młodzi, a iluż to romantycznych przygód trzydziestotrzyletnia kobieta i trzydziestosiedmioletni mężczyzna, byli bohaterami! Szczególnie też w charakterze cudzej żony i cudzego męża. Taka kombinacja podnieca i odmładza niepospolicie.

Czemu więc „On” nie korzysta ze swego szczęścia, lecz przeciwnie, tak skwapliwie rejteruje na dawne miejsce, jakby chroniąc się przed możliwym osunięciem się na niego, tego słodkiego ciężaru.

— Boże! Jak się ta kobieta rozżyła! — myśli z niesmakiem, bo właśnie głowa biedaczki nie znalazłszy żadnej podpory, opadła ciężko na piersi, co impertynencko uwydatnia trzy podbródki, tryumfujące na ruinach klasycznego niegdyś owalu.

— Boże! Jak się ta kobieta rozżyła!

Poprawia nadymaną poduszkę, okrywa nogi pledem i zamyka powieki.

Księżyc wypłynął znowu na cichy błękit nocny i bladym, wielkim okiem wpatruje się we wnętrze wagonu, w dwie postacie ludzkie, uszione w dwóch przeciwległych kątach.

Tych dwoje marzyło niegdyś o połączeniu się swych oddechów w długim pocałunku — dziś łączą się one... w chrapaniu, które u „Niej” naśladuje stłumione burczenie kotki, a u „Niego” gniewny gwizd kosa.

I śni się „Jemu”, że widzi tłumy ludzkich marzeń o fantastycznych kształtach, ulatujące z potężnego łona młodości; jedne miotane niecierpliwą gorączką pragnienia; inne rozkosznie leniwe — a ponad całym tym tłumem, zwiesza się niewzruszona ręka losu, kreśląca chochlikowato powykrzywianymi głoskami słowa poety: *Numinibus vota exaudita malignis*²⁶⁷...

Od granicy „On” i „Ona” jadą już w osobnych wagonach.

KWIAT PAPROCI PANA LEONARDA

Pan Leonard jest młodzieńcem pod każdym względem bez zarzutu. Patrząc na niego, żal bierze, że go nie można, niby wielki wzór kaligraficzny, wypisać u nagłówka kajetów życia (gdyby takie po składach materiałów piśmiennych sprzedawano) wszystkich innych synów naszego grodu, by kopiując linijkę za linijką doszli do podobnej doskonałości.

Młodzieniec ten nie zna drogi do żadnego z najbardziej nawet renomowanych lombardów, nie kryje się na widok żadnego najcharakterystyczniej nawet orlego nosa, nie

²⁶³tedy — daw. zatem, więc. [przypis edytorski]

²⁶⁴najpożądańsza — daw. najbardziej pożądana. [przypis edytorski]

²⁶⁵rumel — dwuosobowa gra w karty. [przypis edytorski]

²⁶⁶wartko — szybko się toczący. [przypis edytorski]

²⁶⁷*Numinibus vota exaudita malignis* (łac.) — „Bowiem słuchając twego pożądanego, / Złośliwe Bóstwo zgubę ci nie wzbrania!” (Juwenalis, *Satyry* X, 111–112; tłumaczenie za: Felicjan Faleński, *Plonne zachcianki: Satyra X Juwenalisa*, Warszawa 1884). [przypis edytorski]

traci czasu na ustawicznym poszukiwaniu krawca, który by opłatę jednego garnituru rozłożył na trzy lata, nie pali więcej nad sześć papierosów dziennie, nie nosi laski ani parasola pod pachą, nie spóźnia się do swego biura więcej nad pół godziny, bywa przynajmniej raz na tydzień w Nowościach, a raz w miesiąc w Rozmaitości, lubi „Halkę” i „Violettę”, a także walca z „Wesołej wdówki”, choćby granego na gramofonie, wreszcie odwiedza sumienne każdą wystawę, jaką Warszawa zechce go uszczęśliwić.

Jest optymistą na punkcie swego rodzinnego miasta. Zimą patrzy z pobłażaniem na góry brudnego śniegu przed trotuarami²⁶⁸, nawet gdy mu nie pozwalają dojrzeć co się pomiędzy ich pasmami dzieje, latem z równą pogodą umysłu łyka kurz i pozwala stróżom oblewać się wodą a murarzom wapnem; z lubością śledzi naprawę bruków na pryncypalnych²⁶⁹ ulicach twierdząc, że co ma być dobrze zrobione, musi być robione wolno, a podmiejskie koleжки mają w nim zapalonego zwolennika i obrońcę.

Pomimo, że skończył już dwadzieścia osiem lat, żyłka awanturicza nie zawiodła go nigdy dalej niż do Konstancina, Wilanowa lub Milanówki, skutkiem czego wieś przedstawia mu się w kształtach dziwnie fantastycznych i niejasnych, a każdy las widziany z daleka przejmuje go takim uszanowaniem, z jakim zapewne amerykańscy pionierowie spoglądali na zastępujące im drogę żywe mury lianów²⁷⁰.

Wprawdzie jeden z jego dalekich krewnych, mieszkający na Wołyniu, pisze do niego rok rocznie około św. Jana, zapraszając do siebie na wieś, na kwaśne mleko i poziomki, ale pan Leonard, choć w Chinach nie przebywał, zna się na chińskiej gościnności i wie że gdyby ten kuzyn, obarczony liczną rodziną, mieszkał na przykład w skierniewickim, nie rozczuliłby się ani razu nad nadzieją (mogącą się wtedy łatwo ziścić) używania z kochanym Leonardkiem kwaśnego mleka i poziomek — więc też z chwalebłą roztropnością przechodzi nad tym wezwaniem z oddali do porządku dziennego.

Zresztą ma dosyć zajęcia latem w Warszawie; chodzi bowiem co wieczór ze swoją narzeczoną i jej mamą na spacer do botanicznego ogrodu, a co niedziela wozi je najmniej przepelnionymi pociągami. O! Bo pan Leonard i pod tym względem jest przykładnym, że w zdrożnym²⁷¹ celibacie trwać nie myśli; ale od roku już zaręczył się z bardzo przystojną panią, której procent od posagu równa się jego pensji (dwa tysiące rubli, nie licząc diet, w jednym z towarzystw ubezpieczających), a jeśli się nie żeni jeszcze, to dlatego, iż czeka cierpliwie na śmierć mocno schorzałej²⁷² babci, mającej mu zostawić pięć tysięcy rubli w gotowiznie. Taka właśnie suma potrzebna jest panu Leonardowi na szybką wykwipowanie się i urządzenie domu, że zaś poprzysiągł sobie nie zaciągać żadnych długów pod żadnym pozorem, woli zatem odwlekać urzeczywistnienie swego szczęścia, gdyż miłość takich przykładnych młodzieńców umie się zawsze do ich rozsądnych kombinacji zastosować.

W tym roku przecież, może dlatego, że jest to rok ze wszech miar wyjątkowy i w katastrofy obfitujący, na kilka dni przed św. Janem prawidłową wyobraźnię pana Leonarda opanował dziwny niepokój.

Cudowne legendy o kwiecie paproci, zaklętych skarbach, amuletach wiecznego szczęścia, zaczęły mu krążyć po głowie, przesładując go przy urzędniczym biurku, przy boku narzeczonej, przy jedzeniu, we śnie, wszędzie.

Niepojęte rzeczy działy się z nim; raz nawet zasiadał do pisania wierszy, ale ocknął się w porę, wylawszy sobie karafkę zimnej wody na głowę po dwóch pierwszych rymach.

W końcu pojedyncze te osobliwsze objawy skryzlowały się w jeden najosobliwszy, w nieprzepartą chęć poszukania w noc świętojańską kwiatu paproci. Z początku pan Leonard odtrącał tę dziwną zachciankę z godnym jego trzeźwej natury oburzeniem, ale po długiej walce zdecydował się — jak się decydujemy wziąć numer na loterię, który nam się kilkakrotnie przysnił — z całą przesadną wiarą w łaskę fortuny.

Byłby przysiągł, że znajdzie cudowne ziele, byle go tylko poszukał.

²⁶⁸trotuar — część ulicy odgradzona krawężnikiem od jezdni, przeznaczona dla ruchu pieszego. [przypis edytorski]

²⁶⁹pryncypalny — daw. najważniejszy, główny. [przypis edytorski]

²⁷⁰liana — roślina o bardzo długich i cienkich łodygach, wijąca się lub czepiąca innych roślin, rosnąca w dżunglach tropikalnych. [przypis edytorski]

²⁷¹zdrożny — o czynach, myślach itp.: naganny, gdyż przekracza pewien zakaz obyczajowy. [przypis edytorski]

²⁷²schorzały — ktoś cierpiący na ciężką chorobę. [przypis edytorski]

Otóż szukać, to najmniejszy kłopot, ale gdzie?

Do lasu przecież w tym celu nie pojedzie, zostało mu jeszcze tyle zimnej krwi, by się takiemu szaleństwu oparł.

Ale pan Leonard rozumował w ten sposób. Ponieważ znalezienie kwiatu paproci jest dziełem cudu, więc cuda mogą się dziać wszędzie i kto ma ten kwiatek znaleźć, znajdzie go choćby na bruku, a już najpewniej w ogrodzie Saskim i w myśl tego, logicznego skądinąd²⁷³, rozumowania, postanowił dać się zamknąć na całą noc świętojańską w tymże ogrodzie.

Jeśliby komu takie zuchwałe bohaterstwo w panu Leonardzie wydawało się wprost nieprawdopodobnym, dodam, iż w poście był on na odczycie Amundsena²⁷⁴ i opisy przygód podbiegunowych podróżników natchnęły go już wtedy burzliwą odwagą i żądzą nadzwyczajnych wrażeń, które to nabytki teraz dopiero znalazły swoje zastosowanie.

Tak to oderwane na pozór ogniwa spajają się niewidzialnie w łańcuch jednego czynu.

Pan Leonard zabawił u swojej narzeczonej do dziesiątej, po czym zaopatrzwszy się w parasol na wypadek deszczu i w rewolwer na wypadek złodzieja, wsunął się chyłkiem do ogrodu Saskiego. Zdawało mu się koniecznie, iż ma wypisane na plecach, że on tam, wbrew przepisom policyjnym, noc przepędzić zamierza.

Przechodząc koło budki stójkowego, spuścił oczy mimo woli, rumieniec wstydu okrył mu czoło pod rondem kapelusza i dotkliwy wyrzut ścisnął jego lojalnym sercem. On, natura taka obowiązkowa, że każda czynność nieujęta w pewne reguły, nieobciążona jakimś nakazem, wydawała mu się karygodną swawolą²⁷⁵, on za godzin parę stanie się burzycielem porządku publicznego, kandydatem do noclegu w cyrkule²⁷⁶, gdyby go na gorącym uczynku schwytano.

Już chciał się cofnąć, ciągniony wstecz przez wszystkie obywatelsko-filisterskie instynkty, jakie się w nim wzbudziły, ale kwiat paproci zwyciężył i w chwilę potem pan Leonard zagłębiał się śpiesznym krokiem w ogrodową aleję.

Usiadł na ławce, by nabrać sił do czekających go wzruszeń. Migające pomiędzy drzewami światła zataczały w wilgotnym, chłodnym powietrzu żółte kręgi, o rozmytych strzępiastych konturach, ciężkie od deszczu liście szeleściły leniwie, chmurne obłoki płynęły jeszcze leniwiej ponad wierzchołkami kasztanów. W alei było tak ciemno, że pan Leonard zaledwo mógł rozróżnić siedzące z rzadka na sąsiednich ławkach pary, których rozmowy zlewały się w ciągły szept niewyraźny, będący jakby jednym charakterystycznym głosem, nie żadnej ludzkiej istoty, lecz samego ogrodu. Trzeba tego posłuchać, żeby wiedzieć jak w ciche, letnie, ciemne wieczory gada ogród Saski. Kiedy niekiedy rozległy się kroki, zachrzęściła suknia kobieca, zaświeciły kobiece oczy i męski papieros, tuż koło pana Leonarda wymówioną w przejściu słowo zadźwięczało mu w uszach, po czym wszystko cichło, tylko ogród sam wypowiadał dalej z pod pni kasztanów swoją letnią bajkę, bajkę realistyczną w treści, o fałszywie poetycznym stylu.

Pan Leonard siedział i słuchał i myślał, czy jest na świecie drugi równie piękny i wymowny ogród?

Nagle zrobiło się w nim bardzo gwarno. Od strony stawu i głównej alei buchnęły zmieszana falą śmiechy, wykrzykniki i liczne stąpania. To rozbawiona publiczność letniego teatru rozchodziła się do domów.

Pan Leonard drgnął na ławce i powstał. Głuche trzeszczenie grzechotki odezwało się naraz w kilku punktach ogrodu, niby tajemnicze sygnały niewidzialnych band rozbójniczych.

Panu Leonardowi zrobiło się po prostu słabo. Instynktownie poskoczył w zarośla i stał tam nieruchomy, wciskając głowę w ramiona i starając się zrobić jak najcieńszym i jak najbardziej do krzaku bzu podobnym. Serce ledwo mu nie wyskoczyło z piersi; zdawało mu się, że bije w nim sto nowych tętn, o których istnienie nie byłby nigdy podejrzewał swego organizmu.

²⁷³skądinąd — partykuła używana w wyrażeniu wtrąconym, nawiązującym do wcześniejszej wypowiedzi i uzupełniającym je nową, zwykle mniej istotną informacją. [przypis edytorski]

²⁷⁴Amundsen — Roald Engelbregt Gravning Amundsen – norweski badacz polarny, pierwszy zdobywca bieguna południowego. [przypis edytorski]

²⁷⁵swawola — daw. brak posłuszeństwa i samowolne działanie. [przypis edytorski]

²⁷⁶cyrkul — komisariat policji państwowej. [przypis edytorski]

Niechby²⁷⁷ go tak dozorca zobaczy! Nie tylko, żeby go pozbawił możliwości znalezienia kwiatu paproci, ale z pewnością nie uwierzyłby poetycznym pobudkom, które skłoniły pana Leonarda do schowania się w krzaki i przypisałby mu jakie niegodziwe cele, równające go ze zwykłym włóczęgą.

Na szczęście żaden dozorca w krzaki zaglądać nie myślał, grzechotki warknąwszy jeszcze kilka razy krótko i gniewnie, jak usypiające psy, zamilkły, wszystkie ławki i aleje opustoszały, ogromna cisza zaległa cały ogród.

Pan Leonard zdziwił się najprzód tej ciszy, a potem się jej dopiero przestraszył. Takim nigdy jeszcze ogrodu Saskiego nie widział, nie wyobrażał go sobie nawet. Zrobiło to na nim takie wrażenie, jak gdyby jego dobry, gadatliwy, pstro ubierający się przyjaciel położył się nagle na katafalku, cały w czerni, z milczącą na wieki twarzą.

Tak, ogród Saski skończył. Zaprzeszał wciągać w siebie życie miejskie swymi siedmiu bramami, zgasł, znieruchomiał. Nurtowało w nim wciąż wprawdzie inne, potężne życie, dyszała natura i mówiła każdym szmerem liścia i trawy, każdą wonią, każdym szelestem ptaka budzącego się w gnieździe, ale pan Leonard, szczerze dziecię bruku, życia tego nie czuł, nie pojmował. Dla niego ogród Saski był w tej chwili trupem, a on znajdował się wewnątrz tego trupa. Brr!

Włosy stanęły mu na głowie, gdy chcąc wyjść z krzaków, zachrzęścił gałęziami. Ten suchy odgłos przejął go takim dreszczem, jak gdyby widok poruszającego się całunu.

I nie wierzyć tu w czary nocy świętojańskiej! Nie istneż²⁷⁸ to czary, że on, człowiek ze stanowiskiem, przyjmujący bez drżenia wiadomość o przyjeździe samego dyrektora towarzystwa ubezpieczeń, tak się w tej chwili trzęsie i boi!

Heroicznym skokiem wydobywszy się z krzaków, począł biec szybko aleją, nie oglądając się ani na prawo, ani na lewo.

Ciemne masy drzew rozstępowały się przed nim i zamykały w milczeniu, niby zakłete wrota, tworząc po obu bokach drgające, szeleszczące otchłanie, pełne przerażających tajemnic.

Pan Leonard doznawał w okolicy karku i ramion dziwnie przykrego uczucia, jak gdyby niewidzialna jakaś ręka schwycić go miała lada chwila.

Tak dobiegł aż do wodotrysku. Tu było trochę widniej i przestronniej. Turkot drożki przejeżdżającej Saskim placem wpadł pomiędzy filary i napełnił otuchą zamierające serce pana Leonarda. Ten odgłos znajomy przypomniał mu sąsiedztwo ukochanego miasta, całą piękną prozę tego życia, do którego za kilka godzin wróci, aby jej już nigdy nie porzucić, wyleczony raz na zawsze z fantastycznych zachcianek. Odurzająca woń róż podnosiła się z kwietników, zielonawe ogniki robaczek świętojańskich migały w trawie i na liściach; w oddali pomiędzy rzadziejymi pniami drzew przebłyskiwał słabo staw, niby tafla czarnej lawy; w górze ciężka chmura przedarta ukośnie, ukazywała szmat chorowito bladego nieba.

Pan Leonard spojrzął na zegarek. Obie wskazówki stały na dwunastej.

I nagle, jakby pod działaniem uroku tej czarnoksięskiej godziny, dokoła niego i z nim samym zaczęły się dziać nadzwyczajne rzeczy.

Róże zapachniały tak narkotycznie, że panu Leonardowi zakręciło się w głowie, a świętojańskie robaczki błysnęły takim jasnym snopem światła, iż olśniony przymknął oczy... Chciał iść dalej, lecz ku najwyższemu przerażeniu uczuł, jak gdyby stopy jego przebijały ziemię i wrastały w nią, przemieniając się w długie, czołgające korzenie. Jednocześnie wydało mu się, że zamiast rąk posiada długie lodygi o wachlarzowych liściach, że mu na takie lodygi cały tułów podarto, a w głowie pękło mu coś jak gdyby się czaszka rozstąpiła na dwie połowy. Ogarnął go wilgotny chłód leśnej ustroni, zaczął się chwiać... chwiać... tracąc świadomość dotychczasowego swego istnienia.

Inne władze nie opuściły go przecież.

Usłyszał wyraźnie wielki jakiś szum dokoła, jakby gromady zlatujących się ptaków, dziwne głosy zaczęły się odzywać ze wszystkich stron:

— Patrzcie! Patrzcie!

Szaleństwo

Szczęście, Szaleństwo, Sen

²⁷⁷niechby — partykuła wprowadzająca zdania i równoważniki zdań wyrażające życzenie. [przypis edytorski]

²⁷⁸istneż — wzmocnione „istne”. [przypis edytorski]

Pan Leonard przestał się już bać; tylko nic a nic tego, co się z nim działo pojąć nie mógł.

Wtem rozległo się grzmiące pytanie:

— Kto jesteś?

Pan Leonard z dziwną przytomnością umysłu wymienił swoje nazwisko, dodając:

— Urzędnik w towarzystwie ubezpieczeń.

— A czym chciałeś być?

Pan Leonard zdziwił się.

— Jak to czym? Tym, czym jestem. Sobą i urzędnikiem w towarzystwie ubezpieczeń!

— Słyszycie! Słyszycie! — zaszemrały dokoła głosy. — Jest, czym chciał być! Szczęśliwy! Szczęśliwy!

Najpotężniejszy z głosów badał dalej:

— Czy walczyłeś kiedy z twoimi przekonaniem? Czy ponosiłeś dla nich jakie ofiary?

— Ja nie mam takich przekonań, z którymi potrzebowałbym walczyć lub ponosić dla nich ofiary — odparł pan Leonard. — Dzięki Bogu nie zbywało mi nigdy na rozsądku.

Ten sam chór, co poprzednio, dał się słyszeć! — Szczęśliwy! Szczęśliwy!

— Czy nie dostałeś kiedy pierwszej nagrody na konkursie? — pytał tajemniczy głos.

— Nigdy! — odpowiedział pan Leonard mocno zdziwiony.

— Szczęśliwy! Szczęśliwy! — zaszemrano znowu.

— Czy nie dręczyła cię żądza sławy? Tęsknota za ideałami życia? Pragnienie nieśmiertelności, ciekawość nieświadomego?

— Powiedziałem już — odparł pan Leonard z przyciskiem — iż jestem człowiekiem rozsądnym i podobne mrzonki przystępu do mnie nie mają.

— A znasz ty, co to jest ból ukryty, ciągły, towarzyszący ci wszędzie, gdzie się obrócisz, ból, na który lekarstwa nie ma, chyba, że się go wraz z jego siedliskiem z piersi wyrwie?...

— Owszem — odpowiedział pan Leonard — doświadczałem takiego bólu, tylko nie w piersiach lecz w dziąsłach i poradziłem sobie, jak mówisz: kazałem wyrwać zęb. Odtąd nic mnie już nie bolało. Jestem zdrow zupełnie...

— Nie chodzi tu o cierpienie fizyczne — przerwał głos — ale jeżeli w takim tylko duchu pojąłeś moje pytanie, tym lepiej dla ciebie.

Nastała chwila milczenia.

— Powiedz mi teraz — odezwał się tajemniczy badacz — jakim sposobem znajdujesz się tutaj o tej porze? Podobni tobie ludzie zasypiają w tej chwili smaczno przy zamkniętych na klucz drzwiach i pozapuszczanych roletach.

— Masz słusność — potwierdził pan Leonard — pierwszy i ostatni raz w życiu zrobiłem takie głupstwo i nie mogę go odżalować. Chciałem poszukać kwiatu paproci. Przeczucie mówiło mi, że go znajdę, ale widzę, że nigdy nie warto zważać na takie romantyczne brednie, jakimi są przeczucia i świętojańskie noce.

— Człowieku, nie bluźnij! — zawołał głos — jeżeliś nie wiedział dotychczas, że nosisz w sobie cudowny talizman doskonałego szczęścia na ziemi, to w tej chwili przekonać się o tym możesz. Alboż nie czujesz, że stałeś się paprocią, która mocą świętojańskich czarów zakwitła w twym samolubnym, chłodnym sercu i twojej praktycznej głowie? Ciebie teraz powinien znaleźć jaki marzyciel, poeta, filantrop, bo to są biedne dusze, na które czyha tysiące niedostępnych tobie udręczeń, niepojętych dla ciebie rozczarowań, niezaznanych przez ciebie dążeń. Wierzaj mi, w takim tylko ciasnym kółku własnych potrzeb, na takim tylko płaskim zagonie osobistych karłowatych uczuć rozwija się kwiat paproci: zupełne zadowolenie z życia i z siebie. My, duchy świętojańskich tajemnic, otaczamy cię w tej chwili kołem i cieszymy się, patrząc na to rzadkie widowisko. Gdybyś mógł widzieć, jaka z ciebie ładna, rozłożysta paproć i jak pięknie kwitniesz!

— Ja, kwitnę! — wykrzyknął pan Leonard i chociaż już rąk nie miał, zrobił taki ruch, jak gdyby sobie chciał urwać tę kwitnącą głowę.

I musiał ją urwać istotnie, bo nagle wszystko uciekło i znikło, a on sam pogrążył się w jakąś bezdenną nicość...

Wyrwało go z niej mocne szarpnięcie za ramię.

Pan Leonard otworzył oczy i zobaczył, że jest biały dzień, że on sam leży na ławce, że trzyma w ręku przesłoniczną, zapewne z sąsiedniego krzaka oberwaną przez sen różę, a przed

nim stoi stróż ogrodu i pyta go z groźną miną, dlaczego tu noc przepędził, dlaczego zrobił szkodę i czy nie wie, czym to pachnie?

Zbytecznym byłoby dodawać, iż pan Leonard nie opowiadał mu swoich romantycznych przygód, lecz prozaicznie sięgnąwszy do portmonetki, uspokoił skutecznie drażliwość tego męża.

Następnie wrócił do domu i położył się do łóżka, wypiwszy szklankę malinowego odwaru na poty, jako zabezpieczenie przeciw możliwemu po przespanej pod gołym niebem wilgotnej nocy, katarowi.

Można prawie ręczyć, iż to był jego pierwszy i ostatni wybryk!

WYSTAWA W BEZRADNOWIE

Miasto Bezradnowo ma zaszczyt być stolicą kraju zwanego Niedoleganią. Ta znów chlubi się opartą na wiarogodnych podaniach i autentycznych dokumentach starożytnością swego narodu, sięgającą tak zamierzchłych wieków, że nawet rasa indyjska, wyhodowana w kolebce ludzkości, wobec tych przedpotopowców sprawia wrażenie podlotka.

Nie dość na tym. Naród Niedolegów posiada proroctwa i naukowe teorie, zaczerpnięte nie tylko z jego dziejów, lecz znajdujące potwierdzenie w historii całego świata, że żywotność jego oprze się wszelkim zakusom²⁷⁹ kolonizacyjno-wyłaszczeniowym, bodajby o sile miliona germańskich elementów i trwać będzie, dopóki kula ziemiska nie wypadnie z orbity planet zamieszkanymi.

Posiada też kraj ten ambasady i konsulaty we wszystkich państwach cywilizowanych pięciu części świata, a to z powodu ogromnej liczby obywateli, osiedlających się wszędzie, gdzie się da i prowadzących oplakane dla siebie i miejscowej ludności interesy na własną rękę.

Bezradnow zaś na pierwszy rzut oka wygląda jak każde inne wielkie miasto. Posiada kluby i Towarzystwa pod różnymi wezwaniami w szczególności, a gry w karty w ogólności; teatry, w których wszystkie droższe miejsca na sztukach, mających coś wspólnego z poezją, bywają zajęte przez publiczność, robiącą „watę²⁸⁰”; magazyny mód, które są domami schadzek; antykwarnie, będące hurtownymi składami pornograficznych fotografii; jednokonki, których rumaki jak żołnierze kończą zwykle żywot na posterunku w trakcie przewożenia pasażera z ulicy na ulicę; rzeźnie w pobliżu szpitala dla cholerycznych; parki, do których wstęp dozwolony jest jedynie za kartami poświadczonymi przez rządzącego domu i cyrkul²⁸¹; bandytów, dzieci bezdomne, staruszków czatujących z cukierkami na pensjonarki itd. itd.

Ale prawdziwą osobliwością Bezradnowa jest starszy o pięćdziesiąt lat od Juliańskiego kalendarz, według którego wskazówek wchodzą tam w życie wszelkie cywilizacyjne reformy i wynalazki. Wskutek tego i samorząd Bezradnowa znajduje się jeszcze w stanie niemowlęctwa i karmiony jest mączką Nestle'go, zmieloną z wycofanych z obiegu i uznanych za szkodliwe postulatów społecznych innych krajów.

To też ojcowie miasta, czuwający nad wątłą egzystencją tego noworodka, są niesłychanie zajęci i mają po dwadzieścia posiedzeń na dobę, z których tylko stwierdzające regulę wyjątki odbywają się kiedy niekiedy w ratuszu.

Na jednym z takich nadzwyczajnych, rzec można prawie fantastycznych posiedzeń, wyłoniła się kwestia rozpaczliwego stanu miejskich finansów. W Bezradnowie panowała rosnąca z każdym dniem drożyzna, a jednocześnie przerażająco zmniejszała się płynność gotówki. Skąd więc obywatele brali pieniądze na zakupowanie tych drogich rzeczy, pozostawało tajemnicą nieprzeniknioną.

Raz po raz jakiś zjednoczony cech urządzał strajk, po czym następowało podniesienie pracownikom płacy o grosz na godzinę, po czym chleb drożał o dziesięć groszy na funcie, co trwało do najbliższego z kolei strajku: dziennikarze zaś z czujnym palcem na pulsie społecznego życia pisali o tym sążniste²⁸² artykuły, pobierając z rezygnacją honoraria wedle normy, ustanowionej w dzień wynalezienia druku.

²⁷⁹zakusy — próby zdobycia czegoś. [przypis edytorski]

²⁸⁰wata — wypowiedź pozbawiona istotnej treści. [przypis edytorski]

²⁸¹cyrkul — komisariat policji państwowej. [przypis edytorski]

²⁸²sążniste — o tekście: bardzo długi. [przypis edytorski]

W takim stanie rzeczy przewodniczący Głowa miasta zagaił posiedzenie w następujący sens:

— Przekazacie panowie i dostojni koledzy! Po głębokim namyśle powziąłem²⁸³ myśl, która w umyśle moim skryształowała się jako pewnik niewzruszony. Trzeba koniecznie coś obmyślić.

Nastała głęboka cisza, a zagrzązany nią prezydent mówił dalej:

— Nie przeszkadzajcie mi, panowie! Wiem aż nadto dobrze, jak wrzący i niecierpliwy jest duch waszej inicjatywy. Pozwólcie mi jednak w kilku słowach objaśnić was, do czego zmierzam. Przechodzimy ciężki kryzys ekonomiczny. Chodzi mi o wynalezienie czegoś, co w tym ogólnym zastoju zatargałoby, że tak powiem, obywatelskimi trzewiami mieszkańców naszego grodu i wlało nową krew w skrzepłe żyły naszej miejskiej kasy. Trzeba więc koniecznie coś wymyślić. Ale co?

Tu cisza stała się tak wielką, że miarowy oddech jednego z radców, niewywczoowanego po całonocnym preferansie²⁸⁴ (w Bezzadnowie najmłodniejszą grą był preferans), przybrał w niej ludzące pozory chrapania.

To wprawiło prezydenta w stan graniczący z ekstazą.

— Na Boga! Pozwólcież mi dokończyć, najmilszy koledzy — zawołał. — Pośpiech jest zwykle złym doradcą. Musimy tę sprawę rozważyć wszechstronnie. Musimy obmyślić coś wielkiego, coś wiekopomnego, coś, co zwróciłoby na nas uwagę całego świata. Teraz zapytuję was, panowie, uroczyste: co?

Dało się słyszeć kilka chrząknięć. Oddychającego rytmicznie radcę jeden z kolegów trącił łokciem w bok, co miało ten skutek, że radca potoczył jakby zdumionym wzrokiem dokoła i zapytał:

— Czy na mnie kolej?

— Tak — podchwycił skwapliwie prezydent. — Tak. Czekamy z niecierpliwością, aby usłyszeć, co najszanowniejszy kolega obmyślić raczył.

— Ja? Na co się to zdało? Gdy się ma totusa w kierach ze wszystkimi asami i leży się bez pięciu, to co tu obmyślać? Pech i koniec.

— Zapewne! Zapewne — przytaknął z niezmaconą pogodą prezydent, a za nim inni powtórzyli: „Zapewne, zapewne”, radzi, że nareszcie mają się z czymś odezwać.

Siedzący naprzeciwko pechowego preferansisty starsuszek pochylił się przez stół i zaczął:

— Ja koledze opowiem lepszy wypadek. Jestem na ręku...

Przerwał mu inny sąsiad. Ten już coś znalazł.

— Najszanowniejszemu naszemu prezydentowi — rozpoczął tonem głębokiego wnikięcia w jądro sprawy — chodzi, jeżeli się nie mylę o jakiś szczęśliwy pomysł?

— Nie inaczej. Szanowny kolega bardzo to bystro pojął.

— A więc... Dzień kwiatka miał tak nad zwyczajne powodzenie. Ze względu na mroźną zimę proponowałbym: „Filiżankę herbaty”. Uproszczone panie chodziłyby z czajnikami; panowie nosiliby filiżanki i cukier, samowary zaś...

Zaprotestowano jednomyślnie.

Nie! Nie! Tu potrzeba było czegoś na szeroką skalę. Jakiegoś zjazdu! Jakiejś wystawy! Ach, wystawy! One nigdy nie powszednieją. Byle tylko było co wystawiać. Ale w tym sęk!

Od czegoż jednak potęga, zwana *viribys unitis*²⁸⁵, i ta druga, ochrzczona nazwą emulacji. Ukłuci jej ostrogą, radni Bezzadnowa jak zaczęli radzić, tak istotnie uradzili coś nadzwyczajnego i nazajutrz olbrzymie plakaty, porozlepiane po rogach ulic i placach, obwieściły oszołomionej ludności niebywałą nowinę:

W dniu... Roku...

Otwarta zostanie Wielka, Powszechna

WYSTAWA KŁOPOTÓW.

Udział w niej wziąć mogą wszyscy mieszkańcy Bezzadnowa bez różnicy płci i wieku. Kwalifikowaniem okazów zajmie się osobna, wybrana w tym

²⁸³powziąć — zdecydować coś. [przypis edytorski]

²⁸⁴preferans — dawna gra w 32 karty, przypominająca brydża. [przypis edytorski]

²⁸⁵viribys unitis (lac.) — wspólnymi siłami. [przypis edytorski]

celu komisja. Uznany za najmniejszy (drogą plebiscytu) z pomiędzy wystawionych Kłopot puszczony będzie na loterię. Szczęśliwy wygrywacz po otrzymaniu go będzie miał prawo złożyć swój osobisty, choćby najuciążliwszy, Radzie miejskiej, która go przejmie na własność. Co się tyczy innych okazów, te będą mogły być wymieniane drogą dobrowolnych umów pomiędzy wystawcami.

Od jajka Kolumba i jabłka Newtona nigdy genialniejsza i prostsza myśl nie urodziła się w mózgu ludzkim.

Bezradnów zawrzał.

Już w pierwszym dniu nadesłano tyle zgłoszeń i okazy zapowiadały się tak imponująco, że komitet musiał zwiększyć o sto procent liczbę swych członków, a co do placu wystawowego jasnym się stało, że na pomieszczenie wszystkich pawilonów trzeba będzie zająć przestrzeń, dorównywającą niemal obszarowi samego Bezradnowa.

W tym celu rada miejska, na mocy przysługujących jej z dawna praw, wywłaszczyła pięć okolicznych wiosek, co pociągnęło niezliczoną ilość procesów z ich właścicielami i mieszkańcami. Dla przyjmowania samych tylko pozwów musiano mianować osobnego urzędnika i opróżnić jedną z największych sal w ratuszu na ich skład.

Trudniejsza jeszcze sprawa była z budowaniem wystawy.

Miejscowi architekci nie mieli o tym pojęcia, przyzwyczajeni będąc do stawiania jedynie domów pod rząd, w stylu specyficznie bezradnowskim. Musiano więc sprowadzić z zagranicy biegłych fachowców, którzy nie tylko kazali sobie zapłacić bajeczne sumy, lecz postawili za warunek, aby sztab robotniczy i wszystkie potrzebne materiały sprowadzono z ich ojczyzny.

Dzielna rada miejska nie zniechęciła się tymi trudnościami. Powodzenie wystawy było tak dobrze jak zagwarantowane, a dowodziła tego choćby ochoczość, z jaką kapitaliści służyli pożyczkami na tę imprezę, co wprost rozrzewniało zacnych ojców miasta.

— Mamy jeszcze przyjaciół — mawiali i zachodzili z tej racji „na kapkę” do winiarza, w którego piwnicy znajdowały się butelki, dorównywające ceną rocznej pensji konduktora tramwajowego.

W istocie, zainteresowanie się projektowaną wystawą przeszło najśmielsze oczekiwania. Zjazd ze wszystkich stron świata zapowiadał się monstrialny. Zagraniczne dzienniki zamawiały naprzód mieszkania dla swoich korespondentów.

Początkowo był zamiar dopuszczenia do udziału i krajów ościennych, ale okazało się, że i dla miejscowych kłopotów miejsca może zabraknąć. Uczyniono więc tylko wyjątek dla „Pawilonu Stolic”, w którym każde z ochrzczonych tą nazwą miast europejskich miało posiadać wspaniale urządzone witryny gwoli wystawieniu tego ze swoich Kłopotów, który uzna za najdokuczliwszy.

Bezradnów, w teorii pragnący wszystkim dogodzić, a w praktyce narażający się zwykle każdemu z osobna, tym razem wybrnął szczęśliwie ze swego dylematu, porozsyławszy zaproszenia, które wszędzie przyjęto skwapliwie. Bo, jeśli możliwość popisania się z własnym Kłopotem wydawała się dumniejszym stolicom jako zaszczyt wątpliwy, to nadzieja przypatrzania się cudzym była tak ponętna, iż uznano ją za nieprzepartą.

Jakoż niektóre okazy znajdowały się już w drodze, gdy Liga Pokoju, na zwołanym *ad hoc*²⁸⁶ zjeździe w Hadze, uznała takowy popis jako groźny dla rozchybotanej i bez tego równowagi europejskiej i okazy cofnięto z drogi.

Ale i bez tego splendoru wystawa w dzień otwarcia odniosła niebywały tryumf.

Nad główną bramą umieszczono olbrzymi, widny o milę posąg Pandory (z *papier maché*²⁸⁷), otwierającej swą fatalną puszkę wielkości wagonu, z której za pomocą genialnie dowcipnej maszyneryi wylatywał co dwie godziny maleńki aeroplanik z automatycznym lotnikiem i krążył nad całym placem dość nisko, aby publiczność zadarłszy głowy, mogła odczytać na uczonej u nóg lotnika tablicy jaskrawymi literami wypisaną nazwę kłęski, jaką przedstawiał.

²⁸⁶*ad hoc* (łac.) — tymczasowo, dla zrealizowania określonego celu. [przypis edytorski]

²⁸⁷*papier maché* — masa papierowa z domieszką kleju i gipsu, używana do wyrobu opakowań, dekoracji, zabawek, kukielek itp. [przypis edytorski]

Dla urozmaicenia repertuaru włączono w ich liczbę i takie, o których za czasów Epimeteusza, co się z tak niefortunną galanterią względem Pandory pokwapił, nie miano nawet najslabszego pojęcia.

Tu nawiasowo dodać można, że Niedolegowie mieli patriotyczne pretensje do Pandory, a uczeni ich dowodzili jak na dłoni, że skoro ona była pierwszą kobietą na świecie (na co nawet zgadzały się greckie podania), musiała być tym samym czystej krwi Niedoleżanką. Ale dla lepszego zadokumentowania tego faktu miasto Bezradnów zostało zbudowane pod jej wezwaniem i wielce się tym patronatem szczyściło.

Ale, wracając do puszki. Wśród takich archaicznych zabytków, jak głód, wojna, zaraza, krążyły na skrzydłach aeroplaników i mniej zgodne z mitologią, ale za to wybornie ducha czasu ilustrujące utrapienia.

Słysząc więc było tylko krzyżujące się okrzyki:

— Patrzcie! Patrzcie! Leci Giełda!

— O! O! Wybory do parlamentu!

Albo:

— Aha! Samochody, pocztowe!

— Uświadamianie niemowląt!

— Komiwojażerstwo²⁸⁸!

I jeszcze:

— Makabryzm!

— Kabarety!

— Gramofony!

I tak bez końca. Ale to była tylko jedna z tysiącznych atrakcji tego czarodziejskiego placu.

Zagraniczni architekci przeszli samych siebie. Z pod ich cyrkli i grafionów wytrysnęło jakby drugie miasto, barwne, lekkie, pełne nieujętego wdzięku tymczasowości, o harmonijnie pozataczanych łukach ulic i placach z malowniczo kapryśną konfiguracją. Wszędzie pieściła oko zieleń trawników puszystych; kryształowe fontanny iskrzyły się niby brylanty w oprawie drogich kamieni: rubinów-róż; turkusów-niezapominajek; topazów-margierytek; opali-storczyków. Umiejętnie zużytkowane resztki ogrodów wywłaszczonych wiosek dostarczały rzeźwiącego chłodu; a pod stuletnimi lipami, pod których cieniem z ojca na syna zaprawiały się do błogosławionej drzemki całe pokolenia „dziedziców”, rozsiadły się teraz liczne kawiarnie i bary.

Pawilony rozrzucone były na pozór bezplanowo.

Obok kiosku „Towarzystwa Dobroczyńności” (w zaniedbanu), zbudowanego w kształcie wielkiego trójkąta z okiem Opatrzności u szczytu, w którym wieczorem zapalano gasnące co chwila z niewiadomych przyczyn światło elektryczne, mieścił się ciężki w stylu egipskim trzymany „Pawilon Uczonych”, gdzie również mało kto zachodził, i gdzie u wnijścia pomysłowy, ale niefortunny optyk wyrobił sobie pozwolenie na sprzedaż okularów i trąbek akustycznych.

A tuż za nim przykuwał wzrok „Pawilon Kokotek²⁸⁹”, istne pieścidełko białe, różowe, pachnące, zdobne w jedwabne draperie, podtrzymywane kocimi pazurkami i ogonkami łasic.

Tu za to ścisk panował ogromny, a tłoczyły się przede wszystkim cnotliwe matki rodzin i bogobojne matrony. Wchodząc, żegnały się pobożnie lub wzruszały ramionami.

— Ciekawa rzecz — mówiły pomiędzy sobą — jakie kłopoty mogą mieć te panie.

A niektóre dodawały z przekąsem:

— Wszak nasi mężowie i synowie są od tego, żeby o nich myśleli!

I konkludowały²⁹⁰ chórem:

— Oto do naszego pawilonu pójść. Tam się jest czemu napatrzeć!

Tymczasem jednak pchały się tutaj jak na odpust.

A „te” panie przeciwnie. Nie tylko nie były ciekawe kłopotów domowych kapłanek, ale wręcz stroniły od grupy pawilonów, nad którymi widniały jako godła: ognisko rozpalone

²⁸⁸ *komiwojażer* — przedstawiciel firmy podróżujący w celu zdobywania klientów i przyjmowania zamówień na towar. [przypis edytorski]

²⁸⁹ *kokotka* — daw. prostytutka. [przypis edytorski]

²⁹⁰ *konkludować* — podsumowywać wypowiedź. [przypis edytorski]

w obrączce ślubnej, dama w stanie interesującym, rogi jelenie i tym podobne patriarchalne symbole. Tuż zaraz znajdował się „Pawilon Starych Panien”, noszący na froncie uschnięty wianek mirtowy w otoczeniu figurek, przedstawiających menażerię. Ten dział wystawy był tak skąpo obesłany, iż wszedłszy do środka i patrząc na puste witryny, odnosiło się wrażenie, że w Bezzadnowie nie ma wcale starych panien.

Największe jednak powodzenie zjednął sobie pawilon pod nazwą: „Kłopoty Dyskrecjonalne”. Tu wyznaczone były godziny oddzielnie dla pań i oddzielnie dla panów i od rana do nocy budynek ten znajdował się w istnym oblężeniu.

Każda dorosła osoba miała prawo wprowadzić po jednym dziecku; Bezzadnow bowiem opieszałość swą społeczną nagradzał bajecznym pośpiechem w przyswajaniu sobie niektórych najnowszych prądów.

Ale istotnym *clou*²⁹¹ wystawy był pawilon „Kłopotów Najdyskrecjonalniejszych”, umieszczony w samym końcu placu i posiadający zupełnie oddzielne wejście z pola.

Do pawilonu tego wpuszczano tylko za bardzo wysoką opłatą w godzinach wieczornych i obowiązkowo w maskach i dominach. Jedna jego ściana łączyła się krytym korytarkiem z ogromną restauracją włoską, w której środkowa rotundowa sala była właściwie tylko bufetem z estradą dla muzyki, i ogniskiem całego wieńca małych drzewczek, wiodących do prześlicznych gabinetów. Te bywały zawsze naprzód pozamawiane choć ceny potraw i win dochodziły w nich do absurdu. Ale oglądanie „Kłopotów Najdyskrecjonalniejszych” budziło w zwiedzających tak niepohamowany apetyt na kolację we dwoje, że wkraczał on już w dziedzinę siły wyższej, przed którą wszystko musi ustąpić.

W ogólnej fizjonomii²⁹² wystawy dominował pewien rys osobliwy, na który każdy skłonny do filozoficznej obserwacji umysł musiał zwrócić uwagę.

Oto wśród tego nagromadzenia Kłopotów, takich, że poszczególni ich właściciele, nim się tu nimi pochwalili, wrywali sobie włosy z rozpacz, a niektórzy bliscy byli samobójstwa, krążył tłum dziwnie radosny i niefrasobliwy, jak gdyby te uwieszone za witrynami zmyły ich egzystencji nigdy już ich dosięgnąć nie miały.

Gdyby rada miejska, upojona tryumfem, zdolna była zastanowić się nad czymkolwiek, objaw ten byłby jej dał wiele do myślenia...

Drugą charakterystyczną właściwością tej, jedynej od początku świata, wystawy był zupełny brak jakiegokolwiek opieki nad witrynami.

Wyjątek stanowiła tylko witryna siedemdziesięcioletniego stróża przytulku noclegowego, który po zmarłym w Ameryce bracie (mówiono, że brat ten uprawiał handel żywym towarem) odziedziczył właśnie miliard dolarów i olbrzymi ten majątek (w przekazie na jeden z banków nowojorskich) wystawił, jako nie dający mu dokonać spokojnie żywota Kłopot.

Ta witryna obwiedziona była żelazną kratą, zakończoną kolczatym drutem, a na czterech jej rogach stało tyluż żołnierzy z obnażonymi pałaszami i oddział konnych policjantów, uzbrojonych w skierowane wprost na publiczność brauningi.

A publiczność krążyła w pobliżu, jak stado głodniałych wilków; miliard w przekazie ciągnął tak oczy, że wylazły z pod powiek; i gdyby nie nadzieja wygranej, którą każdy z osobna żywił w tym tłumie, kto wie, czy wszelkie środki bezpieczeństwa byłyby się ostały wobec drapieżności amatorów na stróżowski Kłopot. Bo że ten właśnie dostąpi honoru znalezienia się w kole Fortuny, to i bez plebiscytu wiadome było od pierwszej chwili.

Biletów loteryjnych wypuszczono milion. Żaden przymiotnik nie jest dość silny na określenie ich popytu. Urzędnicy, zajmujący się sprzedażą, nie jawili się na widok publiczny bez zbrojnego konwoju, inaczej gracze byłiby ich rozszarpali na kawałki.

Nadszedł wreszcie wielki dzień ciągnięcia, który miał być jednocześnie dniem zamknięcia wystawy. Bo wszystko musi mieć na świecie swój koniec i wszystko powszednie, nawet napawaniem się widokiem kłopotów swych bliźnich.

Wszelako los, który bywa figlarzem, zgotował Bezzadnowi niespodziankę. Miliardowy Kłopot biednego stróża wygrał młody, chory na serce poeta.

²⁹¹*clou* — najważniejsza lub najciekawsza część czegoś. [przypis edytorski]

²⁹²*fizjonomia* — daw. fizjonomia. [przypis edytorski]

Ten może byłby wiedział co zrobić z pieniędzmi, lecz radość okazała się dla jego wyczerpanego organizmu zabójczą i w chwili, gdy mu oznajmiono tę szczęśliwą nowinę, młodzieniec padł, dotknięty aneuryzmem²⁹³.

I tu dopiero wywiązał się Kłopot rzetelny; Kłopot Monstre.

Poeta był wychowawcą domu podrzutków, a jako bezzenny nie zostawił po sobie żadnej rodziny. Z prawa więc spadek po nim przechodził na własność miasta, które go w tak lekkomyślnym fachu wychowało.

Ale ta prawna konsekwencja nie wydała się tak prostą opinią publiczną. Momentalnie w całym Bezradnowie zabiły serca i odezwał się w nich głos krwi, wołający o dochodzenie praw swoich.

Biedny poeta-podrzutek, w tym podwójnym charakterze nieskończenie ignorowany za życia, znalazł po śmierci tylu ojców i matek, ile było w Bezradnowie mężczyzn i kobiet, zdolnych do prokreacji w epoce jego urodzenia.

Nawet jeden z przywódców związku poszóstnej abstynencji, po dokładnym wpatrzeniu się w fotografię zmarłego, dostrzegł w niej uderzające podobieństwo do własnych ascetycznych rysów.

Wspomnienia, zaczerpnięte w krynicy przeszłości, nasunęły mu myśl, że może to nie być jedynie prosty przypadek; pośpieszył tedy na poufną konferencję ze swym doradcą prawnym, z której wyszedł błogo a tajemniczo uśmiechnięty.

W ogóle wszystkie adwokackie kancelarie Bezradnowa były owych dni w formalnym obłączeniu, a słoneczne do niedawna niebo rady miejskiej zaciągnęło się nowymi chmurami procesów.

Lecz była to klęska dopiero perspektywiczna. Inna bliższa, groźniejsza katastrofa wisiała w powietrzu.

Wystawę zamknięto już od tygodnia; goście porozjeżdżali się; bramy domów zakwitły kartami, głoszącymi o pokojach do odnajęcia „przy rodzinie”, włoski restaurator powrócił do krainy kwitnących pomarańcz z niepomiernie wyładowanym trzosem, a po odbiór okazów, pomimo codziennego, urzędowego wzywania właścicieli, nikt się nie zgłaszał.

I gdybyż tylko to. Młodzi demagogowie urządzali po ulicach wiece i ze szczytów latarni wzywali klasy robotnicze i proletariat w ogóle, aby zawartość swoich pawilonów rzucił na głowy burżujów.

— Niech ciężar ich, krwią waszą i potem oblany, zmiażdży podle łby tych opasłych gadzin! — wołali. — Oto nadarza wam się jedyna sposobność wymierzenia sobie sprawiedliwości od jednego zamachu. Proletariusze! Teraz lub nigdy!

Burżujom cierpła skóra, gdy przez koronkowe story swych pięknych apartamentów słuchali tych dzikich wrzasków; i jako jedyny ratunek przedstawiał im się gremialny wyjazd za granicę i pozostawienie własnych i narzuconych im Kłopotów radzie miasta.

— Ona urządzała wystawę! Ona nawarzyła tego piwa. (Ten, do niedawna upajający, szampan był już piwem i w dodatku zwarzonym!) Niech je pije!

Gdy delegacja, złożona z najpoważniejszych właścicieli domów i finansistów, przybyła do prezydenta, aby mu takowy pogląd wyluszczyć, nieszczęsny ten mąż chwycił się za głowę, potem zemdlał, potem, że mu nikt z trzeźwieniem nie śpieszył, sam się ocucił i czym prędzej zwołał nadzwyczajne posiedzenie.

Stawili się wszyscy, ale w jakichś wojowniczych nastrojach. Nawet radca-preferansista przyszedł wyjątkowo wyspany, gdyż w tym piekielnym chaosie, jaki obecnie przedstawiało Bezradnowo, niepodobieństwem było nawet złożyć partyjkę.

Prezydent, tym razem bez krasomówczych²⁹⁴ omówień, skoczył równymi nogami w jądro sprawy.

— Panowie i koledzy! — zawołał — radście! Jesteśmy osaczeni. Możemy być zgubieni. Wali się na nas wszystko. Co począć?

Ale koledzy zamiast radzić, zaczęli z innej beczki:

— Niech ten sobie nad tem łamie głowę, kto pierwszy podał ten idiotyczny projekt (do niedawna był genialny) i wnet jeden przez drugiego jęli wołać:

— To pan!

²⁹³aneuryzm — daw. tętniak. [przypis edytorski]

²⁹⁴krasomówca — człowiek potrafiący pięknie przemawiać. [przypis edytorski]

— Nie! To pan!
— Jak to? Alboż to nie pan?
— Panowie! Wzywam was wszystkich na świadków, że ja radziłem „Filiżankę herbaty” — darł się inny.

Zacietrzewienie tak wzrosło, że już kałamarze były w ruchu.

Prezydent obu garściami chwycił się za łusą czaszkę i, nie znajdując tam żadnej żertwy, wyłamywał sobie z trzaskiem palce.

— Panowie! panowie! — błagał. — Na miłość Boską. Panowie!

I nagle, jak to bywa czasem w chwilach ostatecznej rozpacz, wizja ratunku zajaśniała w jego zmaconym mózgu.

Z całej siły grzmotnął dzwonkiem w stół.

— Panowie! — wykrzyknął — Uczście się! Znalazłem! Jesteśmy uratowani!

I jakby kto okseft oliwy rozlał po morzu, tak ułożyły się wzburzone fale radnych umysłów. Wszyscy przysiedli. Bardziej poturbowani milcząco obcierali sobie zawalane atramentem twarze.

— Znalazłem! — powtórzył prezydent. — Podamy się wszyscy do dymisji!

Wiew geniuszu ma to do siebie, że na razie obezwładnia tych, wśród których przejdzie.

I w sali radnej po słowach prezydenta zapadła bezdena cisza. Nikt nie drgnął; nikt nie otworzył ust.

Wtem ratusz zatrząsł się w posadach i całe zgromadzenie pospadało z foteli.

Bezprzykładny, nieopisany hałas targał murami gmachu.

Huk, trzask, pisk, wycie, ujadanie, płacz, jęki, zgrzyty, przekleństwa, wszystko razem rozszalało się w jakiejś szatańskiej kakofonii²⁹⁵. Zdawać się mogło, iż piekło otwarło się i śle ziemi swą potępiącą orkiestrę.

I nagle światło dzienne przygasło.

Za oknami powietrze rozdygotało i jakaś chmura nieokreślonych, ciemnych, szarych i czarnych kształtów pędziła w nim, przewalając się i kłębiąc z zawrotną szybkością.

— Koniec świata! — szepnęli leżący na ziemi ojcowie miasta.

— Koniec świata!

I wtulali twarze w dłonie, i kryli się pod fotele, na wpół umarli ze strachu.

Nie. To nie był koniec świata. To znudzone bezczynnością na pustym placu Kłopoty potłukły witryny, porozwalały pawilony i wracały całą chmarą do miasta.

Żaden wyżeł nie odnajdzie tak pana, jak one trafiały do swych właścicieli. Gdyby który skrył się był w mysią jamę, lub w dziurkę od klucza, i tam byłyby go znalazły. Ale nikt z mieszkańców nie zdążył nawet pomyśleć o tym. Zostali zaskoczeni.

Stęsknione Kłopoty rzucały im się na piersi, chwyciły za gardło, włożyły na karki, wżerały się w mózgi. Jak świat światem, nie widziano namiętniejszego powitania.

Demagogowie²⁹⁶ pozłazili z latarń; burżuje przestali myśleć o wyjeździe za granicę. Nawet radni miasta, zorientowawszy się wreszcie w sytuacji, uznali posiedzenie za skończone i rozeszli się do domów w najlepszej zgodzie.

A nazajutrz, gdy złociste słońce wytoczyło się nad Bezzadnowem, zastało plac powystawowy w ruinach, wszystkie Kłopoty dobrze już zagospodarowane na swoich dawnych miejscach i bieg życia stolicy Niedolegami płynący dawnym, wyżłobionym przez wieki, korytem.

²⁹⁵ *kakofonia* — nieprzyjemnie brzmiąca mieszanina dźwięków. [przypis edytorski]

²⁹⁶ *demagog* — działacz głoszący hasła obliczone na łatwy efekt, chcący pozyskać nieświadomych zwolenników. [przypis edytorski]

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/pajzderska-wyzebrana-godzina>

Tekst opracowany na podstawie: Hajota, *Wyżebrana godzina*, Nakład Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1914.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec-Gryz, Aleksandra Sekuła, Natalia Morawiec.

ISBN 978-83-288-6126-8

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.